



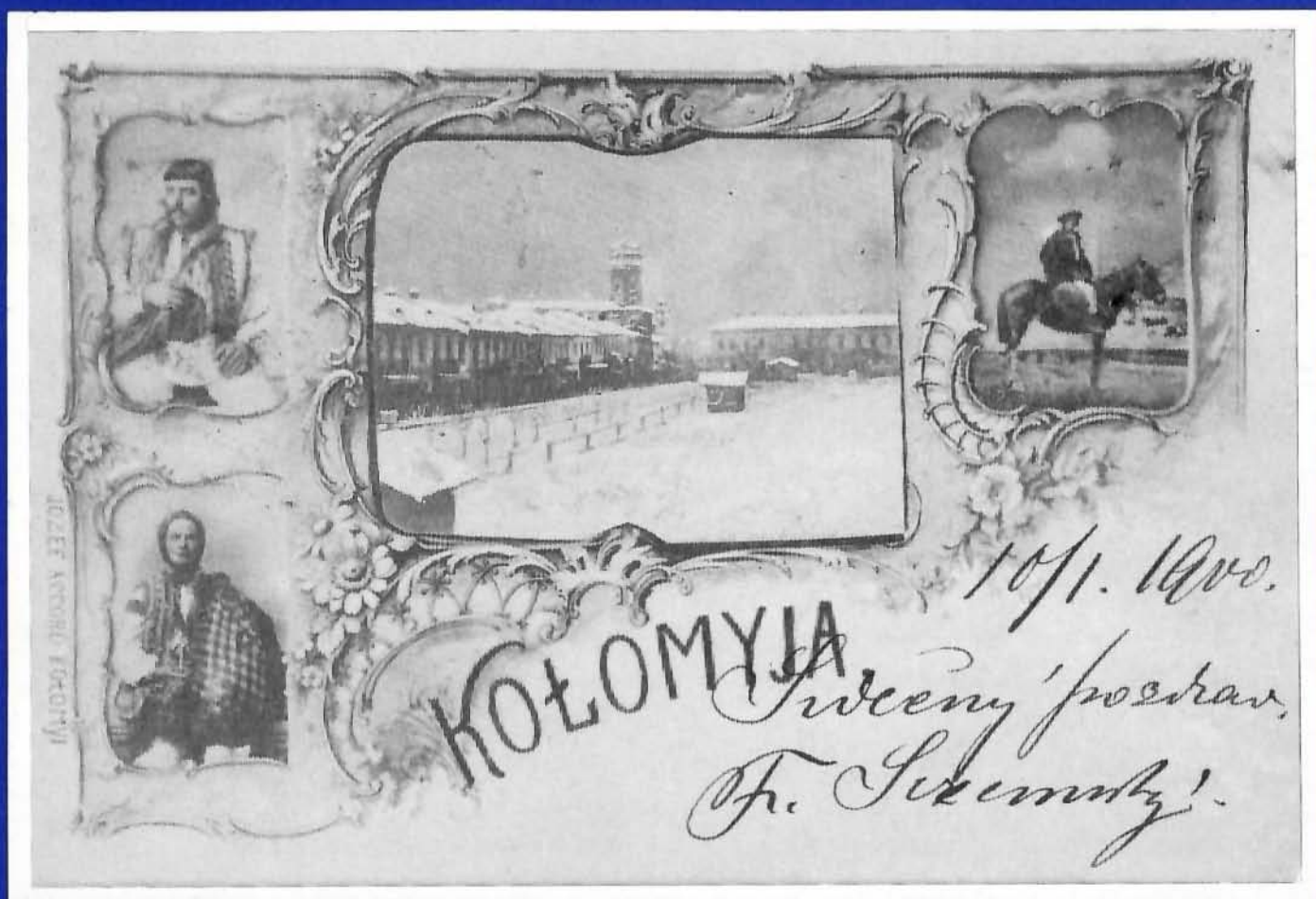
# SEMPER FIDELIS

PL ISSN 0866-9414

STYCZEŃ - LUTY  
1995

1 (24) 1995

PISMO TOWARZYSTWA MIŁOŚNIKÓW LWOWA I KRESÓW POŁUDNIOWO—WSCHODNICH • WROCŁAW



<b>DANUTA NESPIAK</b> W 50. rocznicę konferencji w Jalcie .....	1
<b>JERZY MASIOR</b> Najbliżej .....	2
<b>WŁADYSŁAW KUPIEC</b> Procesy odszkodowawcze członków AK oraz WIN z terenu Lwowa i województwa lwowskiego w Sądzie Wojewódzkim we Wrocławiu w latach 1960 — 1969 .....	3
<b>JERZY GARDYNIK</b> Rola Instytutu Tyfusowego profesora Rudolfa Weigla w osłonie ludności i konspiracji polskiej w okupowanym Lwowie .....	9
<b>ZDISŁAW OJRZYŃSKI</b> Instytut Tyfusowy we Lwowie w świetle niemieckich dokumentów .....	10
<b>MIECZYŚLAW POLLAK</b> Ułańska tradycja .....	11
<b>LESZEK SAWICKI</b> W berlingowskim mundurze .....	15
<b>RYSZARD MAJEWSKI</b> Uporczywa „Biała plama” .....	18
<b>MAŁGORZATA LISOWSKA</b> Teatr lwowski w latach 1918 — 1939 .....	21
<b>DANUTA TABIŃSKA-JUHASZ</b> Encyklopedia Lwowa .....	24
<b>ZDZISŁAW J. ZIELIŃSKI</b> Tramwaj za tramwajem .....	26
<b>EMIL HLIB</b> Moje chodzenie po Lwowie .....	30
<b>TOMASZ KUBA KOZŁOWSKI</b> Kresy na starej karcie pocztowej .....	33
<b>JADWIGA SYBIGA</b> Lwów — 10 lutego 1940 r. ....	33
<b>MAREK ZAKRZEWSKI</b> Jan Zakrzewski .....	34
<b>JERZY WĘGIERSKI</b> Polemika z Bronisławem Szremetą .....	35
<b>Z ŻYCIA TOWARZYSTWA</b> .....	37
<b>NASI CZYTELNICY PISZĄ</b> .....	42
<b>AKTUALNOŚCI I INFORMACJE</b> .....	44
<b>Z ŻAŁOBNEJ KARTY</b> .....	44

Na okładce reprodukcja pocztówki z Kołomyi (patrz artykuł Tomasza Kuby Kozłowskiego na str. 33)

*Redaguje Kolegium w składzie:* Krzysztof BULZACKI, Wiesława JELEŃSKA-HOMBEK, Andrzej KAMINSKI,  
Danuta KOTOWICZ, Danuta NESPIAK, Zdzisław OJRZYŃSKI, Danuta ŚLIWIŃSKA,  
Danuta TABIŃSKA-JUHASZ, Jan ZIEMBICKI

*Redakcja:* Danuta NESPIAK, Zdzisław OJRZYŃSKI (red. naczelny), Jerzy PETRYŃSKI

*Redakcja techniczna:* Małgorzata WANKE-JAKUBOWSKA, Maria WANKE-JERIE

*Adres Redakcji:* Zarząd Główny Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich,  
Wrocław, Rynek-Ratusz 7/9 tel. 44-88-93

*Wydawca:* Fundacja Kresowa „SEMPER FIDELIS” — PKO IV O/Wrocław Nr 93549-10012-132-3

*Prezes Fundacji:* Danuta TABIŃSKA-JUHASZ

*Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca. W publikowanych tekstach zastrzegamy sobie prawo dokonywania skrótów, zmian tytułów oraz poprawek stylistyczno-językowych.*

Dwieście lat temu trzeci rozbiór Polski przekreślił ostatecznie żywot „Najjaśniejszej Rzeczypospolitej”. Pięćdziesiąt lat temu Polska, po wygraniu z aliantami wojny przegrała w Jałcie swoje Kresy Wschodnie. Stała się jeszcze mniejsza obszarowo niż była w dwudziestoleciu międzywojennym.

Stalin zagrabiał 179 tys. km<sup>2</sup> godząc się wspaniałomyślnie na to, że jako „rekompensatę” otrzymaliśmy 103 km<sup>2</sup> Ziemi Zachodnich i Północnych. O utraconym obszarze 76 tys. km<sup>2</sup> nigdy PRL-owskie i późniejsze „prawo-lewe” rządy nawet nie wspomniaty. Dla uzmysłowienia tej straty przypomnijmy, że Estonia ma 45,1 tys. km<sup>2</sup>, Łotwa 63,7 tys. km<sup>2</sup>, Litwa obecnie 65,2 tys. km<sup>2</sup>. Jedyłą korektę granicy z powodu nienasyconej zachłanności sowieckiej komunistyczny rząd polski postusznie przeprowadził wymieniając w 1951 roku teren na zachód od Sokala (były tam znakomite gleby i węgiel). Przepadł nam wtedy Krystynopol, ongiś świetna siedziba Potockich a dostaliśmy w zamian rejon Ustrzyk Dolnych. I to była jedyna korekta granicy wschodniej, która nic nie załatwiła obszarowo.

## W 50. rocznicę konferencji w Jałcie

DANUTA NESPIAK

Konferencja w Jałcie trwała od 4 do 11 lutego 1945 roku. Temat Polski i jej granicy wschodniej poruszano na niej wielokrotnie. Sprawa Wilna przedstawiała się jeszcze bardziej tragicznie niż sprawa Lwowa i Małopolski Wschodniej. Niejasna wypowiedź Roosevelta, który poparł formułę linii Curzona z uwagą, by ewentualnie rozpatrzyć poprawki jej południowego biegu, nie dawała szansy na pozostawienie Lwowa przy Polsce. Stalin zrobił nawet uwagę, że rezygnuje przecież z Białegostoku, ale nie może zrzec się Lwowa.

Komunikat z konferencji jałtańskiej ogłoszony został 12 lutego w Waszyngtonie, Londynie i Moskwie. Była to druzgocąca wiadomość dla rządu polskiego, emigracji i kraju. Polskę potraktowano na konferencji jałtańskiej haniebnie jeszcze z tej racji, że w odróżnieniu od kwestii granicy zachodniej, która miała być ustalana na konferencji pokojowej, sprawa granicy wschodniej została z niej całkowicie wyłączona.

Parę miesięcy przed Jałtą, jak podaje w swojej znakomitej pracy P.Eberhardt, Roosevelt szukał kompromisu w sprawie Lwowa i wpadł na przedziwny pomysł, by miasto było pod zarządem Międzynarodowej Komisji i nie należało ani do Polski ani do ZSRR (zob. „Polska granica wschodnia 1939-45” War-

szawa b.r.w. s. 181). Po rezygnacji Mikołajczyka urząd premiera emigracyjnego rządu polskiego objął 27.11.1944 roku socjalista Tomasz Arciszewski. Odrzucił on zdecydowanie uznanie linii Curzona oraz współpracę z lubelskim PKWN-em, tworem spreparowanym z pełną akceptacją Moskwy rękoma polskich komunistów z osławionego Związku Patriotów Polskich.

Warto sobie przypomnieć dzisiaj jak te sprawy przedstawiano w publikacjach historyków Polski Ludowej. Weźmy choćby wydawnictwa popularne o powszechnym zasięgu jak np. encyklopedie. Oto co na ten temat pisała Krystyna Kersten. „W lutym 1943 r. komuniści polscy, przebywający w ZSRR zainicjowali utworzenie Związku Patriotów Polskich (ZPP), organizacji o szerokim zasięgu oddziaływania wśród emigracji polskiej w ZSRR”. (Wielka Encyklopedia Powszechna, wyd. specjalne 9 tomu „Polska” Warszawa 1967 s. 54). Ciekawe skąd się wzięła wtedy w ZSRR polska emigracja? Czy aby Krystyna Kersten nie wiedziała o tym, że to byli polscy obywatele deportowani w 3 dużych rzutach wywozów i zsyłek w 1940 roku (10.02., 13.04., 25.06.) z Kresów Wschodnich? Jest chyba zasadnicza różnica między deportacją a emigracją.

Druga sprawa to ów „szeroki zasięg oddziaływania” tego komunistycznego potworka jakim był Związek Patriotów Polskich. Przez bezkresne przestrzenie totalitarnego piekła, jakim był Związek Radziecki, pokonując nieludzkie warunki, jedni dotarli do Andersa, drugim pozostał już tylko Berling.

Rolę PKWN widziała Krystyna Kersten m.in. w zabezpieczeniu państwa ludowego przed atakami „reakcyjnego podziemia”. Chodziło zatem o struktury Delegatury Rządu AK, WIN. Dzisiaj Krystyna Kersten przyznaje, że jej książka o PKWN wydana w 1965 roku jest „naukowo skrzywiona”. Krystyna Kersten jest profesorem w Instytucie Historii PAN. Była konsultantką pseudodokumentalnego filmu pt. „Akcja Wisła” J. Nowakowskiej. Film ten wywołał liczne protesty, zwłaszcza świadków tych wydarzeń, jako wybitnie stronniczy, który świadomie wyeliminował relacje strony polskiej. W recenzji filmu Krystyna Kersten napisała: „Uważam, że film ten ma ogromne znaczenie dla kształtowania świadomości polskiego społeczeństwa. U części widzów może wzbudzić typowe reakcje obronne, znajdujące wyraz w przypisywaniu winy bądź wyłącznie Ukraińcom, bądź Ukraińcom i komunistom, a także w pomniejszeniu martyrologii Ukraińców przez eksponowanie cierpień, jakich wówczas doznawali Polacy...” (odpis recenzji w posiadaniu redakcji). Budzi zdziwienie pogląd autorki, że martyrologia czyli męczeństwo było udziałem Ukraińców a Polaków tylko cierpienie. Przeczy temu rzeczywistość, oto przykład pierwszy z brzegu — w Radawie, Szówsku, Wiązownicy, Chołodyczu leżą pomordowani przez UPA polscy mieszkańcy miejscowości, które objęła właśnie akcja Wisła. Ani film J.Nowakowskiej, ani recenzja Krystyny Kersten nie były niestety rzetelne.

Na pojałtańskiej glebie wyrosła również kariera polityczna posła (oraz kandydata na prezydenta RP) Jacka Kuronia. W kontekście jego całej przeszłości w PRL-u przynajmniej raz powinien być uderzyć się mocno w piersi. Napisał tylko, że się wstydzi (a dotyczyło to pojedynczego wypadku) w swojej książce — biografii — spowiedzi „Wiara i wina. Do i od komunizmu”. Sądzę, że każdy kto jest ciekawy, jak wyglądały rodowody pewnych osób błyszczących dzisiaj na polskiej scenie politycznej, powinien tę książkę przeczytać.

Trochę historii. Związek Harcerstwa Polskiego komuniści zlikwidowali w latach 1949-50. W jego miejsce powołano jako wasalną ZMP Komunistyczną Organizację Harcerską. Próby reaktywacji ZHP mogły być podjęte po VIII Plenum PZPR i wyjściu na wolność prymasa Wyszyńskiego. Naiwni myśleli, że w jakiejś skali da się odtworzyć dawne harcerstwo. Na Zjeździe w Łodzi 8.12.1956 roku, kiedy wybierano Radę Narodową, Kuroń i jego grupa przeforsowali

dołkończenie na str. 2

dokończenie ze str. 1

deklarację mówiącą, że ZHP pracuje pod ideowym kierownictwem PZPR. Na Zjeździe obecny był Józef Grzesiak, jeden z najwybitniejszych przedwojennych harcmistrzów, w czasie okupacji komendant Wileńskiej Chorągwi Szarych Szeregów, oficer AK, komendant dzielnicy D garnizonu Wilno. Aresztowany został przez NKWD w marcu 1945 r., skazany na 10 lat obozu pracy i wywieziony do Workuty. Powrócił stamtąd jako inwalida w maju 1955 roku. Jego syn Józef-junior został aresztowany przez UB w Polsce w 1948 r. Przeszedł ciężkie ubeckie więzienia (Mokotów-Rawicz), skąd skierowano go w 1953 roku dla odbycia dalszej kary do pracy w kopalni węgla w Knurowie. Zwolniony na mocy amnestii w maju 1956 roku, mieszka we Wrocławiu. Jacka Kuronia w tym roku przyjęto ponownie do PZPR i tworzył nadal tzw. drużyny walterowskie wychowujące młodzież polską w duchu komunistycznym. Kuroń przyznaje, że już na Zjeździe w Łodzi zafascynowała go osobowość Grzesiaka, ale uważał go za przeciwnika politycznego (zob. Wiara i wiarna. Do i od komunizmu, Londyn 1989 s. 151). Wkrótce też Główna Kwatera Harcerstwa opanowana przez komunistów zwróciła się do Rady Naczelnej ZHP, której członkiem był Kuroń o usunięciu Grzesiaka z funkcji komendanta Chorągwi Gdańskiej za działalność wrogą przeciwko PRL. Kuroń pojechał do Gdańska i zrobił co należy — postawił wniosek, żeby Grzesiaka usunąć bo nie realizuje łódzkiej deklaracji o socjalistycznym wychowaniu harcerzy. W ten sposób załatwił sprawę Grzesiaka, więźnia Workuty, komendanta Wileńskiej Chorągwi ZHP. Po latach, publikując swoją rzewną książkę, Kuroń napisał, że się wstydzi i nie może już Grzesiaka przeprosić, bo Grzesiak umarł.

Promiennie uśmiechnięty poseł Unii Wolności Jacek Kuroń, dobroczyńca emerytów, teoretyk — organizator akcji „zupa”, lwowianin cieszący się z ukraińskiego Lwowa, potencjalny kandydat na prezydenta RP, publikował swoje prace też w miesięczniku „Harcerstwo”. Rozwodząc się nad socjalistyczną moralnością pisał: „warto w tym miejscu przypomnieć, że Lenin blisko pół wieku temu zajmował się tym problemem. Pisał, że istotą socjalistycznej moralności jest interes klasy robotniczej i wyraża się on w walce o władzę i utrzymanie jej... W naszym kraju sytuacja uległa zasadniczej zmianie, klasa robotnicza władzę zdobyła... Nie oznacza to wcale, że teza Lenina o podstawie socjalistycznej moralności przestała być aktualna” (Harcerstwo nr 5/6 1959, s.51).

Mam nadzieję, że lwowiacy i kresowiaci — przyszli wyborcy — wezmą pod uwagę powyższy tekst.

Danuta Nespiak

## Pamiętanie, ale jakie

# Najbliżej

JERZY MASIOR

Z pamiętaniem świata, w którym się onegdaj żyło — okolic naszej młodości — bywa różnie. Najczęściej była to przestrzeń nierozległa, pozbawiona dalekich horyzontów, niewykłana w gęstwinę ulic, gąszcz zaułków i wszelakich miejskich zakamarków. Znam Lwowian pod Wysokim Zamkiem urodzonych, którzy swojego miasta nie poznali ani wtedy, a dziś bywają zagubieni, aż dziw bierze. Oprawdzałem w latach ostatnich takie rodaków wycieczki, którzy plac Mariacki, czy Bernardyny oglądali z równym zaskoczeniem i piękną podziwem jakby ich postawiono na pl. Św. Marka, czy przed wenecjańskim Pałacem Dożów. Zdziwienie tym faktem jest nie na miejscu. Sięgnijmy pamięcią wstecz. Ta gromadka starszych ludzi, tu urodzonych, na mleku matczynym i dobrostańskim nektarze wykarmionych, ci lwowscy dziś „turyści”, to przecież ówczesne mikrusy, w najlepszym wypadku gimnazjaliści i to nie najwyższych, przedmaturalnych klas. Stuknęło nam wszystkim parę dziesiątków lat, pamięć się rozwichrzyła, a niekiedy wiele z niej wsiąkało w rzeczywistość w jakiej przymuszeni byliśmy żyć. Więc żal tu nie miejscu, że tacy z nas Lwowianie, że na swoim jesteśmy, a bezradni, zagubieni i jakby nietutejsi. Ale licmy i pomyśmy. Toż my wszyscy jeszcze tam powracający na dni kilka zaledwie, więc po naszymu na chwilę — mieliśmy wtedy tak niewiele lat. Uczniowie „powszechni”, gimnazjaliści szpanujący po Corso w granatowych mundurkach, wśród jakiej poruszaliśmy się na codzień przestrzeni? Dom, szkoła, najbliższa świątynia, może jeszcze podwórko, najczęściej ograniczone oficynami macierzystej kamienicy z balkonami służącymi rodzicom do kontroli naszych poczynań. Był jeszcze niekiedy ogród na tyłach posesji, skwerek niedaleki, niekiedy debry, czyli nieomal okno na świat. No i ulica, na której się „pomieszkiwało”. Ale to wszystko było najbliżej, żeby jeszcze przed odrobieniem lekcji można było dotrzeć tu i tam, spotkać kogo trzeba, mieć co trzeba. Było się wciąż tuż, tuż.

Stawiam dziś retrospektywne pytanie, bo to ważne dla moich wypowiedzi: czy był nam potrzebny świat większy, przestrzeń nieogarniona i dlatego wciąż niepoznana? Zaiste nie! Uplywały lata, a myśmy nieustannie, niezmordowanie krążyli po tych samych orbitach: dom, szkoła, podwórko. To wystarczało. Z dzisiejszej perspektywy widać maleńkość tych przestrzeni. Maleń-

kość wobec tak bardzo rozległego już wtedy Lwowa. A przecież nie tylko ta jego rozległość była frapująca. Miasta bogatszego w urbanistyczne treści niż Lwów już wtedy, a nawet i dziś, próżno by szukać wśród grodów bliższych i dalszych.

Dla nas było wtedy tak, że jak urodziłeś się na Lewandówce, to tam tylko kręcił się twój „zegar słoneczny”. Gdy zaś przyszło odcinać swoją pępowinę na Zniesieniu, na Zamarstynowie, na Górnym Łyczakowie, czy na Bajkach, to wszystko czegoś w szczenięcych i trochę późniejszych latach pożądał, miałeś w zasięgu wzroku: ulicę własną — najważniejszą, bramę kolegów w każdym nieomal domu, jakieś gościnne podwórko, jakowyś wybieg letni, czy zimowy, sklepik codziennych zakupów... I tak było dobrze. Tak to trwało nieobliczalnie, nieprzewidywalnie. Oczywiście twierdziłbym nieprawdę głosząc, że nasze młodzieńcze, lwowskie bytowanie było czymś skończeniem hermetycznym. Szkoła, harcerstwo, a niekiedy i rodzice stwarzali okazję do przekraczania podwórkowych horyzontów. Do tego najczęściej służyły tramwaje. Jeżeli Kraków miał zaczarowane dorożki, to Lwów posiadał i zaczarował tramwaje, doprawdy nie wiadomo dlaczego balonami zwane. Może dlatego, że zdarzało im się wynosić ponad miasto. Chociażby taka „czwórka”, gdy szybowała na Wysoki Zamek stromizną Teatyńskiej. Ileż to zapamiętanych przeżyć dzięki tym balonom, ile zrealizowanych pragnień. A przystanki? Na mojej Łyczakowskiej każdy zasługuje na mini-monografię. Na tych przystankach nie tylko się wsiadało i wysiadało. Na nich coś się działo. Chociażby ostatni przystanek „jedynki” w parku Łyczakowskim: pętla wśród sosen. Stamtąd prze dolinkę Jałowca, bukowe wzgórze na stawy letnich kąpiel pod Winiakami, albo na Czartowską...

Może tak było, może nie, lecz pamięć ma różne odcienie, różną intensywność. Więc stoi oto gromadka siwych głów na skwerku Wałów Hetmańskich i ze zdumieniem i niejakim zażenowaniem dowiaduje się od przewodnika (co za okropna dla nas kreatura w naszym mieście), że tu ściągał cugle rumakowi Sobieski, a ta niewielka kamienica to gęłga starozakonnych — kawiarnia Wiedeńska, a niedaleki przystanek tramwajowy

dokończenie na str. 2

dokończenie ze str. 2

to na ulicy, która niegdyś zwała się Sykstu-  
ską, lecz tramwaj zatrzymywał się właśnie  
tu, gdzie stoimy, pod Królem i tu siadywała  
z harmonią Ślepa Mincia... A idąc Sykstu-  
ską już po kilkuset metrach w lewo będzie  
Poczta i Ossolineum, a w prawo Ogród  
Jezuicki. Mój Boże, Jezuicki... maleńki  
lwowski mikroświat.

Zaściankowość dużych miast nie jest zja-  
wiskiem ani nowym, ani też wyłącznie lwo-  
wskim. Tak już jest, że obywatele całego  
świata tej zaściankowości potrzebują. Jest  
to atawizm historycznie nieco późny. Jest z  
nim bliżej domu. We Lwowie funkcjono-  
wały enklawy dzielnic, o czym już pisałem.  
Było to zjawisko w tym mieście przeryso-  
wane, ba, kultywowane zagorzale, wyda-  
wać by się wręcz mogło — nieodzowne.  
Niedowiarkowie niech posłuchają lwo-  
wskich piosenek, tych gminnych przypo-  
wieści, w których nieomal dekalogi  
pobrzmiwają. Nie ma więc niczego nie-  
spodziewanego, gdy rodowity Lwówianin  
odkrywa Akademicką.

Jawnie się do naszej zaściankowości  
przyznajemy. Witold Szolginia kręci się i  
kręci koło swojej bramy na Łyczakowskiej,  
Janicki też gdzieś tam niedaleko, a Paran-  
dowski, a Lem, a tylu innych.

W przeczytanym przeze mnie niedawno  
tomie żarliwych wspomnień Janusza Ra-  
gankiewicza zastany i potrzebny świat to  
dom przy Łyczakowskiej i okolica placu  
Antoniego. Dopiero ekspatryjacja wypę-  
dziła Autora na Czerniowiecki dworzec i  
do... Leszna. Jam Janusza sąsiad z też nie-  
wielkiej przestrzeni: Leśna, Piaskowa, Kur-  
kowa, plac Antoniego, no i może ogród  
Strzelecki, Kajzerwald, Franciszkanie i gi-  
mnazjalni Karmelici, kino Pax i Metro, bo  
najbliższe i najtańsze. To zaiste dobrze:  
mieć prawie wszystko i najbliżej i najtaniej,  
zawsze, w każdej chwili. Te przestrzenie  
pootwierają się w czasie okupacji. Mnie  
poniosło na Sahajdecznego, na Zapolskiej,  
a tak najbardziej na Wójtowską. Ale to też  
tylko Łyczaków.

Więc po cóż się dziwić, że tylu z nas  
przystanąwszy na lwowskim Rynku, o któ-  
rym tyle przecież w wierszach, w piosence,  
taki on obfotografowany — z zakłopotani-  
em oglądamy renesansowe pierzeje i nie  
znamy imion mitologicznych bóstw patro-  
nujących narożnym fontannom. Z życzli-  
wością i zrozumieniem przyjmijmy tę  
niewiedzę. Wyrastaliśmy w t a m t y m  
Lwowie — mieście naszej jednej ulicy, jed-  
nego domu, ale kakież pogodnego, ciepłego.  
A teraz przyjechaliśmy chłonać  
powietrze, pod naszym niebem...

Jerzy Masior

## Procesy odszkodowawcze członków AK i WIN z terenu Lwowa i województwa lwowskiego w Sądzie Wojewódzkim we Wrocławiu w latach 1960–1969

WŁADYSŁAW KUPIEC

Z początkiem 1960 roku jako sędzia prowa-  
dzący sprawy cywilne w Sądzie Powiatowym  
w Kamiennej Górze zostałem przeniesiony do  
Sądu Wojewódzkiego we Wrocławiu, gdzie  
oprócz spraw karnych rozpoznawałem wnioski  
o odszkodowanie za niesłuszne skazanie i wy-  
konanie kary oraz za oczywiście bezzasadne  
aresztowanie.

We wnioskach, jak i na posiedzeniach są-  
dowych poszkodowani przedstawili ogrom  
swoich cierpień i poniżeń, wymieniali rodzaje  
tortur jakich doznawali od funkcjonariuszy  
bezpieczeństwa służby więziennej w okresie  
sfingowanych procesów, jak i w okresie wyko-  
nania kary.

Sprawy karne tych poszkodowanych, pro-  
wadzone przez Rejonowe Prokuratury Woj-  
skowe i Urzędy Bezpieczeństwa, rozpozna-  
wały Wojskowe Sądy Rejonowe, które z zasa-  
dy wymierzały ofiarom wysokie kary więzie-  
nia, a często kary śmierci. Nielicznym tylko  
poszkodowanym udało się skorzystać z prawa  
łaski, gdy orzeczone kary śmierci zmieniano  
na dożywotnie więzienie. Gorliwi komuniści  
w sposób skrupulatny wykonywali orzekane  
kary śmierci i to nawet wówczas gdy wiado-  
mym było, że amnestia będzie te kary łagodzić.  
Przykładem tego jest decyzja Szefa Wojsko-  
wego Sądu Rejonowego we Wrocławiu Wło-  
dzimierza Ostapowicza, który zlecił wyko-  
nanie wyroków śmierci co do 3 skazanych na  
dzień przed amnestią. W procesach rehabilita-  
cyjnych po 1956 r. skazani zostali uniewinni-  
eni, a niektóre rodziny zamordowanych wystą-  
piły do sądu o odszkodowanie.

Przez długi okres czasu po październiku  
1956 roku nie można było zażądać odszkowa-  
nia dla rodzin, których najbliżsi zostali zamor-  
dowani lub zmarli w toku tortur śledczych (np.  
rodziny płk. Anatola Sawickiego, członka AK  
i WIN, Bolesława Monna, architekta miasta  
Wrocławia w 1947 roku i innych), gdyż w  
takich przypadkach ówczesne władze umarza-  
ły śledztwa z powodu śmierci podejrzanego  
oskarżonego. Nie dawało to podstaw do zasa-  
dzenia odszkodowania, bowiem na zmarłym  
ciążył zarzut popełnienia przestępstwa przy-  
pisywanego w postępowaniu śledczym. Do-  
piero po wielu staraniach zainteresowanych i  
obroncy członków lwowskiego AK i WIN,  
adwokata dr. Tadeusza Chronowskiego z Ze-  
spółu Nr 3 w Krakowie, Prokurator Generalny  
podejmował umorzone postępowania z powo-

du śmierci oskarżonego i umarzał ją z powodu  
braku cech przestępstwa w zarzuconym czynie.  
Takie postanowienie dawało już podstawę do  
odszkodowania i zarządzenia rent dla rodziny  
zmarłego, jeśli zachodziła potrzeba alimentacji.

Procesy rehabilitacyjne toczyły się na wnio-  
sek skazanych lub ich rodzin i rozpoznane były  
przez Sąd Najwyższy, który zazwyczaj uchylał  
poprzedni wyrok i przekazywał sprawę do po-  
nownego rozpoznania przez Sąd Wojewódzki.  
Sąd ten z zasady uniewinniał oskarżonych, przy-  
jmując, iż proces był sfingowany i oparty na  
falszywych, często wymuszanych zeznaniach  
oraz podrzucanych dowodach rzeczowych. Zda-  
rzały się przypadki, iż Sąd Najwyższy rozpozna-  
jąc rewizję w oparciu o te same dowody, które  
były zgromadzone w sprawie uniewinnienia  
oskarżonego, mimo że wcześniej inny skład tego  
Sądu zatwierdził wyrok Wojskowego Sądu Re-  
jonowego wymierzający najsurowsze kary (np.  
w prawie Sr. 760/49 — Józefa Nagraby — WSR  
Wrocław.

Wśród spraw o odszkodowanie za niesłusz-  
ne skazanie i aresztowanie rozpoznawanych w  
Sądzie Wojewódzkim we Wrocławiu duża ich  
ilość dotyczyła członków Armii Krajowej i  
WIN z obszaru Lwowskiego. Akowcy ci po  
ujawnieniu się w miejscowych komendach SB  
czy MO byli masowo aresztowani i skazani  
pod zarzutem obalenia przemocą ustroju PRL  
z art.86 kkwp i innych przepisów tegoż kode-  
ksu, jak i z małego kodeksu karnego, dekretu  
z 13 VI 1946 roku o przestępstwach szczegó-  
lnie niebezpiecznych w okresie odbudowy pań-  
stwa. W tych fikcyjnych procesach dowody  
preparowano w różny sposób, a przede wszy-  
stkim poprzez podrzucanie broni, ulotek w  
czasie rewizji osobistej czy domowej, nakła-  
nianie pracowników SB czy agentów SB do  
falszywych zeznań albo obciążania oskarżo-  
nych przez świadków szantażowanych czy ze-  
znań współwięźniów, które wydobywano pod  
przymusem.

Najczęściej stosowaną metodą śledczą było  
wymuszenie od podejrzanego oskarżonego  
przyznania się do winy, czynu zmyślonego  
najczęściej przez urzędników bezpieczeństwa.  
Stosowano wówczas około pięćdziesięciu róż-  
nych form tortur o których w swych pamiętni-  
kach wspomina więzień UB generał Kuro-  
pieska. Hołdowano wówczas teorii Andrzeja  
Wyszyńskiego, radzieckiego ideologa. Dowo-

dokończenie na str. 4

dokończenie ze str. 3

dział on, iż przyznanie się oskarżonego do winy jest „królową dowodów” i wystarcza do skazania ofiary. Wielu oskarżonych wytrzymało stosowane wobec nich tortury, ale mimo to nie uniknęło surowych wyroków wspartych fałszywymi zeznaniami czy dowodami. Należeli przecież do tzw. „zaplutyh kartów reakcji” i dlatego musieli być izolowani bądź całkowicie eliminowani ze społeczeństwa.

Do najbardziej represjonowanych AK-owców należała grupa eksterytorialna okręgu lwowskiego WIN zamieszkała po 1945 roku na terenie Dolnego Śląska. Osoby te po bestialskich torturach śledczych w UB, były objęte oskarżeniem w wielu procesach przed Wojskowym Sądem Rejonowym we Wrocławiu. I tak w sprawie Sr 34/49 oskarżono Mariana Jędrzejewskiego, Gerarda Mościńskiego i Zofię Orlicz oraz zamordowanych podczas tortur w śledztwie: Anatola Sawickiego i Bolesława Monne. W innych procesach zostali skazani, a to Sr 892/48 Jan Brodzisz i Emilia Olga Lewandowska, Sr 894/48 Maria Kamińska, Sr 950/48 Stefan Żmuda, Sr 958/48 Józef Kaszuba, Sr 925/48 Kazimierz Pawlaczek i inni.

W okresie okupacji osoby te rozwijały na terenie Lwowa i województwa lwowskiego aktywną działalność konspiracyjną i partyzancką. Wszyscy byli wyróżnieni przez władze AK wysokimi odznaczeniami bojowymi — Krzyżami *Virtuti Militari*, Krzyżami *Walecznych*, niektórzy nawet kilkakrotnie. Po wysiedleniu ze Lwowa do Polski Ludowej ujawnili się w UB, a mimo zagwarantowania, że nie będą pociągani do odpowiedzialności za przeszłość, wszystkich pod różnymi pozorami, zmyślanymi zarzutami aresztowano, torturowano i skazano od kary śmierci do kar wieloletniego czy dożywotniego więzienia. Orzekano do nich przypadek majątku w całości oraz pozbawiono ich praw obywatelskich i honorowych.

W czasie śledztwa tortury stosowano nie tylko do oskarżonych ale i co do świadków, którzy najczęściej byli oskarżonymi w innych sprawach. Sądy nie tylko nie badały okoliczności w jakich wymuszano wyjaśnienia czy zeznania, ale uwagi czy skargi na ten temat pomijały, lekceważąc je lub traktując te fakty jako chęć pomawiania urzędników SB. Widoczne było, że ten „wymiar sprawiedliwości” był całkowicie uzależniony od urzędników bezpieczeństwa.

Po październiku 1956 roku co do wszystkich tych skrzywdzonych w różnym czasie na skutek rewizji nadzwyczajnych wznowiono postępowanie i uniewinniono od stawianych im zarzutów, ze wskazaniem, iż ich działanie nie nosiło cech przestępstwa. Sprawy te oceniały: Sąd Najwyższy i Sądy Wojewódzkie z okręgu działania zlikwidowanego już po 1956 roku Wojskowego Sądu Rejonowego. Po zmianie wyroku i uniewinnieniu, niektórzy poszkodowani występowali z wnioskiem o wypłatę odpowiedniego odszkodowania. Te procesy odszkodowawcze rozpoznawałem osobiście we Wrocławiu w latach 1961 — 69. Oto niektóre

przykłady takiego postępowania na tle akt sądowo — rehabilitacyjnych i odszkodowawczych.

Marian Jędrzejewski — pseudonim „Józef Kotwica” urodzony 8 IX 1907 roku w Oskowie k. Pskowa. Po opuszczeniu Lwowa w innym procesie był skazany wraz ze Zdzisławem Strzęboszem i Emilią Trębicką przez Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie sygn. Sr. 68/50 na wieloletnie więzienie, a następnie 3 III 1962 r. uniewinniony. Dowodzone przez M. Jędrzejewskiego oddziały AK dokonywały wiele akcji bojowych, partyzanckich nękając Niemców w różny sposób łącznie z wysadzeniem transportów jadących na wschód dla zasilenia armii niemieckich walczących z sowietami. Za te działania był on kilkakrotnie odznaczony Krzyżem *Walecznych*, otrzymał też *Virtuti Militari*. Jak wynika z akt sprawy sygn. IV Kow 100/63 Sądu Wojewódzkiego we Wrocławiu M. Jędrzejewski w 1944 roku jako Komendant AK przygotował podległe sobie jednostki do akcji „Burza”.

W listopadzie 1945 roku M. Jędrzejewski wyjechał ze Lwowa do Polski Centralnej, przybrał inne imię i nazwisko „Stefan Kochanek”. W sierpniu 1946 roku ujawnił się w UB i powrócił do swego właściwego nazwiska. W dniu 23 III 1948 roku został aresztowany i przebywał w więzieniu do 23 III 1956 roku. Przez Wojskowy Sąd Rejonowy we Wrocławiu w sprawie Sr. 34/39 został skazany trzykrotnie na karę śmierci oraz inne kary za szereg zmyślnych zarzutów, głównie za to, że jako komendant lwowskiego nielegalnego WIN, zmierzającego do usunięcia przemocą ustanowionej władzy zwierzchniej Narodu i obalenia demokratycznego ustroju Państwa Polskiego, miał pod swymi rozkazami ok. 1.000 członków tejże organizacji, kierując ich działalnością w okresie listopada 1945 r. do 28 marca 1948 r. na terenie miast Krakowa, Wrocławia i Zakopanego. Czyn ten zakwalifikowano jako przestępstwo z art. 86 paragr. 1 i 2 kkwp. Ponadto postawiono mu zarzut, że gromadził broń palną i amunicję z art. 4 i paragr. 1 dekretu z 13 VI 1946 roku, a nadto, że prowadził działalność szpiegowską z art. 7 powyższego dekretu. Za pozostałe cztery zarzuty z art. 6 i 23 w/w dekretu oraz art. 118 w związku art. 117 paragr. 1 i 2 kkwp, a także z art. 191 kk, wymierzono M. Jędrzejewskiemu kary terminowe, łącznie karę śmierci, utratę praw publicznych i obywatelskich praw honorowych na zawsze oraz przepadek majątku w całości.

M. Jędrzejewski przebywał w celi śmierci przez pięć miesięcy tj. od stycznia do maja 1949 r. kiedy to decyzją Prezydenta kara śmierci została zamieniona mu na karę dożywotniego więzienia. Po śmierci Stalina, Barii i Bieruta kara ta była przez Najwyższy Sąd Wojskowy wielokrotnie łagodzona poczynając od 23 III 1955 roku by po wznowieniu postępowania przez Sąd Najwyższy, trzeba było stwierdzić, że wszystkie te zarzuty są fikcyjne a skazanie za oczywiście niesłuszne. Wyrok uniewinniający w tej sprawie wydał Sąd dopiero 11 XII 1961 roku.

Należy podnieść, że decyzje Sądu do 1956 r. w ogóle nie inwestowały zasadności winy i skazania a jedynie sprowadzały się do obniże-

nia kar. Dopiero po tym okresie zaczęto badać zasadność zarzutów, które w materiałach dowodowych sprawy nie miały pokrycia a opierały się na fantazji urzędników bezpieczeństwa oraz wymuszonych zeznaniach świadków, których często nie wzywano na rozprawę, a jedynie odczytywano ich treść. Po 1956 r. świadkowie ci mieli większą możliwość wycofania się ze złożonych pod przymusem zeznań.

Postępowanie w tej i innych sprawach wskazuje na rozmiar stalinizacji w okresie od 1948—1956 r. oraz odchodzenia od tych metod w okresie październikowym. W pierwszym okresie wszystkich AK-owców nazywano „wrogami ludu” lub jako „zaplutyh kartów reakcji” — współpracowników hitlerizmu. Ta propaganda dominowała w urzędach bezpieczeństwa a także i w PZPR. Główny ton w likwidacji tzw. „wrogów” nadawały urzędy bezpieczeństwa, które w swoich kazmatach i więzieniach przetrzymywały tysiące niewinnych ludzi. Ubowcy zadbali, aby o stosowanych torturach nie dowiedziało się społeczeństwo. Starano się nie dopuścić, aby z budynków ich docierały jakieś głosy na zewnątrz. Stosowali ścisłą kontrolę korespondencji, zastraszano świadków i współoskarżonych, aby nie ujawnili najmniejszych szczegółów ze śledztwa. Do miejsc aresztowania jak i odbywania kary z zasady nie miał dostępu — sędzia i prokurator cywilny. Więzienia i areszty śledcze podlegały nadzorowi tylko urzędów bezpieczeństwa.

W stosunku do M. Jędrzejewskiego natychmiast po aresztowaniu zastosowano najbardziej okrutne metody śledcze, a do takich między innymi należało pobicie, w czasie którego wybito mu wszystkie zęby. Zastosowane do niego tzw. „konwojer” tj. wielodniowe przesłuchanie bez przerwy na sen. Metodę tę zalecał szczególnie szef bezpieczeństwa St. Radkiewicz. Z przesłuchań tych z zasady nie sporządzano protokołów. W aktach sprawy brak jest ponad 100 protokołów z przesłuchań M. Jędrzejewskiego. Stosowano do niego tak niebezpieczną dla zdrowia i życia torturę jakim był „pal Andersa”, który polegał na tym, że przesłuchujący urzędnik bezpieczeństwa odwracał krzesło do góry nogami i polecał się przesiadywać na jednej nodze odwróconego krzesła. Gdy więzień to uczynił to wówczas z boku doskakiwali będący w pomieszczeniu ubecy i trzymając ofiarę za barki wgniatali jego tułów, tak aby noga krzesła wcisnęła się do odbytnicy, powodując poważne obrażenia ciała i potworny ból więźnia.

Biegli sądowi przeprowadzający badania lekarskie M. Jędrzejewskiemu w czasie procesu o odszkodowanie, stwierdzili u niego szereg trwałych schorzeń, wynikających głównie z niedozwolonych przestępczych metod śledczych i warunków wykonywania izolacji, a do takich zaliczono utratę uzębienia, nerwicę ogólną, gruźlicę, zapalenie korzonków łądźwiowo-krzyżowych, chorobę wrzodową połączoną z rosekcją żołądka w czasie pobytu w więzieniu. Schorzenia te zdaniem biegłych czyniły M. Jędrzejewskiego niezdolnym trwać do pracy w 75%.

dokończenie na str. 5

dokończenie ze str. 4

Po powrocie z więzienia z uwagi na zły stan zdrowia w ogóle nie mógł podjąć pracy i w okresie od 23 III 1956 r. do 1 XII 1957 r. przebywał na leczeniu pod opieką znajomych i przyjaciół. Dopiero po tym czasie podjął pracę w Wojewódzkim Przedsiębiorstwie Hurtu Spożywczego Oddziału w Zakopanym, jako pracownik umysłowy. Przyznane mu odszkodowanie za niesłuszne skazanie i wykonanie kary przez Sąd Śląskiego Okręgu Wojskowego we Wrocławiu w dniu 22 VIII 1959 r. w kwocie 54.460 zł oraz przez Sąd Wojewódzki we Wrocławiu w dniu 4 XII 1964 r. w kwocie 69.620 zł, nie wyrównały ogromu krzywd, jakich doznał M. Jędrzejewski, zaliczony przez UB do najbardziej niebezpiecznych wrogów PRL, które mu życie darowano w trybie łaski.

**Jan Brodzisz** — urodz. 18 XII 1896 r. w Krakowie, członek AK III obszaru Lwowskiego, pseudonim „Scibor”, „Nowakowski”, „Nowicki”, za swą działalność partyzancką czterokrotnie odznaczony Krzyżem Walecznych. Po wysiedleniu ze Lwowa do Wrocławia podjął zatrudnienie jako kierownik Pracowni Reprodukcyjnej, Regionalnej Dyrekcji Planowania Przestrzennego we Wrocławiu. Tu już w dniu 1 X 1947 r. został aresztowany pod zarzutami z art. 6 i 23 małego kodeksu karnego tj. że działał na szkodę Państwa Polskiego w interesie obcego rządu oraz że rozpowszechniał fałszywe wiadomości, a nadto postawiono mu zarzut z art. 86 paragr. 1 i 2 kkwp, iż przemocą chciał obalić ustroj państwowy.

Za te zmyślane przez urzędników bezpieczeństwa czyny J. Brodzisz został skazany przez Wojskowy Sąd Rejonowy we Wrocławiu w dniu 30 XI 1948 r. na łączną karę 15 lat więzienia, utratę praw na okres 5 lat oraz przepadek majątku w całości /Sr.892/48/. Wyrok ten zatwierdził b. Najwyższy Sąd Wojskowy w dniu 16 IX 1949 roku.

W czasie wielomiesięcznego śledztwa poddano J. Brodzisza jak najbardziej wymyślnym torturom fizycznym i moralnym podobnie jak wszystkich masowo aresztowanych AK-owców-WIN-owców. Poza wielogodzinną stojką twarzą do oślepiających świateł reflektorów i stosowaniem „konwojery” oraz „pała Andersa”, był dotkliwie pobity, zachorował na ropną gruźlicę obu płuc, wystąpił u niego niedowład prawej nogi.

Lekarze określili jego ogólne wyczerpanie fizyczne i moralne jako nie rokujące poprawy i grożące zejściem śmiertelnym. Dlatego w czasie odbywania kary umieszczono go w Szpitalu Powiatowym w Rawiczu, skąd po kuracji miała go zabrać rodzina. Z tego też powodu Wojskowy Sąd Rejonowy we Wrocławiu udzielił mu rocznej przerwy w odbywaniu kary. J. Brodzisz przebywał w więzieniu przez okres 6 lat i 140 dni.

W 1962 r. Sąd Najwyższy na skutek rewizji nadzwyczajnej wznowił postępowanie w jego Sąd Wojewódzki we Wrocławiu w dniu 20 V 1963 r. uniewinnił go od wszystkich przypisanych mu czynów /sygn. IV K-13/63 oraz Kow 116/62/. Po opuszczeniu więzienia J. Brodzisz nie mógł podjąć pracy z uwagi na

zły stan zdrowia. Pozostawał na leczeniu oraz utrzymaniu rodziny. Ponadto sam fakt skazania za zbrodnie stanu uniemożliwił mu podjęcie jakiegokolwiek pracy w jednostkach uspołecznionych, w tym czasie ponad 90% pracowników znajdowało tam zatrudnienie. Dopiero po upływie ponad dwóch lat i uzyskaniu polepszenia stanu zdrowia podjął pracę z dniem 1 VI 1956 r. w Zakładach „Fotopan” PTTK jako kierownik laboratorium. Do chwili rozpoznania wniosku o odszkodowanie za niesłuszne skazanie (3 XII 1964 r.) z uwagi na zły stan zdrowia trzykrotnie zmieniał pracę i złożył wnioski o przejściu na rentę.

Przyznane przez Sąd Wojewódzki we Wrocławiu odszkodowanie w kwocie 128.618 zł jest odszkodowaniem symbolicznym i nie jest w stanie wyrównać wszystkich krzywd jakie doznał J. Brodzisz w tej bezprawności postępowania wobec niego władz śledczych i sądowych. Zarządzeniu wyższego odszkodowania przeszkadzały wytyczne Sądu Najwyższego, które polecały brać po uwagę sytuację finansową Państwa i jego możliwości płatnicze. Należy wspomnieć, że Sąd Wrocławski w porównaniu do innych okręgów, zasądzał dla niewinnie skazanych najwyższe jak na ówczesne warunki odszkodowania. Opinię tą wyraził adwokat dr Tadeusz Chromowski z Krakowa, pełnomocnik wielu poszkodowanych. Gwoli prawdy trzeba stwierdzić, że korzystny wpływ na zasądzanie przez Sąd Wrocławski wyższych odszkodowań od przeciwników, miał wiceprokurator wojewódzki Henryk Sienkiewicz, który sam jako członek AK (o czym dowiedziałem się później) nie zaskarżał do Sądu Najwyższego większości zasądzonych roszczeń, gdyż w przypadku zaskarżenia kwoty te były obniżane.

**Anatol Sawicki** — kpt. major, pseudonim „Młot”, „Cybulski” — ur. 1897. Zmarł w 1948 roku. Od stycznia 1943 r. komendant Inspektoratu AK Lwów. W akcji „Burza” dowódca części Zgrupowania Wschód V DP. Od sierpnia 1944 r. szef Okręgu NIE we Lwowie, zaś od grudnia 1945 r. komendant Eksterytorialnego Lwowskiego Okręgu WIN na Ziemiach Zachodnich. W działalności partyzanckiej na terenie Okręgu Lwowskiego był osobą wielce zasłużoną, wielokrotnie nagradzany Krzyżami Walecznych i Virtuti Militari. Walczył tylko z okupantami, ale chronił ludność polską przed mordami UPA. Przykładem tego jest obrona w okolicach Lwowa miejscowości Hańczów i innych przed pacyfikacją ukraińską. W 1945 r. A. Sawicki z grupą lwowską przyjeżdżał do Polski Centralnej.

WIN w swoich założeniach ideowo-politycznych zakładał o walkę z narzuconym siłą narodowi polskiemu sowieckim ustrojem, głównie środkami politycznymi, w celu odzyskania niepodległości. Sprowadzało się to do współpracy ze wszystkimi stronnictwami politycznymi będącymi w opozycji do moskiewskiej agentury w Polsce tzw. Rządu Tymczasowego. W stosunku do aresztowania Anatola Sawickiego zastosowano wszystkie z

najbardziej wyrafinowanych zbrodniczych metod śledztwa. Z zeznań słuchanych w sprawie świadków wynika, że stosowane do niego tortury tak go osłabiły, iż nie mógł on chodzić o własnych siłach. Na przesłuchania był wleczony przez strażników więziennych, na ciele widoczne były ślady brutalnego pobicia oraz ślady krwi na ubraniu. W czasie ostatniego przesłuchania ubecy tak go pobili i skopali, że zmarł w czasie tortur. Aby zetrzeć ślady swej zbrodni upozorowali samobójstwo przez wyskoczenie z IV piętra aresztu. Jednakże upozorowane samobójstwo nie było doskonałe, skoro z opinii lekarskiej, znajdującej się w aktach sprawy wynika, że mimo skoku z takiej wysokości, nie miał on złamanych rąk i nóg, natomiast miał połamane większość żeber i uszkodzone wewnętrzności.

Ze strony rodziny zamordowanego lub jego przyjaciół, nikt nie miał prawa zlecenia bezstronnego zbadania zwłok. Żonie A. Sawickiego, Emilii i jej córce Annie zakazali urzędnicy bezpieczeństwa wspomnienia komukolwiek o fakcie śmierci męża i ojca. Poza nimi na pogrzebie, nikt więcej nie mógł być obecny, z wyjątkiem księdza. Żona ani córka nie mogły nawet na cmentarzu zobaczyć ciała zmarłego. Pogrzeb odbył się ok. 10 dni od śmierci. O pogrzebie i miejscu pochówku dowiedziały się tuż przed tym faktem.

Wojskowa Prokuratura Rejonowa w dniu 30 XII 1948 r. umorzyła postępowanie wobec A. Sawickiego z powodu jego śmierci. W śledztwie stawiano mu zarzut z art. 86 paragr. 1 i 2 kkwp to jest, że przemocą chciał obalić ustroj państwowy. W dniu 11 V 1965 r. Prokurator Generalny wznowił postępowanie w sprawie A. Sawickiego i umorzył z powodu nie stwierdzenia przestępstwa.

To wznowienie umorzonego postępowania i stwierdzenie bezprawności stawianych zarzutów dało podstawę żonie i córce zamordowanego do wystąpienia o odszkodowanie za niesłuszne aresztowanie oraz zadośćuczynienia za straty fizyczne i moralne. Sąd przyznał Emilii Sawickiej i jej córce Annie łączne odszkodowanie w sumie 116 tys. zł. W motywach podkreślono, że w związku ze śmiercią A. Sawickiego obie poszkodowane przeżyły ten fakt bardzo dotkliwie, nie tylko z powodu utraty osoby najbliższej ale i dlatego, że znajomi odsunęli się od nich z obawy przed osobistymi prześladowaniami przez władze bezpieczeństwa. Okoliczność ta miała istotny wpływ na znaczne pogorszenie warunków życiowych, gdyż pozbawienie zarobków ojca rodziny uszczupliło znacznie budżet rodziny i ograniczyło możliwość kształcenia jednej córki, która w chwili śmierci ojca była uczennicą 10 klasy Liceum Ogólnokształcącego. W podobny sposób postąpiono z rodziną Bolesława Monne — architekta Wrocławia, którą po wielotygodniowych poszukiwaniach zawiodomiono o śmierci aresztowanego i o terminie pogrzebu, w którym mogła wziąć udział tylko żona, bez udziału córek w wieku szkolnym, a także bez możliwości oglądania zwłok zamordowanego.

Wnikliwe badanie podstaw aresztowania i skazania oraz przyczyn śmierci AK-owców-WIN-owców spowodowało decyzję Urzędu

dokończenie na str. 6

dokończenie ze str. 5

Bezpieczeństwa, że wszystkie akta b. Wojskowego Sądu Rejonowego we Wrocławiu przechowywane w Sądzie Wojewódzkim zostały przejęte przez następcę Woj. UB-WSW i gdy Sąd Wojewódzki rozpoznawał sprawę o odszkodowanie, to każdorazowo musiał się zwracać do władz bezpieczeństwa o dostarczenie konkretnych akt z obowiązkiem zwrócenia ich po wykorzystaniu. Z tego też widać jak bardzo UB-SB dbały, aby chronić przed opinią publiczną swoje dowody zbrodni. Dziś jeszcze są problemy z wydostaniem tych akt z archiwum.

**Gerard Mościński** pseudonim „Żakowski” urodz. 24 IX 1903 r. w Stablunku, członek AK-WIN, aresztowany 27 III 1948 r. — 10 VII 1954 r. W czasie śledztwa stosowano do niego różne formy tortur, co spowodowało nie tylko załamanie psychiczne ale i ujemnie odbiło się na jego zdrowiu, dowodem czego są zapiski lekarza więziennego, że dalszy pobyt w więzieniu zagraża jego życiu.

Wyrokiem b. Wojskowego Sądu Rejonowego we Wrocławiu sygn. Sr. 34/49 z dnia 21 I 1949 r. G. Mościński został skazany na karę 5 lat więzienia, utratę praw publicznych i obywatelskich praw honorowych na okres lat 5 i przepadek majątku, za czynny z art. 86 § 1 i 2 kkwp oraz z art. 6 i 7 mkk. Najwyższy Sąd Wojskowy postanowieniem z dnia 12 IV 1949 r. utrzymał ten wyrok w mocy. Kara ta była łagodzona po pierwszej rewizji nadzwyczajnej do 3 lat więzienia, zaś po drugiej rewizji i wznowieniu postępowania Sąd Wojewódzki we Wrocławiu wyrokiem z dnia 11 XII 1962 r. całkowicie uniewinnił go od wszystkich przypisanych mu czynów (IV K. 310/62).

Po obniżeniu kary Sąd Śląskiego Okręgu Wojskowego we Wrocławiu 22 VIII 1959 r. sygn. Że.79/59 przyznał G. Mościńskiemu odszkodowanie w kwocie 58.800 zł, zaś po całkowitej rehabilitacji Sąd Wojewódzki we Wrocławiu zasądził dla niego dalszą sumę 88.340 zł postanowieniem z dnia 4 XII 1964 r. (sygn. IV Kow. 67/63). W motywach do zasądzenia tego odszkodowania podniesiono, że G. Mościński przed aresztowaniem jako adwokat i radca prawny wykonujący praktykę prywatną miał możliwości znacznego zarobku, czego przez okres pobytu w więzieniu został pozbawiony. Na dowód czego przedłożył on szereg zaświadczeń, które potwierdzały taką pracę w kancelarii adwokackiej i radcowskiej na terenie Krakowa.

**Stefan Żmuda** pseudonim „Seweryn”, ur. 26 II 1908 r. w Strusowie pow. Trembowla, członek AK, dowódca grupy Dzielnicy Południe miasta Lwowa, magister filozofii, długoletni nauczyciel i dyrektor szkoły średniej we Lwowie. Po wysiedleniu ze Lwowa i po przyjeździe do Wrocławia ujawnił swoją działalność konspiracyjną ze szczegółami. Usiłował podjąć pracę w swoim zawodzie nauczycielskim. Jak wynika z dołączonego do akt zaświadczenia pisma Inspektoratu Szkolnego na miasto Wrocław z dnia 20 II 1948 r. nr. 1164/47, że prośba jego z dnia 16 VI 1947 r. w sprawie zatrudnienia w szkolnictwie pow-

szechnym została załatwiona odmownie z powodu braku etatów.

W tym czasie kiedy do zawodu nauczycielskiego angażowano ludzi z podstawowym wykształceniem, dla tego przedwojennego lwowskiego pedagoga nie było miejsca w polskiej szkole.

S. Żmuda nie otrzymawszy pracy zajmował się korepetycjami. W dniu 10 maja 1948 r. został aresztowany i w więzieniu przebywał do 18 maja 1954 r. Pierwotnie b. Wojskowy Sąd Rejonowy we Wrocławiu wyrokiem z dnia 24 XII 1948 r. sygn. Sr. 959/48 skazał go na 10 lat więzienia, a po zastosowaniu amnestii karę obniżono do 6 lat. Miał rzekomo popełnić zbrodnię z art. 86 paragr. 1 i 2 kkwp oraz z art. 6 i 23 paragr. 1 mkk. Orzeczono również w stosunku do niego utratę praw obywatelskich oraz przepadek mienia w całości.

Wyrok w stosunku do S. Żmudy został uchylony dopiero 26 III 1966 r. przez Sąd Najwyższy, a przy ponownym rozpoznaniu sprawy Sąd Wojewódzki we Wrocławiu uniewinnił Stefana Żmudę od wszystkich postawionych mu zarzutów (sygn. IV K. 79/66). W postępowaniu odszkodowawczym ujawniono groźbę przestępczych metod jakie stosowano do niego w czasie śledztwa, niemal wszystkie uprzednio wymienione formy tortur, a przede wszystkim wielogodzinne wyczekiwanie w pozycji stojącej, stosowanie „pala Andersa”, „kantówki”, pobicia (w czasie jednego z nich S. Żmuda stracił 7 zębów), karmienie słonymi śledziami bez możliwości popicia itd. W tym czasie poszkodowany zapadł na gruźlicę płuc.

Po zwolnieniu, przez okres ponad 7 miesięcy poszukiwał pracy. Dopiero na skutek interwencji władz centralnych przyjęto go do pracy w Wrocławskiej Bazie Remontowej z dniem 15 XII 1954 r. W swoim zawodzie nauczyciela S. Żmuda podjął pracę dopiero po październiku 1956 r. i to od razu na stanowisku kierownika Wydziału Oświaty Prezydium DRN Wrocław Fabryczna. Do czasu rozpoznania jego wniosku o odszkodowanie, jak wynika z opinii przełożonych cieszył się bardzo dużym zaufaniem Władz Oświatowych, wzorowo wywiązywał się z nałożonych na niego obowiązków, był bardzo dobrym organizatorem i inicjatorem wielu cennych koncepcji w zakresie nauczania i kierowania powierzonym mu Wydziałem.

Przyznane S. Żmudzie odszkodowanie w sumie 166.700 zł. objęło także i odpłatność za skonfiskowane mienie bez protokołu zajęcia i przyjęcia przez Skarb Państwa.

**Józef Kaszuba**, urodz. 14 X 1916 r. w Sokolnikach koło Lwowa, członek AK i WIN. Na terenach wschodnich wykazał się dużą aktywnością w działalności konspiracyjnej i partyzanckiej. Po przyjeździe na Dolny Śląsk podjął zatrudnienie jako przewoźnik w piekarni prywatnej u świadka Mieczysława Sulikowskiego. W dniu 22 V 1948 r. został aresztowany i w więzieniu przebywał do 1952 r. Wojskowy Sąd Rejonowy we Wrocławiu w dniu 24 XII 1948 r. sygn. 959/48 skazał go na 8 lat więzienia, utratę praw obywatelskich na 3 lata oraz przepadek mienia za sabotaż gospo-

darczy i chęć obalenia przemocą ustroju państwowego. Kara pozbawienia wolności została mu złagodzona na mocy amnestii do 4 lat więzienia, którą odbył w całości.

Na skutek rewizji nadzwyczajnej Sąd Najwyższy postanowieniem z dnia 26 III 1966 r. wznowił postępowanie co do J. Kaszuby i uchylił poprzednio wydane orzeczenia Sądu Wojskowego, a przy ponownym rozpoznaniu sprawy Sąd Wojewódzki we Wrocławiu wyrokiem z dnia 10 VI 1966 r. sygn. IV K. 79/66 uniewinnił go od wszystkich stawianych mu zarzutów.

Charakterystycznym w sprawie jest fakt, że J. Kaszuba nie wytrzymał stosowanych wobec niego tortur i przyznał się do wszystkich postawionych mu zarzutów. Stosowano do niego podobnie jak i do innych AK-owców i WIN-owców tortury, a do najbardziej dokuczliwych było przypiekanie ogniem, które to tortury pozostawiły trwałe ślady na jego ciele jak stałe wrzodząca warga przypalana w czasie śledztwa papierosem. Wielce dokuczliwym dla J. Kaszuby było nie podawanie mu przez dłuższy czas jedzenia tzw. głodzenie, by po tym okresie dostarczyć mu solonych śledzi, bez możliwości popicia wodą lub jakimkolwiek płynem. Te i inne tortury spowodowały, że w końcowej fazie śledztwa podpisywał wszystkie protokoły, które podsuwano mu w czasie przesłuchania.

Po opuszczeniu więzienia nie był zdolny do jakiegokolwiek pracy z uwagi na zły stan zdrowia. Schronienia udzieliła mu rodzina prowadząca gospodarstwo rolne. Przed aresztowaniem posiadał własne mieszkanie, które zostało mu zabrane a wyposażenie uległo przepadkowi.

Sąd Wrocławski przyznał J. Kaszubie sumę 83.400 zł. tytułem zadośćuczynienia za cierpienia fizyczne i krzywdę moralną oraz częściową utratę zarobku. W chwili rozpoznania wniosku 14 XI 1966 r. sygn. IV Kow. 116/66, miał on już stałą pracę.

**Maria Kamińska**, urodzona 10 XII 1912 r., członek AK i WIN, działała wspólnie z Marianem Jędrzejewskim i Zofią Orlicz. W okresie okupacji należała do aktywnych konspiratorów i brała udział w działaniach partyzanckich. Po wysiedleniu ze Lwowa podjęła zatrudnienie jako urzędnik Izby Rzemieślniczej we Wrocławiu. W dniu 25 III 1948 r. została aresztowana przez UB i pozostała w więzieniu do 25 III 1953 r., zaś przez b. Wojskowy Sąd Rejonowy we Wrocławiu wyrokiem z 29 XI 1948 r. sygn. Sr. 894/48 została skazana na karę łączną 8 lat więzienia i utratę praw obywatelskich na 3 lata, za zbrodnię określoną w art. 86 kkwp i w art. 6 mkk. Kara ta została złagodzona przez Najwyższy Sąd Wojskowy postanowieniem z dnia 16 II 1949 r. do 5 lat więzienia.

Na skutek rewizji nadzwyczajnej Sąd Najwyższy postanowieniem z 3 VI 1967 r. wznowił postępowanie co do M. Kamińskiej i uchylił orzeczenie Sądów Wojskowych, kierując sprawę do ponownego rozpoznania (sygn.

dokończenie na str. 7



dokończenie ze str. 6

II Ko.7/67). Rozpoznając sprawę ponownie Sąd Wojewódzki we Wrocławiu wyrokiem z 29 VIII 1967 r. uniewinnił ją od wszystkich postawionych zarzutów, uznając skazanie za oczywiste bezzasadne (akta IV K. 101/67).

W toku śledztwa M. Kamińska przesłała prawie wszystkie formy znęcania się stosowane przez ubawców w czasie kilku miesięcy. Z chwilą aresztowania straciła trzypokojowe mieszkanie i cały dobytek bez orzekania przepadku majątku. Po powrocie z więzienia przez dłuższy czas nie mogła otrzymać pracy. Przyznane jej odszkodowanie za cierpienia fizyczne i krzywdę moralną oraz z tytułu utraconych zarobków w kwocie 89.700 zł. było ograniczone tak jak we wszystkich tego rodzaju przypadkach wytycznymi Wymiaru Sprawiedliwości i Praktyki Sądowej do przepisów art. 510-516 kpk, w których zaleca się, aby przy zasądzeniu odszkodowań brać pod uwagę ciężką sytuację finansową Państwa.

Zofia Orlicz — adiunkt Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie. W okresie okupacji AK Inspektoratu Lwów-Miasto zasłużona dla tej organizacji, odznaczona czterema Krzyżami Walecznych i Virtuti Militari. Po wysiedleniu z grupą lwowskich Akowców przyjechała na Ziemię Zachodnie (krótko tylko przebywała w Krakowie). Po ujawnieniu swej działalności konspiracyjnej w Ak, miała trudności w znalezieniu pracy, utrzymywała się z korepetycji. W 1948 r. została aresztowana i w więzieniu przebywała przez ponad 6 lat. Skazana pierwotnie przez b. Wojskowy Sąd Rejonowy 21 I 1949 r. na najdłuższą karę terminową z art. 86 paragr. 2 kkwp, w późniejszym okresie przypisany jej czyn uległ modyfikacji, a kara złagodzeniu. Ostatecznie przyjęto, że Zofia Orlicz wspólnie z Marianem Jędrzejewskim i Gerardem Mościńskim w okresie od 1945 r. do końca 1946 r. w celu dokonania zmiany przemocą ustroju Polski Ludowej weszła w porozumienie z innymi osobami w ten sposób, że przystąpiła do kontrolucyjnego związku rekrutującego się spośród członków byłego okręgu lwowskiego Armii Krajowej z tym, że Marian Jędrzejewski pełnił funkcję komendanta trzech dzielnic i z tego tytułu przysyłał komendantowi całości tegoż związku Anatolowi Sawickiemu miesięczne sprawozdania sytuacyjne, zawierające wiadomości o rozmieszczeniu, ilości i uzbrojeniu wojska, działalności UB i MO, działalności partii i inne, zaś Gerard Mościński pełnił funkcję płatnika w tym związku, a Zofia Orlicz pełniąc funkcję sekretarki komendanta tegoż związku, gromadziła wiadomości o ilości, rozmieszczeniu i uzbrojeniu wojska, działalności UB i MO, działalności partii i inne, zaś Gerard Mościński pełnił funkcję płatnika w tym związku, a Zofia Orlicz, pełniąc funkcję sekretarki komendanta tegoż związku, gromadziła wiadomości o ilości, rozmieszczeniu i uzbrojeniu wojska, działalności UB i MO, działalności partii politycznych i inne, które przekazywała komendantowi związku, a ponadto wydawała polecenia w celu rozpowszechniania nielegalnej prasy pt. „Wolność i Niezawisłość”, zawierającej fałszywe wiadomości,

mogące wyrządzić istotną szkodę interesom Państwa Polskiego i obniżyć powagę jego naczelnych organów.

Na skutek rewizji nadzwyczajnej wyrok w sprawie Sr. 34/49 został uchylony, a przy ponownym rozpoznaniu sprawy przez Sąd Wojewódzki we Wrocławiu w dniu 11 XII 1962 r. sygn. akt IV K.310/62, Zofia Orlicz została uniewinniona od wszystkich postawionych jej zarzutów.

Należy wspomnieć, że w toku śledztwa w stosunku do Zofii Orlicz stosowano najbardziej okrutne metody wymuszania zeznań, bowiem poza torturami uprzednio wymienionymi znęcano się nad nią poprzez bicie po stopach, kopanie nogami. W czasie kopań po klatce piersiowej i głowie doszło do uszkodzenia kręgosłupa, a w następstwie tego wywiązało się kalectwo. Z opinii Zakładu Medycyny Sądowej we Wrocławiu wynika, że kalectwo Z. Orlicz było wynikiem obrażeń doznanych w czasie śledztwa, oraz że jej stan zdrowia czyni ją niezdolną do dalszej pracy. Poszkodowana miała już przyznana rentę inwalidzką, dlatego sąd przyznał jej dodatkowo rentę wyrównawczą obok renty ZUS (IV Kow.101/63).

Przy zarządzaniu odszkodowania za cierpienia fizyczne i krzywdę moralną wzięto pod uwagę okoliczność stosowania w śledztwie tortur, które stały się powodem jej trwałego kalectwa. Wpłynęło ono bardzo niekorzystnie na dalszy jej los, nie ty! o dlatego, iż nie mogła dalej kontynuować swej pracy naukowej, ale również dlatego, że odbiło się to na jej sytuacji rodzinnej. Do dziś staje mi przed oczyma ta schorowana zgięta niemal w kabłąk drobna kobieta, o której nie powinni zapomnieć potomni. Jej sylwetka wymaga oddzielnego opracowania biograficzno-historycznego.

Emilia Olga Lewandowska, członek AK III obszaru lwowskiego, wielokrotnie odznaczona za działalność partyzancką, działaczka WIN w grupie lwowskiej. Już w dniu 26 IX 1947 r. została aresztowana i przebywała w więzieniu do 18 I 1955 r. tj. przez 7 lat, 3 miesiące i 22 dni. Była skazana wyrokiem Wojskowego Sądu Rejonowego we Wrocławiu z dnia 30 XI 1948 r. sygn. Sr.892/48, za zbrodnię z art. 86 paragr. 1 i 2 kkwp oraz z art. 6 i 23 mkk na karę 12 lat więzienia, utratę praw obywatelskich na okres 5 lat oraz przepadek majątku w całości. Przedmiotowy wyrok został zatwierdzony orzeczeniem Najwyższego Sądu Wojskowego w Warszawie z dnia 16 IX 1949 r. Z więzienia została zwolniona na skutek złagodzenia wyroku przez Zgromadzenie Sędziów Najwyższego Sądu Wojskowego z dnia 5 I 1955 r. (sygn. Zgr. Og.530/54), do 5 lat i 4 miesięcy więzienia. I ta decyzja została uchylona rewizją nadzwyczajną z dnia 22 XII 1962 r. przez Sąd Najwyższy, który po wznowieniu postępowania przekazał sprawę Sądowi Wojewódzkiemu we Wrocławiu do ponownego rozpoznania. W dniu 13 V 1963 r. O. Emilia Lewandowska została uniewinniona od wszystkich przypisanych jej czynów (IV K.13/63).

Stan jej zdrowia po opuszczeniu więzienia był zły. Tak jak wszyscy aresztowani AK-ow-

cy i Winowcy w czasie śledztwa przechodzili jak najbardziej wyrafinowane tortury o których już wyżej wspomniano. Dla E.O. Lewandowskiej najbardziej dotkliwymi było palowanie po piętach przez oprawców UB, wsadzanie do karceru tylko w białiznie (karcer ten miał wybite szyby). To i inne formy znęcania się nad nią były powodem usiłowania popełnienia samobójstwa a także przyczyną jej trwałych schorzeń w postaci przewlekłego zapalenia korzonków nerwowych, reumatyzmu, które musiała stale leczyć.

Przyznane odszkodowanie postanowieniem Sądu Wojewódzkiego we Wrocławiu z dnia 3 XII 1964 r. sygn. IV Kow.66/63 w kwocie 103.675 zł w oparciu o przepisy art. 510-516 kpk przy uwzględnieniu wytycznych wymiaru Sprawiedliwości z dnia 7 VI 1958 r. było jednak nieadekwatne do doznanych krzywd fizycznych i moralnych, ale w tym czasie przyznanie wyższego odszkodowania nie było możliwe.

Kazimierz Pawlaczek, pseudonim „Bojowy”, członek AK i WIN, uczestnik wojny w 1939 r. We Lwowie brał czynny udział w konspiracji. Oddział AK w którym walczył w 1942 r. odbił grupę około 150 żydów, których gestapo i żandarmeria niemiecka prowadziła na rozstrzelanie. Wszystkich odbitych ulokowano w polskich domach i kryjówkach. W odwecie na tę akcję gestapo wymordowało mu rodzinę. Za udział w wielu akcjach partyzanckich został odznaczony czterokrotnie Krzyżem Walecznych i Virtuti Militari.

Po wyjeździe ze Lwowa w 1945 r. osiedlił się wraz z rodziną w Bielawie i podjął pracę w Bielawskich Zakładach Bawełnianych. W 1948 r. został aresztowany pod zarzutem przechowywania broni, pamiątkowego pistoletu z AK oraz zbrodni z art. 86 paragr. 1 i 2 kkwp i innych przepisów mkk. Zawieszony do Woj. Urzędu Bezp. we Wrocławiu, obronił się przed pobiciem (był wysoki, silny fizycznie). Wobec tego zaprowadzono go do celi i przez tydzień nie dawano mu jedzenia, a gdy osłabł wezwano go na przesłuchanie i skopano po całym ciele. Następnie za nogi ściągnięto go z trzeciego piętra do karceru w piwnicy, gdzie oświadczone mu, że zostanie skazany na karę śmierci. Wobec tak osłabionego człowieka stosowano wszystkie ubekie tortury. Gdy K. Pawlaczek szczegółowo opisywał sposoby wymuszania jego zeznań, biorąc udział w procesie jako ławnik, Ewa Szumańska poprosiła mnie jako przewodniczącego tego posiedzenia sądu o zarządzanie przerwy, gdyż poczuła się słabo. W końcowych wypowiedziach Pawlaczek oświadczył, że nie miałby pretensji gdyby owe tortury stosowali do niego Polacy czy Rosjanie, ale Żydzi, których tyłu uratował od śmierci, to tego nie może zrozumieć.

Zgodnie z zapowiedzią ubeków Wojskowy Sąd Rejonowy we Wrocławiu skazał K. Pawlaczka na karę śmierci i przepadek majątku, z którego już w chwili aresztowania rodzina została całkowicie wywłaszczona. Po zatrzymaniu poszkodowanego w nocy równocześnie wyrzucono na bruk jego żonę i dzieci. Rano w ich mieszkaniu osiedlił się już Ubowiec.

dokończenie na str. 8

dokończenie ze str. 7

Gdy wyrok śmierci został zatwierdzony przez Najwyższy Sąd Wojskowy i zbliżało się jego wykonanie, żona K. Pawlaczyka wyjechała do Warszawy aby dostać się do prezydenta z prośbą o łaskę. Przez tydzień codziennie czuwała pod Belwederem czy na spacer nie wychodzi Bierut i gdy jednego razu zauważyła go przechodzącego, potrąciła strażnika i rzuciła się przed nim na kolana. Polecił jej wstać, wysłuchał i oświadczył: „matko, twój mąż będzie żył”. W drodze łaski zamieniono mu karę śmierci na dożywotnie więzienie, które trwało do października 1956 r. Najważniejszym dla wszystkich AK-owców i WIN-owców był fakt przywrócenia im utraconych odznaczeń oraz uznanie skutków skazania za niebyłe.

Nie była to jednak pełna rehabilitacja. Gdy stosowano w stosunku do nich areszty, prowadzono procesy i ogłaszano wyroki, to wówczas prasa, radio i telewizja „bebnili” o tym na cały kraj, ale gdy ich rehabilitowano i zasądzono odszkodowania od Skarbu Państwa, to nie wolno było nawet publikować najmniejszej zmiany o ich niewinności i przywróceniu praw obywatelskich i honorowych. We władzach nadal działali poprzedni oprawcy i czekali na nawrót stalinizmu. Oni to nadawali ton i czuli się bezkarni, awansowali i zajmowali intratne stanowiska.

W nawiązaniu do powyższych spraw chciałem przedstawić kilka sytuacji i refleksji osobistych: otóż w ziązku z koniecznością ustalenia podstaw do tymczasowego aresztowania jednego z oskarżonych (W.Kabata), podjąłem decyzję w postanowieniu o przesłuchaniu w charakterze świadka b. szefa Rejonowej Prokuratury Wojskowej w osobie Filipa Barskiego, który po likwidacji tej jednostki w 1956 r. objął stanowisko naczelnika Wydziału I Prokuratury Wojewódzkiej we Wrocławiu. Wydział ten zajmował się problemami praworządności w okręgu. Chyba chodziło o to, aby nie dopuścić do ujawnienia zbrodni, które popełniali ubecy w milicji, prokuraturze wojskowej i sądach wojskowych, a także w innych władzach i urzędach zwłaszcza bezpieczeństwa. Przesłuchiwany przed Sądem Wojewódzkim jako świadek F. Barski na postawione mu pytanie, na jakiej podstawie wydał on postanowienie o zastosowaniu aresztu tymczasowego wobec W.Kabata, to po zapoznaniu się z aktami, oświadczył iż tak mu kazali. Na dalsze pytanie kto mu wydał takie polecenie, zasłonił się tajemnicą państwową.

Przewodnicząc temu posiedzeniu, powiedziałem F. Barskiemu, że za jego decyzje prokuratorskie Skarb Państwa zapłacił wiele milionów złotych dla oskarżonych przez niego osób, które w późniejszych procesach rehabilitacyjnych zostały niewinności. Z akt spraw o odszkodowanie, które osobiście rozpoznawałem stwierdziłem, że on jako prokurator stosował areszty wobec niewinnych ludzi, tolerował tortury w czasie śledztwa, aprobował fałszywe dowody i wymuszone zeznania, które były podstawą do skazania. Nawet po rehabilitacji swoich ofiar nie miał on żadnych skrupułów,

by pełnić odpowiedzialną funkcję prokuratora „strzegącego prawa”. Dodałem, że z tego rodzaju postępowanie poniosłby odpowiedzialność w każdym innym kraju. Odpowiedzią na tę uwagę oraz fakt, że miałem „odwagę” przesłuchiwać w Sądzie urzędującego prokuratora, była inwigilacja mojej osoby. Zastanawiano się również czy mogą być dalej sędzią.

Sytuacja w kraju nie pozwoliła przez pewien czas stróżom porządku zajmować się moją osobą, tym bardziej iż wkrótce po marcu 1968 r. jak się dowiedziałem, Filip Barski wyjechał najpierw do Austrii, później do Danii, a następnie do Izraela, skąd przez radio informował o krzywdach jakich doznali Żydzi od Polaków. Należy także podnieść, że w chwili likwidacji Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa we Wrocławiu znaleziono około 100 sztuk blankietów postanowień o tymczasowym aresztowaniu, podpisanych przez F. Barskiego jako szefa Prokuratury Wojskowej bez wypełnienia tych blankietów.

W kraju w tym czasie zawzięcie ścigano zbrodniarzy hitlerowskich, zaś zbrodniarze stalinowscy zajmowali wysokie stanowiska i kpili sobie z zasad sprawiedliwości. I do dziś nie zostali wskazani nawet palcem.

Przykładem tego jest poza Filipem Barskim, także szef Wojskowego Sądu Rejonowego Włodzimierz Ostapowicz, który zlecił wykonanie kary śmierci wobec 20 letniego chłopca, studenta, któremu zarzucono, że w Szprotawie brał udział w zabójstwie oficera radzieckiego. W aktach sprawy była notatka w języku rosyjskim, że dokonał tego zabójstwa

drugi oficer z zazdrości o żonę i że przeciwko temu prowadzi się postępowanie w Prokuraturze Garnizonu Radzieckiego. Ten dokument dla pana Ostapowicza nie był wystarczający, skoro dwaj chłopcy spacerujący nad rzeką w Szprotawie uciekali, gdy popełniono zabójstwo. Gdy ubowcy w czasie rewizji podrzucili broń, a po torturach wymusili ich przyznanie się do zabójstwa, to wystarczyło aby stracić młodego człowieka. Przecież w oparciu o te same akta zostali po październiku rehabilitowani. Plutonem egzekucyjnym przy straceniu chłopca dowodził Roman Strugalski. Po październiku 1956 r. zarówno jeden jak i drugi zostali wpisani na listę adwokatów we Wrocławiu i nie potrzebowali rozliczać się ze swej stalinowskiej przeszłości.

Władysław Kupiec

### Od redakcji:

W Polsce trwają prace legislacyjne nad nowelizacją ustawy o Kombatantach i niektórych osób represjonowanych ze stycznia 1991 r. Największe protesty i oburzenia wywołuje projekt zapisu przyznający prawa kombatancie b. funkcjonariuszom UB i SB, co przekreśliłoby słuszne oczekiwania społeczne na moralne rozliczenie okresu stalinowskiego. Powyższy artykuł rzuca światło na tę ponurą przeszłość, za którą winni zbrodni wobec osób działających w AK, WIN i innych organizacjach niepodległościowych nie ponieśli żadnej kary, jak wymienieni w nim Filip Barski, Włodzimierz Ostapowicz i Roman Strugalski. Dwaj ostatni podobno już nie żyją.

## Pożegnanie

JADWIGA SIBIGA

*Żegnam Cię Miasto — miasto, którego już nie ma,  
Żegnam Cię drogo do Domu  
nadziejo niepotrzebna nikomu  
i niespełnione marzenia*

*Żegnam Was ulice bezimiennie  
okna domów jak martwe źrenice  
milczące wieże Kościołów,  
zamilkłe zegarów bicie*

*Żegnam Was ogrody i parki  
cmentarze, miejsca święte  
place i ulic zakamarki  
i lwy w kamień zakłęte*

*Żegnam Was ...*

*Wielka rola Instytutu profesora Rudolfa Weigla w dziele osłony interesów polskiej ludności Lwowa w warunkach okupacji sowieckiej i niemieckiej jest bezsprzeczna.*

*Znaczenie Instytutu w tej dziedzinie wynika z dwóch zasadniczych uwarunkowań, a mianowicie całkowitego opanowania Zakładu przez najbardziej świadomą dziejowych zagrożeń warstwę społeczną jaką była inteligencja lwowska i umiejętności wykorzystania bezwzględnej dla okupantów konieczności uzyskania w skali przemysłowej szczepionki przeciw tyfusowi plamistemu.*

## Rola Instytutu Tyfusowego profesora Rudolfa Weigla w osłonie ludności i konspiracji polskiej w okupowanym Lwowie

JERZY GARDYNIK

W tym czasie jedynie profesor Weigl i jego współpracownicy mogli podołać opanowaniu tego rodzaju produkcji. Natomiast światowa sława profesora nie była dla najeźdźców nawet najmniejszą przesłanką do tworzenia ulg czy kompromisów w stosunku do osób przez niego zatrudnionych. Dostatecznie o tym świadczą właśnie daleko idące represje jak aresztowanie przez hitlerowców administratora gmachu Instytutu przy ulicy Potockiego Kazimierza Berga związanego z konspiracją harcerską, doktora zakładowego Karola Różyckiego, czy też osób pochodzenia żydowskiego, zatrudnionych w Instytucie takich jak kontroler zespołu strzykaczy harcmistrz Marian Rosen i jego zgładzona później matka pracująca jako karmicielka.

Natomiast posiadając bezpośredni wpływ na przyjęcia do pracy profesor stworzył system gwarantujący zgodną z interesami ludności polskiej selekcję przyszłych pracowników, zaś preferując osoby najbardziej zagrożone spowodował pogłębienie owej selekcji i w sposób naturalny doprowadził do dużego nasycenia Instytutu pracownikami związanymi z patriotycznym polskim ruchem podziemnym, z konspiracją wojskową i cywilną.

Sprawy techniczne związane z przyjmowaniem do pracy zostały przez profesora powierzone bezpośrednio doktor Annie Herzig. Przy staraniach o pracę w Instytucie, przynajmniej w stosunku do petentów mniej znanych należało posiadać rekomendacje od osób lub pracowników Instytutu znanych profesorowi Weiglowi, doktor Annie Herzig oraz doktorowi Henrykowi Mosingowi. Rozmowy ze starającymi się o przyjęcie do

pracy doktor Herzig prowadziła w oparciu o dane uzyskane od osób rekomendujących kandydata. Pytania jej były docieklive zwłaszcza w szczegółach niedopowiedzianych przez rekomendujących. Bardzo często o przyjęciu do pracy decydował stopień zagrożenia ze strony okupanta.

W czasie pierwszej okupacji sowieckiej istniał ogólny zakaz zatrudniania Polaków — uciekinierów z zachodniej i centralnej Polski. Według zamierzeń okupanta ludzie ci mieli być wywiezieni w głąb Rosji. Mimo tego uciekinierzy byli zatrudniani w Instytucie. Przykładem tego jest przyjęcie do pracy jako strzykacza poznańskiego prawnika Aleksandra Zwierzyńskiego. Tuż po wkroczeniu Niemców do Lwowa, do Instytutu przyjęto kilku Polaków byłych więźniów NKWD, którzy zdołali umknąć kaźni przy wycofywaniu się Rosjan z Polski. Zatrudnienie jako strzykacze znaleźli wtedy między innymi były komendant Lwowskiej Chorągwi Harcerzy związany z harcerską konspiracją Aleksander Szczęścikiewicz, któremu udało się zbiec z więzienia w Brygidkach i uczestnik konspiracji antysowieckiej we Lwowie Marian Gubrynowicz, który uciekł z więzienia w Berdyczowie.

Nasycenie Instytutu członkami lwowskiej konspiracji wojskowej było powodem zatrudnienia w nim, tuż po zajęciu Lwowa przez Niemców, córki byłego ministra Grabskiego. Przybyła ona do Lwowa na rozkaz Komendy ZWZ w Warszawie jako upoważniony delegat. Zadaniem jej było nawiązanie bezpośredniej łączności konspiracyjnej z komendą ZWZ na okupację sowiecką we Lwowie w zaplanowanym po-

łączeniu obu wielkich struktur konspiracji wojskowej. Grabska została delegowana do Lwowa jako osoba znana w środowisku i wskutek tego mogąca podołać nawiązaniu bezpośredniej łączności. Działo się to w czasie nader krytycznym dla lwowskiej konspiracji wojskowej, po okresie trudności w przechodzeniu granicy obu okupacji, w warunkach niechęci do utraty samodzielności przez lwowskie środowisko i rodzącej się sprawy pułkownika Macielińskiego. W tej sytuacji misja Grabskiej była bardzo trudna. Być może Grabska posiadała dużą intuicję podchodząc do poszczególnych pracowników Instytutu związanych z konspiracją. Być może ktoś bardziej zorientowany skierowywał ją do odpowiednich osób. W każdym bądź razie o misji Grabskiej wiedzieli w Instytucie wiele osób. Mimo to nie miały miejsca przecieki informacji w niepożądanym kierunku, co bardzo dobrze świadczyło o wartościach sporej przecież grupy ludzi w Instytucie zorientowanych w charakterze misji Grabskiej, która bezpiecznie wypełniła swoją misję.

Wskutek patriotycznej postawy profesora Weigla i jego pracowników w czasie okupacji niemieckiej wzrosło znaczenie Instytutu jako ośrodka pełniącego funkcje osłonowe w stosunku do ludności polskiej, a zwłaszcza osób związanych z życiem konspiracyjnym. Wielkie w tym zakresie znaczenie miała możliwość uzyskiwania legitymacji zakładowych na blankietach firmowanych przez Oberkomande der Wehrmacht, dających swobodę poruszania się bez obawy zatrzymania w akcjach policyjnych takich jak łapanki i wywozy do Niemiec na roboty. Legitymacje Instytutu stwarzały osobom związanym z konspiracją możliwość swobodnego poruszania się po mieście. W przypadku karmicieli wszy laboratoryjnych istniało uzasadnienie do co najmniej dwukrotnego wychodzenia z domu w ciągu dnia i wykorzystywania swobodnego czasu na cele konspiracyjne. Z tych względów osoby związane w wielkim zakresie z działalnością podziemną pracowały przeważnie w Instytucie jako karmiciele. Karmicielem wszy był między innymi szef sztabu Lwowskiego Okręgu AK major Karol Borkowiec (pseudonim „Zenek”), były adiutant dowódcy 19 pułku piechoty Odsieczny Lwowa, który bardzo wysoko oceniał zasługi Instytutu dla AK. Karmicielką wszy była również docent Uniwersytetu Jana Kazimierza Stefania Skwarczyńska, która wówczas sprawowała kierownicze funkcje w podziemnych wydawnictwach. W zespole doktora Henryka Mosinga pracował Tadeusz Garliński, ściśle związany z konspiracyjną Delegaturą Rządu.

Dość znaczna ilość legitymacji instytutowych została rozdzielona między działaczy podziemnych nie pracujących w Instytucie. Do takich należał porucznik Laskowski,

*dokończenie na str. 10*

dokończenie ze str. 9

którego specjalnością była dywersja zarządzeń okupacyjnych.

Przykładem nasycenia niektórych zespołów pracowniczych członkami konspiracji mogą być grupy strzykaczy pozostające we wspólnym pomieszczeniu i kierowane przez ówczesnego lekarza weterynarii Lesława Ogielskiego i nauczyciela szkół średnich Neuhoffa. W wymienionych grupach pracowały osoby związane z:

- Delegaturą Rządu — Neuhoff,
- Kompletami Podziemnego Nauczania — Smyrska Halina, Chmura Artur,
- ZWZ-AK-NIE i inne organizacje wojskowe:
  - Kaniak Tadeusz, przedwojenny oficer Straży Granicznej,
  - Szczepański Leszek, porucznik 10 dywizjonu pancernego z Żurawicy, utalentowany artysta-grafik, karykaturzysta,
  - Madurowicz Roman, podporucznik 40 pułku piechoty Dzieci Lwowskich, porucznik AK, komendant Rejonu Pasięki Łyczakowskie w dzielnicy AK Lwów-Wschód, więzień Gułagu,
  - piszący te słowa, żołnierz Ochotniczej Brygady Obrony Lwowa w 1939 r., zastępowy harcnerskiego wywiadu wojskowego w 1939-40 r., żołnierz ZWZ-AK, elew Szkoły Podchorążych Piechoty AK, następnie zastępca dowódcy plutonu piechoty i kolejno dowódca plutonu (w czasie Burzy), komendant rejonu I-go w dzielnicy Lwów-Zachód NIE, więzień Gułagu, podporucznik AK,
  - wywiad AK — inż. Pyszyński i student Akademii Weterynarii Dobrzański.

Wymienione osoby stanowiły około 50% pracowników w danych grupach strzykaczy, którzy przewinęli się przez nie w czasie okupacji niemieckiej. Mniej więcej takie proporcje były obserwowane w większości zespołów.

Instytut prowadził również własną działalność konspiracyjną sprowadzającą się do przydzielania szczepionek najlepszej jakości do obozów koncentracyjnych, gheft i oddziałów partyzanckich. Możliwe było to w wyniku niemieckiej aprobaty na produkcję słabszych szczepionek, lecz wytwarzanych w wielkiej ilości dla żołnierzy niemieckich. Tak więc Wehrmacht otrzymywał najgorsze szczepionki.

Zasługą Instytutu wobec własnej młodzieży było praktyczne zlikwidowanie obowiązku służby w Baudienście. Początkowo uzyskano zgodę władz okupacyjnych na odbywanie służby w Baudienście wyłącznie dla potrzeb Instytutu. Okazało się, że w tych warunkach instytutowy Baudienst nie ma prawie pracy. Kazano więc młodym pracownikom powrócić do swojej pracy w Instytucie.

Autor zdaje sobie sprawę, że niniejsza relacja stanowi zaledwie wycinkowy opis działalności Instytutu w zakresie osłony ludności polskiej w czasie okupacji i będzie bardzo wdzięczny za uzupełnienia i dodatkowe opisy kierowane na adres redakcji Semper Fidelis.

Jerzy Gardynik

## Instytut Tyfusowy we Lwowie w świetle niemieckich dokumentów

ZDZISŁAW OJRZYŃSKI

Niemiecka machina wojenna rozpoczynając II wojnę światową była według jej autorów starannie przygotowana. Dziś można powiedzieć, że wiele problemów prowadzenia wojny nie zostało w odpowiedni sposób rozwiązanych. Dotyczyło to przede wszystkim idei wojny błyskawicznej „Blitzkriegu”. Idea ta została zrealizowana w wojnie z Polską i na Zachodzie, lecz zawiodła w działaniach wojennych na Wschodzie. Przedłużające się działania wojenne, rosyjska zima, obejmowanie akcją zbrojną coraz to większych obszarów, narastający problem jeńców wojennych przy niewłaściwym przygotowaniu do tych problemów niemieckiej armii jak i jej służb sanitarnych postawiło dowództwo niemieckie w beznadziejnej sytuacji.

Niemcy, ufni w swoją przewagę militarną nowoczesnej broni pancernej i lotnictwa, co zresztą potwierdziły działania wojenne w Polsce, Francji i w mniejszych państwach w Zachodniej Europie nie przewidywali, że oprócz oporu nieprzyjaciela przyjdzie im się zmierzyć i do tego w zupełnie innej skali z trudnymi warunkami klimatycznymi, z epidemiami biegunk, tyfusu brzuszego i plamistego oraz z innymi chorobami zakaźnymi.

Dopiero po pewnym czasie Niemcy ocknęli się w co się wplątali — niestety, było wtedy już za późno.

Przykładem tego jest list czołowego ideologa-rasisty dr. Rosenberga z dnia 28.03.1942 r. do marszałka Keitla w sprawie sowieckich jeńców wojennych, których wzięto do niewoli ponad 3,5 miliona. Niedorzywni, bez dachu nad głową, w zimowych rosyjskich warunkach, przy panującej epidemii duru plamistego oraz innych chorób zakaźnych masowo umierali, będąc jednocześnie poważnym zagrożeniem dla żołnierzy niemieckich.

Chciałbym tu dodać, że z tej liczby około 2 milionów zostało przez Niemców zgładzonych. Dowództwo sowieckie nie było zupełnie zainteresowane losom swych żołnierzy, którzy dostali się do niewoli niemieckiej. Znamienna jest tu wypowiedź sowieckiego ambasadora Kołłataja: „iż Związek Sowiecki nie zna pojęcia „sowieckiego jeńca wojennego”, zaś wszystkich tych, którzy dostali się do niewoli Związek Sowiecki traktuje jako dezertersów, tak więc jeńców czekała niechybna śmierć, tylko że z rąk „współbraci”.

Epidemie nie ograniczały się wyłącznie do zgrupowania jeńców wojennych — tam bowiem, gdzie był głód, brud i wszy — tam

zawsze istniała groźba śmierci. Mikat podaje, że w wojskach lądowych III Rzeszy zmarło z powodu tyfusu plamistego około 23 000 żołnierzy. Niemcy rzeczywiście bali się tej choroby, wobec czego usilnie pracowali nad sposobem jej leczenia.

Do wybuchu II wojny światowej jedynym skutecznym i wypróbowanym środkiem przeciwko tej strasznej chorobie, zbierającej szczególnie w czasach wojny wielkie żniwo śmierci była szczepionka opracowana przez lwowskiego profesora, kierownika Katedry Biologii Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Jana Kazimierza dr. Rudolfa Weigla.

Charakter postępowania prof. Weigla był typowy dla wielkiego humanisty, człowieka nauki — niczego ze swych odkryć nie ukrywał, chętnie udzielał wszelkich informacji, przez Jego pracownie przewijało się wielu uczonych z całego świata. O wynikach stosowania szczepionki w różnych krajach świata wiadano doskonale. W tym czasie poważne firmy farmaceutyczne, szczególnie niemieckie prowadziły intensywne badania i poszukiwania innych metod niż tych, jakimi posługiwał się prof. Weigl. Do firm najbardziej liczących się w świecie należały zakłady szczepionek Behringwerke w Marburgu-Lahn.

Przeto, po wkroczeniu wojsk niemieckich do Lwowa w lipcu 1941 r., Niemcy postawili prof. Weiglowi kilka propozycji tak do Jego osoby, jak i Instytutu Tyfusowego. Propozycja przyjęcia obywatelstwa niemieckiego, ku zdziwieniu Niemców została przez profesora odrzucona, a co do Instytutu Niemcy wysunęli następującą alternatywę: ponieważ szczepionka musi być produkowana i to w dużych ilościach pod kierownictwem prof. Weigla — wobec tego:

— Instytut musi być pod zarządem niemieckim cywilnym,

— Instytut może być również prywatny, z tym, że tak w jednym jak i w drugim przypadku działalność jego byłaby kontrolowana przez Geheimstaatspolizei (Gestapo)

— oraz trzecia ewentualność, że Instytut podlegałby OKH (Oberkommando des Heeres) naczelnemu dowództwu armii.

Niemcy zapewnili profesorowi niezależność działania, samodzielność prac badawczych i możliwość decydowania o składzie personalnym Instytutu, z tym, że prof. Weigl nie miał prawa decydowania o dystrybucji szczepionki i jej dalszych losach. Profesor

dokończenie na str. 11

dokończenie ze str. 10

wybrał zależność od armii. Przy rozwijaniu się Instytutu z biegiem czasu znakomicie wykorzystał też możliwość decydowania o składzie personalnym placówki, stwarzając przez to bezpieczny azyl przede wszystkim dla polskiej inteligencji.

W zaistniałej sytuacji ze strony armii niemieckiej kierownikiem został prof. dr Herman Eyer — pułkownik sztabu, będący jednocześnie szefem centralnej, podobnej placówki w Krakowie, na terenie tzw. Generalnej Guberni.

W rozmowie z prof. Weiglem, Eyer powiedział, że już w końcu października 1939 r. postanowiono, aby w Instytucie Uniwersytetu w Krakowie stworzyć odpowiednio wyposażone laboratorium dla produkcji szczepionki przeciw tyfusowi plamistemu dla potrzeb armii niemieckiej oraz sojusznich mocarstw. Po placówce w Krakowie w 1940 r. powstało laboratorium w Rabce, a później, bo w 1942 r. powstała filia w Częstochowie.

Według opinii prof. Eyera tylko szczepionka weiglowska dawała najlepsze rezultaty. Sąd swój Eyer oparł prawdopodobnie na wypowiedziach swego przełożonego prof. dr. Siegfrieda Handlosera, który znał wyniki badań prowadzonych od grudnia 1940 r. w obozie koncentracyjnym w Buchenwaldzie w bloku 46. i w Netzweiler.

Pierwsze ampułki szczepionki weiglowskiej znalazły się oficjalnie w HSIn-OKH (Instytut Higieniczno-Sanitarny armii niemieckiej) w Berlinie już 1 kwietnia 1940 r., a więc wtedy gdy Lwów był w rękach Sowietów. Do 1 maja 1940 r. jak podaje Eyer w Berlinie było już 500 kompletnych zestawów szczepionki otrzymanych oficjalnie od sowieckiego sojusznika.

Jak wynika z dokumentów zawartych w „Der deutsche Sanitätsdienst 1921-1945 Band 4, Teil C: Der Sanitätsdienst der Wehrmacht im 2. Weltkrieg 1939-1945” oraz aktach procesu lekarzy niemieckich w Norymberdze od 25.10.1946 do 20.08.1947 r. przed Trybunałem Wojskowym Nr 1 ani razu nie padło nazwisko prof. Rudolfa Weigla jako tego, który miałby przekazywać szczepionkę do obozów koncentracyjnych w innym celu niż utrzymanie więźnia przy życiu.

Powyższą notkę podaję dlatego, iż po wojnie w pewnych kręgach naukowych celowo rozpowszechniano fałszywe informacje o rzekomej współpracy prof. Rudolfa Weigla z niemieckim okupantem, aby w ten sposób torpedować Jego kandydaturę do Nagrody Nobla. Działalność Instytutu Tyfusowego we Lwowie pod kierownictwem naukowym prof. dr. Rudolfa Weigla w okresie okupacji niemieckiej pod szyldem naczelnego dowództwa armii niemieckiej (OKH) stała się dla około pięciu tysięcy Polaków szansą przeżycia okrutnej wojny.

\* \* \*

Zorganizowana w dniach 14 i 15 października 1994 r. przez Zakład Historii Medycyny i Farmacji Akademii Medycznej we Wrocławiu oraz przez Zarząd Główny Naszego Towarzystwa i Muzeum Historyczne we Wrocławiu sesja naukowa wraz z wystawą zgromadziła kilkaset osób, które w czasie wojny pracowały w Instytucie prof. Weigla. Była ona skromnym wyrazem hołdu i wdzięczności dla wielkiego Uczzonego — profesora Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, wielkiego Patrioty doktora Rudolfa Weigla.

Zdzisław Ojrzyński

Najbliższemu Współpracownikowi  
profesora Rudolfa Weigla

**Księdzu prof. dr. med.  
Henrykowi Mosingowi**

z okazji 35-lecia święceń kapłańskich — najserdeczniejsze życzenia dobrego zdrowia i wszelkich łask Bożych

przesyła  
Redakcja *Semper Fidelis*

## Od Redakcji:

W 21 numerze *Semper Fidelis* zamieściliśmy artykuł Antoniego Koraba pt.: *Ułanom Jazłowieckim w 75. rocznicę bitwy pod Jazłowcem. Na to rzucone hasło p. rotmistrz 14. pułku pan Mieczysław Pollak z Londynu nadesłał pełne ciepła i miłości do swego pułku wspomnienie o tradycyjnym patrolu do Matki Boskiej Jazłowieckiej.*

# UŁAŃSKA TRADYCJA

## MIECZYŚLAW POLLAK

Początków powstania i przyczyn samego kultu 14. Pułku Ułanów Jazłowieckich dla Patronki Pułku — Najświętszej Marii Panny Niepokalanej Poczęcia w Jazłowcu — szukać należy w szarzy pod Jazłowcem, w czasie walk 1919 r. W rzeczywistości nie było to — w pojęciu klasycznym — jedną szarżą, lecz trzydniową bitwą, w czasie której szarżowano wielokrotnie, a która, pod nazwą boju pod Jazłowcem, weszła do kart historii pułkowej.

Wśród uczestników tego boju żywa była legęda, że ... „w najkrytyczniejszej chwili

walki z przeważającymi siłami wroga, nad klasztorem, w wieńcu białych obłoków, zjawiała się jasna postać Najświętszej Marii Panny, okrywająca płaszczem klasztor, a z dłoni Jej spływały ku ziemi snopy jasnozłocistych promieni, obejmujące ułanów, którzy w aureoli tych promieni szli do swej decydującej szarzy”.

Jednym z tych, który jakoby widział to zjawisko, był ułan, ochotnik 2 szwadronu Władysław Nowacki (poległ w kampanii wrześniowej jako major 4 Pułku Strzelców Konnych). W obliczu klasztoru ślubował, że

po szczęśliwym zakończeniu wojny powróci tutaj do klasztoru, by osobiście złożyć hołd Niepokalanej.

Po zawierusze wojennej, już jako porucznik, Nowacki przepojony kultem do Matki Boskiej Jazłowieckiej, postanowił wypełnić ślub i złożyć Jej hołd, choć w dość niezwykły sposób. Jak to się odbyło pozwałam sobie zacytować relację ówczesnego dowódcy szwadronu, późniejszego płk. Kazimierza Plisowskiego.

\* \* \*

„Działo się to w 1925 r., w brzasku zimnego, jesiennego poranka, kiedy Lwów spoczywał jeszcze we śnie, a bracia ułańscy w koszarach Łyczakowskich mocno dochrapywała ostatnie kwadrans przed pobudką. Z bramy koszarowej pułku wymknął się ułan w pełnym, żołnierskim rynsztunku bojowym, na pięknym, mocnym szpaku (a nazwa rumaka brzmiała też „Mocny”. Jesienny wietrzyk lekko poruszał porporczykiem na lancy, trzymanej silną dłonią ułańską. Koń idący rażnym stępem, ułan o pięknym dosiadzie i jakimś specjalnie skupionym wyrazie oblicza — stanowili piękny obrazek.

Nic dziwnego, bo właśnie był to porucznik Nowacki, który w duszy i sercu wiózł w darze to, co miał najcenniejszego — wier-

dokończenie na str. 12

dokończenie ze str. 11

ność i miłość ułana Jazłowieckiego do Najświętszej Pani Jazłowieckiej. Wiózł, by dar swój złożyć u Jej stóp w kaplicy Klasztoru Jazłowieckiego.



Matka Boska Jazłowiecka

Por. Nowacki odbył marsz swój do Jazłowca, odległego o 150 km od Lwowa, konno, sam, bez luzaka. Na noclegi zatrzymywał się gdzieś w odosobnionych zagro-



8 grudnia 1937 r. — wyjazd z bramy zamkowej w Jazłowcu  
Ppor. Władysław Tychanowicz i ppor. Zbigniew Żurowski

dach wiejskich. Swojego ukochanego towarzysza, „Mocnego”, sam czyścił i karmił. Na wszelkie uprzejme zaproszenia okolicznego ziemiaństwa, jak też za proponowaną pomoc ze strony ludności, serdecznie dziękował, lecz jej nie przyjmował.

Wielkie zdziwienie a zarazem poruszenie wywarło przybycie na podwórzec klasztoru w Jazłowcu samotnego ułana Jazłowieckiego. Gdy dowiedziano się, w jakim celu przybywa, wzruszenie opanowało obecne siostry klasztorne. Niespodziewany gość był przyjęty ze czcią i wielkim uznaniem.

Dnia następnego została odprawiona uroczysta Msza Św. na intencję pułku. Por. Nowacki odbył spowiedź i przystąpił do Komunii Św. Po Mszy, por. Nowacki złożył jako votum lancę z proporcem Jazłowieckim i tekst Modlitwy Ułana Jazłowieckiego (Słowa ułożył por. Władysław Nowacki, melodię por. Jan Dłutek, kapelmistrz plutonu trębaczy i kompozytor marsza pułkowego). Lanca została umieszczona przy ołtarzu, tuż obok statuy Matki Boskiej Niepokalanej Poczęcia.

Następnego dnia por. Nowacki wyruszył w drogę powrotną, odbywając ją w tych samych warunkach jak do klasztoru. Dopiero po powrocie zameldował o powodach swej kilkudniowej nieobecności w pułku.

O tym, jak serdecznie i z jakim szacunkiem witany był w pułku, opisywać nie będę. Ten piękny, głęboki w swej treści czyn por. Nowackiego został przyjęty przez Pułk i zaliczony do tradycji pułkowej.

Odtąd co roku, na dzień 8 grudnia, udawała się delegacja do klasztoru Jazłowieckiego. W skład delegacji wchodził w pierwszym rzędzie oficerowie najmłodszej promocji oraz najmłodszego rocznika. Por. Nowacki, wyruszając ze Lwowa do Jazłowca, nie wiedział o tym, że wypeniając swoje słuowanie, spełnia równocześnie wizję zakonniczy.

W kronice klasztoru S.S. Niepokalanek w Jazłowcu istnieje zapisek pod nazwą: „Wizja zakonniczy”. Czytamy tam, że na kilkanaście lat przed wybuchem I Wojny Światowej, wtedy gdy jeszcze mało kto śmiałyby myśleć o upadku Habsburgów, gdy białe siostry, cichsze niż myślenie, szły jak co dzień na poranne modły do kaplicy, wypadła ku nim wzburzona, biała jak one, mistyczna, gorąca patriotka.

„Widziałem ich we śnie — mówiła przejęta. Jak żywi. Wjeżdżali tu na dziedziniec. Na pewno polscy ułani! Poznałam ich po czapkach. Mieli chorągiewki na lancach. Na pewno polscy ułani!”

\* \* \*

Dla podtrzymania powstałej tradycji, co roku wyruszał ze Lwowa do Jazłowca patrol. Skład patrolu regulował rozkaz dowódcy pułku, wyznaczający imiennie uczestników. W skład jego wchodził:

- oficerowie najmłodszej promocji (w tym dea patrolu);
- inni oficerowie, różnych stopni, nowo do pułku przydzieleni, (ta grupa wyjeżdżała do Jazłowca pociągiem);
- dwaj trębacze;
- po dwóch (najlepszych) ułanów z każdego szwadronu.

Wyjeżdżali z takim wylczeniem, aby przybyć do Jazłowca wieczorem, 7 grudnia. Jeden z uczestników patrolu dzieli się z nami wspomnieniami, które poniżej przytaczamy:

„...Od wczesnego ranka są w marszu. Lesiste wzgórza przesłoniły „słup graniczny” — Lwowa — Czrtowską Skalę. Droga wije się, raz w górę, raz w dół, i znowu pod górę. Po zmarzłej drodze stukocze wartki kłus. Podkowy krzywo stają na chropowatej grudzie. Odpryskują odbite hacelami grudki. Konie kiwają łbami, czasem ślizgają się. Ludzie i konie wchłaniają nozdrzami mroźne powietrze. Ułani miarowo unoszą się w siodłach. Nad łbami koni pasma jasnożółtych otoków. Jeszcze wyżej łopocą proporce u szczytów lanc. Pierwszy z nich zwalnia, odwraca na ułanów młodą, zarumienioną twarz. Kłębem pary buchnęła garść słów komendy ppor. Władysława Tychanowicza: „stępem”.

Jadą po obu stronach drogi. Z podświadomości jednego z trzech podporuczników wróciło echo niedawnej rozmowy... — Mówię Panu zupełnie poważnie. Nawet zazdroścę Panu, że ma Pan przed sobą to, co ja

dokończenie na str. 13

dokończenie ze str. 11

przeżyłem dwa lata temu". Mówił to wczoraj ten barczysty porucznik, kpiarz i zawałdiaka. Nieprawdopodobna pielgrzymka. Coś tak szczególnego, jak obok, na Wołyniu, zabłąkane z Azji, kwitnące azalie. Myśl przepłoty słowa dowódcy pułku, kiedy ich wyprawiał: „Poznacie jedną z najwspanialszych tradycji kawalerii....Będziecie dumni, że nosicie nasze barwy. Będziecie godni tych, co wtedy, za ten klasztor, za Podole, i nie tylko za same Podole...”

Gdzieś ze środka węża, czarniawy ułan przełknął ślinę i zagadnął swego sąsiada, ze szwadronu szlachty zagrodowej. Mówił swoim polsko-rusińskim dialektem. „Ta, czy to prawda, szczo wasz porucznik bude babie raport zdawać?”. „Każe prawda — odparł zapytany — ta tylko, to nie baba a Matka Henerałowa”. Ułan chwilę milczał, a potem znów zapytał: „A jaka ona Henerałowa, taj bez wojska?” — „Ta ty, jak widzę, całkom durnyj! Ty nic nie uważał, albo spał, jak nasz pan porucznik wszystko mówił na ostatnim pohadanku. Ta ty pewno też nie znajesz, dlaczego u nas w pułku inше modlitwu spiwajul jak w całym wojsku?”.

Znowu puścili się w ostry kłus. W Przemyslanach, na rynku, jakiś polityczny wiec. Wcieli się w tłum, ubrany w kozuchy i czarne baranice. Rozstępują się przed piersiami kasztanów. Smagłe chłopcy spoglądają spod łeb na zbrojny patrol. Ocierają się o siebie synowie jednej ziemi: ci w rogatywkach i ci w kozuchach. Blisko zmierzch. Tylko patrzeć kiedy ukaże się dwór. Już tam mającą światła. Spodziejają się ich. A później, na dobranoc, pani domu powie im: „Jutro nie będzie trzeba panów budzić. Zobaczycie! Każdy sam się zrywa. Tak z niecierpliwości”.

Z pierwszego noclegu wstąpili w puszystą ponowę. Skorzysto było i kopnie. Za jarem Zgniłej Lipy wzgórzycie i leśno. Został z nimi Narajów. W jarze Złotej Lipy — Brzeżany. Za miastem, uderzyły w oczy stawy. Z dała nieme, z bliska — szumiące i wzburzone. Ostatni bunt wody, którą w twardź skuje krzepnący, siwy mróz. Został zamek Sieniawskich. W koło wstaje przeszłość. Stara, największa z hetmańskich dni — twierdza. Tędy chadzali twórcy potęgi. Otwarty, czarowny kraj, rycerska szkoła pokoleń. Na noc w lutiatyckim dworze. Śmieje się do nich chłopiec, syn ułańskiego pułkownika. Chce iść w ślady ojca...

Trzeci dzień jak wczoraj, biały i mroźny. Z Podhajec, doliną, podchodzili w górę. Gdy weszli na wierchowinę, zobaczyli płasko-wzgórze, równe, dalekie. Serce bije mocniej. Chciałoby się przędzej, przędzej. Nie wytrzymał, dał znak — w galop! Potem doliną Koropca. W Monasterzyskach postój na rynku. Blisko siebie, kościoł i cerkiew. Z hojności jednej ręki, jednakowo barokowe, jak bratnie konary tego samego pnia.

Już w mroku podjeżdżali do Jeziorzan. Spóźnieni! Zaraz rozwidli się droga. Do wsi pojechałbyś prosto, do dworu — aleją starych akacji. Kilkom oknami jaśnieje dom. Spodziejają się ich również. Będą, jak na minionych etapach, pokazywać im w księdze domowej podpisy tych z poprzednich patroli. Już zatroszczono się o konie i ludzi. Pod belkowanym stropem jadalni przeplatają się z mundurami państwo Dwerniccy i ojciec pani domu, dawny właściciel. Może umyślnie dziś przybył w odwiedzin. Dwaj chłopcy siedzą najniżej. Patrzą w oficerów jak w tęczę. Trzy pokolenia!

Pan Dwernicki objaśnia: „Starszy pójdzie do 2. Ułanów, w barwy pradiadka, młodszy w ślady ojca, do naszego pułku”. Po kolacji zaczyna się oglądanie pamiątek. W gabinecie — panorama Stoczek, a pod nią na krzyż: karabela i szabla. Obie po Generale. Dalej, portret generała na siwym arabczyku. Tu, białe sukno z rabatów munduru, tam, plik pośliskich listów. „Korespondencja z Lafayettem” — objaśnia pan domu. Długo w noc gwarzyli przy kominku. Ujmujący, starszy pan rozgadał się, rozpamiętywał...Pierwszy sejm, mrzonka autonomii Galicji... „Walczyliśmy o pełne przyłączenie. Nie dopuszczaliśmy nawet do pozoru oderwania!”.

Rano opuszczamy gościnny dom. Dopiero teraz spostrzegli, że nowy i że stoi na części podmurówki po starym. Tu nie pierwszyna odbudowywać. Odprodają ich trzej Dwerniccy. Każdy towarzyszy jednemu z gości. Ojciec jedzie z pierwszym, a za nim małe figurki synów. „Ja też pojedę tą trasą” — rozgadał się młodszy, gdy w tem ogromna gałąź zsunęła go z siodła. „Panie poruczniku, proszę mi pomóc..., prędko”. Gramoli się już wyprostowany. „Ale proszę, niech Pan nikomu o tym nie opowiada” — pochyła się zarumieniona buzia chłopaka.

Za chwilę żegnają się. Obaj chłopcy śmieją się i kiwają ręką za jadącymi w białą płaszczyznę.

A teraz wprost na Buczac! Nad nimi, na prawo, folwark, wyżej — bryły ruin zamku. Mijają oblodzoną studzienkę. Narosła na niej fantastyczna, szklana piana. Jakaś okutana kobiecina ślizga się ku niej. Na koromyśle dyndają wiadra. Nagle bach! Upadła! „zapatrzyła się na nas” — wybuchają śmiechem ułani. Teraz pójda równoległe do Skrypy. Już ostatni skok. Czerni się daleki, zwarty las. Tam Jazłowiec! Rośnie świadomość bliskości niezwykłego zetknięcia. W prowadzącym wzbiera ona najsilniej.

„Chłopcy” — odwraca się dowódca. „Teraz zrobimy próbę odpowiedzi Matce Generalnej. No, tak jak was uczyli” „Czołem ułani! Czołem Matko Henerałowo! — „Żle! Generalna! Nie, Henerałowa! Jeszcze raz!” Odpowiedzieli jak poprzednio. „Nie rozumiem różnicy” — mruknął młody oficer do kolegów. „Dla nich Henerałowa i koniec”. „A takoj bude baba odbiraty” — myślał ułan w środkowej trójce, ale już nie śmiał pytać sąsiada. Już niedaleko. Niżej błysnęły blachy pokryć klasztornych budynków. „Stój! Z koni! Poprawić siodłanie, sprawdzić troczenie, rozwinąć proporce!”.

Wkrótce przesunęli się przez miasteczko i zaczęli podchodzić pod górę. Minęli kapliczkę z posągami Jazłowieckiej. Jakby wyszła im naprzeciw, na wzgórek. Teraz już szli w czeluść obronnej bramy. Kasztany ślizgają się. Chyba idą fosą, bo w drugiej wieży, pod herbami wyraźna brama. Spoczywa wysoko. Musiał być ku niej podjazd lub zwodzony most.

W dowódcy patrolu łomocze serce, aż sam się dziwi. On, zawsze pewny siebie przed frontem ułanów, nigdy nie stropiony



„Raport” ułanów przed Siostrą Generalną

żadnym egzaminem, żadnym generałem, spokojnie rozmawiający z Prezydentem R.P. i Naczelnym Wodzem, teraz prawie drżał na myśl, że ma złożyć raport kobiecie.

Weszli trójkami na dziedziniec. Na przeciwnym murze — posąg Niepokalanej. Dwie bramy po bokach. Jadą wprost. Wtem ciężka brama rozpięła i ... otworzyła się pomalutku. Z ciszy, jakby nieziemskie — wyszły... Niby zjawy — białe i błękitne. Szły ku nim płynnie, jak z obrazu.

„Patrol — stój!”. Błysnął szabłą. „Baczność! Lance, szable — w dłoń! Prezentuj broń! Na prawo patrz!”.

Stali naprzeciw siebie. Kobiety — mężczyźni. Nie! Niepokalanki i ułani. Nie! Coś więcej! Dwie idee. Dwa symbole. Dowódca podjechał ku bramie. Zalaśnił saltem szabli. „Matko Generalna!” — rzucił ku biało błękitnej grupie. „Podporucznik... (serce waliło jak młotem, czuł, że dopiero mówiąc swe nazwisko, opanowuje drżenie głosu) 14. Pułku Ułanów Jazłowieckich melduje posłusznie... (pewnym już teraz i opanowanym głosem wyrwał skład patrolu), aby tradycji stało się zadość”.

Znów zamigotał srebrem głowni. Podniosło się na nich spojrzenie surowej, suchej, kobiecej twarzy. „Czołem ułani!” — rzekł stanowczy, kobiecy głos. W mury, gromko uderzyła chóralna odpowiedź. „Dowódca patrolu!” — ozwał się z grupy inny, żeński głos — „z konia i do mnie!”. Siostra Laureta, niegdyś kapral z obrony Lwowa, stała przy matce generalnej wysmukła, prosta, omal żołnierska. Jedno za drugim, sprawnie padały zlecenia. Lance ustawiano przy figurze. Cztery skrzyżowane u stóp, dwie wyżej. Z dała widać już było że są. Tu zatknęły swoje barwy. Kwaterna w skrzydle, u kapelana. Kilku odprowadziło konie. Jeden został z karabinami, tylko przy szablach wrócili na dziedziniec.

Brama, zamknięta dla świata, nieprzekraczalna, z papieskiej wyjątkowej dyspensy dla nich jednych, jedynych otwarta! Prowadzi siostra Laureta. Przeszli koło furtianki. Z wolności — w zamknięty świat. W korytarzach głucho słyhać ich krok i brzęk ostróg. Na piętrze — boczna nawa kaplicy. Półmrok i cicho. Nie widać dobrze głównego ołtarza. W konfesjonale mający postać białego ojca kapłana. Klękają kolejno. Są szczególnie przygotowani..., zdrożeni pielgrzymką...skupiona myśl..., szepc. Nagle doleciał szelest. Tam wchodzą zakonnice i wychowanki. Nie widać ich, ale wyczuwa się ich obecność. Kaplica napełnia się.

Idą do konfesjonatu, po jednym, przed główny ołtarz. Wychodzą z nawy przed kobiecy tłum. Przesuwają się i klękają przed NIA! Stoi przed tabernakulum, w ołtarzowej niszy, biały posąg w błękitnym płaszczu. Pełza płomień wiecznej lampy. Wokół szaro i skromnie. Nawet giną w niszy dwa barwne proporce. To z szarzy — wota Nowackiego.

Szeptem i spokojem daj tej Ziemi pani Co krwią spłynęła  
 wód wojen poległych Do Ciebie swe modły zanosim ulani odwróć, ach  
 odwróć, ach odwróć los nasz srogi. I by radosną była jako uśmiech dziecka  
 uśmiech dziecka Spraw to Najświętsza Panno Jazłowiecka

Jeden wyraźnie rozdarty kulami. Wśród wotów, po bokach, Znak Pułkowy. A tam, „Krzyż Walecznych”? Nie. To siostry Laurety — „Orleń”. Za plecami wstaje głos chóralnej modlitwy w obliczu Niepokalanej, stojącej w aureoli — tu, w pobliżu postzelanych proporców.

A nazajutrz — słoneczny, grudniowy dzień. Kaplica pełna bieli. Jakbyś z dworu wniósł niewieści śnieg. Pierwsze, ozdobione zakonnym błękitem. Przed nimi, na białym, ciężkim fotelu — Matka Generalna. W prezbiterium — front ułanów. Wysunięci do przodu trzej młodzi podporucznicy, nowicjusze pułku. Przed nimi, specjalnie przybyły, ich dowódca. Żołnierskość, wprowadzona w kult. W gorącej jaźni ich wspólny zwornik — posąg Niepokalanej. Myśl śledzi mszę białego kapłana... I kiedy szedł od nich ku balaskom, gdzie klęczały białe habity, pochyłał się nad każdą z nich. Przyjmują ten sam Pański Chleb. I teraz trzema męskimi głosami rzucili w stropy swoją silną pieśń. Jak wtedy tamten, co tu tę melodię złożył — razem z proporcami. Po kilku tonach wzmoegli ją ułani, a potem rozbrzmiał dźwięk organów i potężny chór:

Do Ciebie swe modły zanosim ulani:  
 Odwróć, ach odwróć, odwróć los nasz srogi.  
 I by radosną była jako uśmiech dziecka,  
 Spraw to Najświętsza Panno Jazłowiecka.

Kończyli gromko:  
 Daj, by ulana ostatnim westchnieniem

Było — móc poleć, poleć w Jej potrzebie,  
 Aby Jej strzala nie tknęła zdradziecka,  
 Spraw to Najświętsza Panno Jazłowiecka.

By pod Jej rządem, wspaniałem ramieniem  
 Zakwitły: miłość i spokój jak w Niebie  
 Daj by ulana ostatnim westchnieniem  
 Było móc poledz, poledz w Jej potrzebie

Aby Jej strzala nie tknęła zdradziecka  
 Spraw to Najświętsza Panno Jazłowiecka

Teraz podeszły białe nowicjuski. Młode jak oni. Jarzące gromnice w rękach, opuszczone oczy. Ślubują! Mówią swe imiona: „Ja z własnej, nie przymuszonej woli”. — Stanowczo i pewnie wypowiadają słowa. Skłon głowy przed Matką Generalną, której przezroczyście ręce spoczywają na poręczach białego fotela. Jedna po drugiej, z łaski swej wewnętrznej mocy, którą daje im wiara. Dopełnia się!

Jakże niezwykła jest ta chwila. Przeczuci kiedyś przez jedną z takich białych sióstr, stoją tu żywym wcieleniem jej fantastycznej wizji. Stoją jak tamten, co ślubował w szarzy, wybrany duchem zmarłej do ziszczenia snu.

Dwa profile, oba surowe. Dwie dyscypliny, obie z własnej, nie przymuszonej woli. Obie z zapału!

Splatają się w jeden zgodny warkocz — w niespożyte PRZYMIERZE!”.

Mieczysław Pollak



*Dalsze losy grupki lwowskich AK-owców opisanych w artykułach „Dziesięć lipcowych dni 1944 roku” i „Po Burzy” — Semper Fidelis, nr 4, 5, 6/1994.*

## W BERLINGOWSKIM MUNDURZE

LESZEK SAWICKI

### *Szczęśliwy epilog*

Znaleźliśmy się więc na dziedzińcu koszarowym Wojska Polskiego w Jarosławiu, przy ul. Kolejowej; rosyjskie „studebackery” z NKWD-yстами odjechały, my — rzuciliśmy się sobie nawzajem w objęcia. Był początek listopada 1944, chłodny i wietrzny. Nas jednak ogrzewała radość wewnętrzna, że udało się, że nie grozi nam wyjazd „na białe niedźwiedzie”.



„Wrona” berlingowska



Przedwojenny orzełek wojskowy

Następnego dnia, po asenterunku w Powiatowej Komendzie Uzupełnień staliśmy się już żołnierzami — ochotnikami 8-go Zapasowego Batalionu Piechoty, a ściślej mówiąc jego 1-szej kompanii strzeleckiej. Wyfasowany ekwipunek składał się z 16 „sort mundurowych”, starannie wpisanych przez magazyniera do mojej karty wyposażenia. Były to m.in.: trzewiki skórzane (solidne), mundur drelichowy, owijacze (od kostek do kolan), zielony płaszcz sukieny, czapka polówka, berlingowski orzełek, cienka bielizna bawełniana, cynowany kociołek i drewniana łyżka malowana w kwiatki oraz worek-plecak. Koców nie było, o rękawiczkach ani marzyć.

Zostaliśmy zakwaterowani w pustawych koszarach. Spanie — na dwupiętrowych narach, na których wygnieciona słoma przykryta „pałatkami” miała dawać w nocy złudne wspomnienie domowej pościeli. Przykrycie w nocy — płaszczami. Koszary nie miały światła elektrycznego ani wody; tę ostatnią przynosiło się rano do mycia w wielkich gilzach po artyleryjskich pociskach. Elektryczność zastępowały migotliwe kaganki.

Zostaliśmy wtłoczeni w tryby koszarowego drylu; musieliśmy też pozbyć się części osobowości w postaci włosów — zostaliśmy ostrzyżeni „na nulkę” a w najlepszym razie „na długość zapalki”. Poddani komendom podoficerów wstawaliśmy, chodzili, biegali i kładli się spać na tempa, od pobudki i gimnastyki, przez „Kiedy ranne wstają zorzę ...” i „Rotę” przy porannym apelu, aż do wieczornego capstrzyku.

### *Dziwne wojsko*

Po pierwszym szoku spowodowanym wsadzeniem nas w mundury szybko przyszedliśmy do siebie i zaczęliśmy odkrywać drugą twarz tego wojska. Lwowiacy stawali się zdecydowaną większością nadawali ton naszej koszarowej mini-społeczności. Szybko odnaleźliśmy swojaków, znajomych nam i mniej znanych. Do batalionu wciąż napływały transporty rekrutów, do-

starczanych tu w sposób mniej lub bardziej przymusowy, a tym i z lwowskiego punktu zbornego przy ulicy Pierackiego. Było też nieco partyzanckiej młodzieży, głównie z Lubelszczyzny (ci byli najbardziej buńczuczni), zaś najmniejszy udział stanowili rekruci z Rzeszowskiego, gdyż tu pobór ogłoszony przez PKWN był powszechnie bojkotowany. Często były przypadki ucieczek z wojska. Podoficerowie reprezentowali głównie zawodową przedwojenną kadre wojskową, natomiast oficerowie byli najprzeróżniejszej proweniencji: od młodzików z riazkańskiej i przemyskiej szkoły oficerskiej, przez partyzanckich dowódców (był nawet jeden „cichociemny”) do podstarzałych kwatremistrzów. Ogólnie jednak kadry oficerskiej — z wiadomych powodów — było wciąż mało.

Jednostka miała zdecydowanie polski, „swój”, charakter, z wszystkimi wadami i zaletami tego co stanowi o „polskim charakterze”. W większości nawet i polityczno-wychowawczy zastępcy dowódców reprezentowali ten sam kierunek polityczny co ogół żołnierzy (choć i wśród nich zdarzały się typy wybitnie negatywne). Nikogo nie zdziwił widok kompanii pod komendą „polwucha” wyśpiewującej do marszu piosenkę II-go Korpusu, z refrenem „Czeka nas ojczysty gród, czeka nas — czeka nas — marsz na Lwów!”. Jedynym „ruskim Polakiem” był dowódca batalionu, kapitan Adam Szupienko, prawie nie umiejący mówić po polsku. Rosyjskie dowództwo zostało skierowane do naszej jednostki dopiero w miesiącach zimowych, znacznie później.

Wyfasowane na czapki orzełki berlingowskie, czyli tak zwane „kury” czym prędzej zamienialiśmy na przedwojenne orzełki wojskowe z tarczą i koroną. To samo dotyczyło guzików przy płaszczu; „stare”, z orzełkiem w koronie, można było nabyć w sklepikach na mieście, a strzelec Kozłowski, nasz kompanijny krawiec, miał ręce pełne roboty; siedział przez cały dzień po turecku na środku stołu i za parę papierosów wykonywał każdemu wszelkie innowacje mundurów.

Parę dni po naszym asenterunku przypadało listopadowe Święto Niepodległości. W sobotę, 11 listopada odbyła się uroczysta msza połowa na rynku jarosławskim a następnie defilada. Stałem wraz z kompanią niedaleko szpaleru publiczności. Zabolało nas, gdy ktoś z tłumu powiedział głośno w naszym kierunku: „Sowieckie pacholki!”; zamilczeliśmy.

Nasz zapasowy batalion, organizacyjnie należący do II-giej armii WP był nastawiony na szkolenie i dostarczanie uzupełnień do jednostek frontowych. Różnie jednak to szkolenie przebiegało. Wyszukanie podstawowe i musztra — to było wbijane wzorowo. Natomiast broni było mało, amunicji jeszcze mniej. Gdy na drugi dzień po wcielaniu nas do wojska na moją kompanię przy-

dokończenie na str. 15

dokończenie ze str. 14

padła służba wartownicza — ja dostałem karabin z ... jednym pociskiem. Nawiasem mówiąc przypadł mi posterunek przy pilnowaniu batalionowego aresztu; dziwny był to figiel dziejowy, że ja, przedwczorajszy jeszcze aresztant, dzisiaj muszę innych pilnować...

W miarę napływu nowych rekrutów pogarszały się warunki zakwaterowania, robiło się ciasno. To, w połączeniu z ubóstwem wody i brakami w higienie odbiło się powstaniem zawszawienia, które dotknęło bez wyjątku wszystkich mieszkańców sal żołnierskich. Nie pomagało prowadzenie do łaźni i dezynfekcja odzieży w komorach parowych. Również skromne i monotonne było wyżywienie, ale dzięki dość dużym przydziałom papierosów, których nie paliłem, mogłem uzyskiwać w okolicznych sklepikach nieco rarytasów — owoce czy słodycze.

#### Listopadowe memento

W miarę upływu czasu sytuacja polityczna w „lubelskiej Polsce” zaczęła się zaostrzać. Wobec ogólnej niechęci ludności do władzy PKWN-u, pobór do wojska nie rozwijał się, mnożyły się dezercje obejmujące niekiedy i całe oddziały wojska.

W listopadzie nastąpił ostry zwrot w stosowaniu represji a nawet terroru przez władze lubelskie. O wydarzeniach tych piszą szerzej, choć z odmiennych pozycji, Tadeusz Żenczykowski — w książce „Polska Lubelska 1944” i Zbigniew Załuski w książce „Czterdziesty czwarty”. Odzwierciedliło się to również i w naszym batalionie.

Pod koniec listopada przyjechał z Lublina prokurator wojskowy, kapitan Olech. Zorganizował on sąd wojskowy rozpatrujący sprawy przestępstw popełnionych przez żołnierzy, a w tym i dezercji. Rozprawy sądowe miały charakter pokazowy i odbywały się na scenie miejscowego kina, a na salę przyprawiano, jako publiczność, kolejne kompanie za kompanią. Musieliśmy wziąć udział w tym ohydny widoku, w którym kara śmierci przez rozstrzelanie była wymierzana zarówno za dezercję, jak i za kradzież koszuli kolegi z oddziału. Następnego dnia odbyła się egzekucja — rozstrzelanie skazanych na placu apelowym, na oczach całego batalionu. Skazańcy byli przerażeni i do końca nie wierzyli, że jest im przypisana śmierć taka jak za hitlerowskiej okupacji. Jeden ze skazanych, Żyd, przed egzekucją zdjął obuwie, zgodnie z przepisami swojej religii. Żołnierze, wyznaczeni do plutonu egzekucyjnego, nie chcieli zabijać swoich kolegów, strzelali niecelnie lub w niebo; rannych dobijał strzałem z pistoletu w głowę dowódca batalionu. Celnie strzelał zapewne tylko jedyny ochotnik do plutonu egzekucyjnego, plutonowy Sterling, młody Żyd-komunista, „pol-wych” jednej z kompanii.

Żołnierz nie może mieć wolnej chwili na myśli własne. Sierżant — szef naszej kompanii odprowadził nas, milczących do świetlicy budynku i dał rozkaz „Marszu w miejscu!” i „Kompania śpiewa!”. Wystukując butami rytm, przez godzinę śpiewaliśmy pod komendę pieśni marszowe, „Wojenko, wojenko...” i inne.

Od Bolka Opalka, który szczęśliwie na samym początku został zwolniony przez lekarzy z wojska, dowiedzieliśmy się o całkowitym rozproszeniu naszego AK-owskiego zgrupowania. Z lwowskiego plutonu kwaterującego pod Przeworskiem zostało tylko paru chłopców i to przepędzanych z miejsca na miejsce przez kolejne oblawy. Musieliśmy więc, siłą faktu, uznać nasz berlingowski batalion za szczęśliwy i bezpieczny przytułek i tak zakończyć AK-owski epizod naszej młodości.

#### Według Szwejka

Powoli przyzwyczajaliśmy się do koszarowego życia w jego wielowarstwowych objawach. Wiedzieliśmy, jak zafasować dodatkową porcję jedzenia z kotła, gdzie znajdują się w parkanie dziury umożliwiające wyskoki do miasta, jak trafić na izbę chorych dla krótkiego markierowania. Dokuczało nam zimno, gdyż mimo śniegu i mrozu nadal wszyscy chodziliśmy w drelichowym umundurowaniu. Gdy w grudniu 1944 r. batalion został przemianowany na 8-my zapasowy pułk — udało nam się wskoczyć na nowoutworzone stanowiska funkcyjne: Tuła został pisarzem 5-tej kompanii, ja trafiłem na podobne stanowisko w kompanii rusznic przeciwpancernych, a Tolek szczytował się etatem „trębacza batalionu”. Batalion żadnej trąbki nie posiadał; Tolek był po prostu pomocnikiem sztabowym adiutanta batalionu, chorążego Wilhelma Kniesznera. Knieszner, zawodowy przedwojenny oficer, był doświadczonym wygą wojskowym co to „w siedmiu armiach służył” (też i Legii Cudzoziemskiej) i w wieczornym zaciszu kancelarii batalionu chętnie wysłuchiwałem jego opowieści.

W naszym, typowo męskim, nagromadzeniu duże ożywienie wywołał pewnego dnia przybyły ze Lwowa transport „ochotniczek” i przymusowych poborowych kobiet-sanitariuszek, w większości „med-siestr” z lwowskich szpitali. Były wśród nich i dziewczęta, które ze Lwowa musiały po prostu zniknąć. Sporo dziewcząt służyło również w kompanii łączności, a jedna z nich, warszawianka o rzadko spotykany imieniu Ingeborga, śliczna szatynka o niebieskich oczach, żywo mnie interesowała.

#### Wieści ze Lwowa

Każdy nowoprzybyły ze Lwowa był dziesiątki razy wypytywany przez lwowiaków o to co się dzieje w mieście. W rozmowach szybko dochodziło się do wspólnie znanych osób i miejsc; lwowiacy byli tu jedną

wielką rodziną. Niekiedy, ale coraz rzadziej, przychodziły listy przywożone przez znajomych, przekazywane z ręki do ręki, a poza tym otrzymywaliśmy też listy oficjalną pocztą polową, cenzurowane, adresowane na nasz numer jednostki: „Poczta Polowa 83670 R”. Te jednak często odbywały drogę via Moskwa, więc przychodziły z dwu- lub trzytygodniowym opóźnieniem.

Wiadomościami dzieliliśmy się czym prędzej, a stawały się one coraz bardziej przynębiające. Nadchodziła zima, wydarzenia polityczne nie pozwalały ani na szczytę nadziei, na prowincji mnożyły się napady ukraińskich band. Oto parę autentycznych wyjątków z tych listów, szczęśliwie zachowanych. W liście z datą 2 listopada 1944 roku Matka pisała:

(...) „Wczorajsze Zaduszki na Cmentarzu Obrońców Lwowa bardzo podniosłe wrażenie na nas wywarły: tysiące świec, masa kwiatów, osobno: „Hołd sercu Polski — Warszawie” a osobno Nieznany Żołnierz. Przez jakieś dwie godziny trwała wspólna modlitwa i śpiew wszystkich pieśni, począwszy od „Chorału” a skończywszy na dniach dzisiejszych. Bardzo wzruszające i bardzo starannie utrzymane mogiły na całym Cmentarzu Obrońców Lwowa”. (...) „Dziś rozeszła się wieść, że umarł metropolita Szeptycki — może przecież będzie teraz jakaś możliwa do współżycia polityka? Choć do tej pory bezustannie powtarzają się morderstwa naokoło Lwowa, nawet i w Solonce i innych gminach najbliższych. (...)” List z 7 listopada donosił: (...) „U nas nic się nie zmieniło — po dawnemu ciepła kuchnia gromadzi całą naszą gromadkę; trochę ciasno, trochę gwaro, ale zacisznie i ciepło, a to teraz najważniejsze, bo w pokojach zimno i nieprzytulnie, chyba że się wygrzeje pościel. W ogóle ten tydzień był dobry, bo wróciła pani Jadwiga z Kopyczyniec i przywiozła trochę mąki, słoniny, kaszy, nawet orzechów i maku, więc nie jest tak głodno jak było przed miesiącem. Może jakimś cudem będę mogła coś sprzedać i jeszcze dokupię trochę jarzyn i ze cztery korce kartofli ... Sytuacja tam na wschodzie bardzo kiepska, cała Polonia ucieka na zachód, bo bez litości mordują banderowcy. Naokoło Kopyczyniec siedzą po lasach, mordują i rabują wszystkich. Wojska sowieckie nie mogą im dać rady. U nas we Lwowie również nastroje nie bardzo wesołe. Branka do wojska i umyślnie rozsiewane wieści sprawiają to, że znowu masa osób rejestruje się na wyjazd na Zachód, a mężczyźni zgłaszają się na ochotnika do wojska, nawet starzy. (...) Posyłam Ci rękawiczki i maść na odmrożenie, a także Twój ryngraf; kto wie co z nami będzie, niech choć ten drobiazg się uchowa. Wciąż mówią tutaj o wywozach — wszystko możliwe ...”

Prawdziwie przynębiający był jednak

dokończenie na str. 15

dokończenie ze str. 15

dopiero list wysłany 14 stycznia 1945 roku, przysłany przez znajomych, więc nie cenzurowany.

(...) „W tym tygodniu mieliśmy tyle emocji, że właściwie wszystko inne się zatarło. Przeżyliśmy bardzo ciężki okres. Od dwóch dni śpiemy spokojnie, ale czy na długo — nie wiadomo. We Lwowie zostało aresztowanych około 12 000 (jak mówią) osób: „volksdeutscherzy, nacjonaści, faszyci, burżuje, handlarze” itp. Wszystkie warstwy społeczeństwa zostały poruszone; od księży i profesorów uniwersytetu, lekarzy, aptekarzy (Bładziński), inżynierów — aż do szewców, krawców, dozorców i innej biedoty i chołoty. Dziś się w tym jeszcze trudno rozemnieć. Trudno powiedzieć, kto jest, kogo nie ma. Jeszcze panuje chaos i przygnębienie, a przede wszystkim strach. Aresztowano Tatusia kolegów, kolegów Mietka i Janka — trudno zliczyć i wymienić. Naturalnie sprawy ich są przesądzone, wszystko to pojedzie do ciężkich robót w głąb Rosji. My, jak wszyscy inni, pojedziemy również prędzej czy później — żeby tylko wiedzieć kiedy i przygotować się odpowiednio ... Broniek Zieliński padł ofiarą, pan Holender, pan Góralski z rodziną, dziesięciu profesorów z Politechniki, również (nie wiem ilu) z Uniwersytetu, masa studentów o niemieckich nazwiskach, coś z osiemnastu księży. Miasto wyludnione po prostu (naturalnie z Polaków tylko), choć na ich miejsce masa towarzyszy napłynęła ze wschodu.

Straszne były noce, gdy się nasłuchiwało każdego szmeru, zwłaszcza auta — zdawało się że to już, że nadchodzi i zabiorą. Na razie się trochę uspokoiło, bo po prostu już nie mają gdzie umieszczać, gdyż nawet prywatne kamienice są zajęte uwięzionymi. (...) Profesora M., ojca Basi, aresztowano wraz z innymi, obie panie przeznaczone na wywóz do Rosji, meble i majątek skonfiskowane. (...) Gdyby nas (broń Boże!) wywieziono, to rzeczy bierzemy ze sobą a meble i tak konfiskują. W każdym przypadku w razie czego szukaj w znajomej skrytce, może coś się tam uratuje ...”

List od Basi (20.01.) dodał parę szczegółów: „Pewnego wieczoru pukanie (dość charakterystyczne), krótki przegląd dokumentów, mała dyskusja z Ojcem przy naszym współdziałaniu: posądzenie o przechowywanie „oruzja” itd. Zabrali Ojca. Dopiero na drugi dzień nastąpiła dość ogólna rewizja. Obecnie na Łąckiego można podawać paczki co dwa tygodnie ... Muszę dodać, że ojca Joasi, profesora Kuczyńskiego, spotkało to samo. W całym mieście masy! masy! Przez parę dni po aresztowaniu w domu było nie do wytrzymania. Każde ciężkie kroki na schodach lub walenie do drzwi albo bramy jeszcze teraz przyprawiają nas o przyspieszone bicie serca ... (...) Rudy Janek Gubrynowicz (jego ojca również ...) opo-

wiadał o fortelu w czasie rewizji, gdy wywiesili maszynę do pisania na sznurku przez okno ...”

(Pzypisek: Profesor Tadeusz Kuczyński, inż.-chemik, wybitny wykładowca na Politechnice Lwowskiej, aresztowany i wywieziony, zmarł w Woroszyłowgradzie dn. 15.06.1945 r. — „Lista strat kultury polskiej”, str.135).

### Ofensywa i translokacja

Czas zegarowy naszego pułku różnił się o dwie godziny od czasu normalnych mieszkańców Jarosławia, gdyż obowiązywał nas — podobnie jak cały front od Bałtyku do Karpat i dalej — jednolity czas moskiewski. Tak więc nasza pobudka (o 6.00 cz. mosk.) przypadała na 4-tą rano. W styczniu ta pora — to był właściwie jeszcze środek nocy. Ale cóż, trzeba było natychmiast po pobudce wybiegać na plac apelowy (tylko w butach, spodniach i koszuli) i — mróz, nie mróz — włączać się w 16-taktową gimnastykę pod rytm grającej na placu wojskowej kapeli. W godzinę później, gdy kompanie maszerowały na ćwiczenia, miasto jeszcze spało, a nasz tupot nóg i piosenka o Kasi, co wołki wyganiała — na pewno budziły zaspanych mieszkańców.

Dwunastego stycznia rano, przy pobudce, usłyszeliśmy dochodzący z całego horyzontu jeden narastający huk; to z frontu, odległego od nas o kilkadziesiąt kilometrów, płynęła fala huraganowego artyleryjskiego przygotowania do oczekiwanej przez wszystkich ofensywy. Przybliżał się koniec wojny.

Kilka dni później poszedłem do do miejscowego teatryku na „Jaselska”, przedstawiane przez wojskowy zespół artystyczny. Nastrój był podniosły, niemal gorący. Na scenie zasiadał Herod — Hitler, w czerwonym królewskim płaszczu, diabły miały mundury SS-manów, gdy zaś aniołowie wraz z polskimi żołnierzami przepędzili niegodnych tyranów a Kostusia wykonała swoje rytualne cięcie — całą widownię opanoł niebywały entuzjazm. Wszyscy wychodzący z teatru chóralnie powtarzali refren śpiewanej na zakończenie pieśni: „Na Zachód, na Zachód, tam gdzie droga do Berlina! Na Zachód, na Zachód, krwawej zemsty dziś godzina!” Miło mi było, gdy w kapelmistrzu orkiestry a zarazem kompozytorze rozpoznałem pana Bruczkowskiego, mojego profesora muzyki z XI Gimnazjum.

Rychło została oswobodzona Warszawa (17.01.). Parę dni później spotkałem Ingeborgę idącą alejką między blokami koszar, z walizką w ręce „Niech mi pan pomożem!” Szarmancko ująłem walizkę i odprowadziłem śliczną warszawiankę o niebieskich oczach — prosto ... do znanej mi dziury w płocie. Podziękowała z czarującym uśmiechem. Nie spotkałem jej już więcej. W rozkazie pułkowym została wymieniona wśród dezerterek, ale chyba nikt jej na serio nie zamierzał szukać.

Wnet nastąpiła translokacja naszego pułku na zachód, do Rzeszowa. Maszerowałem wraz z moją kompanią przez dwa dni po szosie pokrytej śniegiem i lodem. Mijały nas wlokące się na wschód kolumny niemieckich jeńców, na końcu których chłopskie koniki ciągnęły wozy napełnione martwymi i ciężko chorymi Niemcami.

Rzeszowskie koszary na Pobitnie, tuż nad Wisłokiem, miały ten sam standard komfortu: zapchane i zadymione izby żołnierskie oświetlone kagankami i błotnisty śnieg na placach apelowych. Na dodatek jeszcze nocny odpoczynek był przerywany co kilkanaście minut wybuchami trotylowych ładunków, którymi saperzy rozbijali piętrzącą się krę przed prowizorycznym mostem na Wisłoku, tuż koło koszar. Ich pluton został zakwaterowany w izbie sypialnej mojej kompanii. Co jakiś czas zziębnięci i pomoczeni saperzy wracali do izby i w ciemnościach gramolili się do swych prycz, przeklinając żołnierski los.

Front przesunął się daleko na Śląsk, a ja na pocztce mogłem kupować coraz to nowe znaczki z przedrukami: datą i nazwą coraz to nowych wyzwolonych miast.

### We Lwowie w polskim mundurze

Nasza lwowska trójka — Tolek Kowalenko, Jurek Martula i ja, trzymająca się i wspierająca przez cały czas jarosławskiego pobytu — rozpadła się, gdyż zaraz po wyzwoleniu Krakowa Tula wykorzystał swój zdrowotny atut, słaby wzrok i jako „okularnik” zwolniony przez komisję lekarską pojechał do rodziców w Krakowie.

Tolek i ja, siedzący na pisarskich funkcjach, mieliśmy szybszy od innych wgląd w sprawy pułkowe i z tej przyczyny zainteresowaliśmy się niebawem przybyciem do pułku „kupców” z lotnictwa. Był to oficer — „lotczyk” i dwóch polskich podoficerów, którzy w naszym zapasowym pułku wyszukiwali rozmaitych specjalistów dla organizowanej w Zamościu oficerskiej szkoły lotniczej.

Kapitan Paliwoda, sympatyczny „lotczyk” zorganizował grupę 150 „specjalistów”: mechaników, kierowców, ludzi o różnych technicznych zamiłowaniach, do których dołączyliśmy się my dwaj, w gruncie rzeczy tylko nieukończeni licealiści. Okazało się, że większość naszej transportowej grupy stanowili lwowiaczy. Nasz transport z Rzeszowa do Zamościa miał się odbywać pięcioma towarowymi wagonami. Ale którą? Przezorni lwowiaczy zaopatrzyli się na drogę w bardzo istotne argumenty: pięć litrów mocnego samogonu. Po kolei, na każdej węzłowej stacji gdzie tory mogłyby skierować nas wprost do Zamościa, przekonywali komendantów stacji że transport musi jechać przez ... Lwów. Samogonu wystarczyło i tak drugiego czy trzeciego

dokończenie na str. 17

dokończenie ze str. 16

go dnia znaleźliśmy się we Lwowie, na Dworcu Czerniowieckim. Radość nasza nie miała granic: jesteśmy znów w ojczystym mieście i to w polskich mundurach! Postój zapowiadał się na dwa dni, wagony były przetaczane na Dworzec Kleparowski, a my korzystaliśmy z wielogodzinnych wypadów dla odwiedzenia rodzin.

Radość szybko przygasła. Przyjechaliśmy do miasta przepełnionego wojskiem, szpitalnikami i maruderami, w których zziębnięta i wygłodniała ludność miejscowa była tylko drugoplanowym tłem. Obowiązywała godzina policyjna, w nocy tu i tam wybuchała strzelanina. Już pierwszej nocy ponieśliśmy stratę: zginął zastrzelony na ulicy Lindego przez maruderów jeden z podoficerów naszego transportu, plutonowy, o którym dowiedzieliśmy się, że był przedwojennym oficerem, a swój stopień ukrywał w obawie przed katyńskim memento.

Los ciężko dotknął Tolka. Gdy wprost z dworca dotarliśmy do jego mieszkania przy ulicy 29 Listopada, zapłakana gospodyni przyjęła nas wiadomością, że poprzedniego dnia został aresztowany ojciec Tolka, inż. Ambroży Kowalenko. Wpadka, jak się później okazało, została spowodowana aresztowaniem kolporterki tajnej gazetki „Wytrywamy”, którą łączniczka niosła właśnie do inżyniera.

**(Przypisek:** Rewizja mieszkania przeprowadzona przez NKWD już po naszym wyjeździe znalazła ukrytą pod podłogą radiostację nadawczą. Inżynier Kowalenko, przed wojną naczelnik wydziału technicznego Dyrekcji Poczty we Lwowie a w czasie niemieckiej okupacji szef łączności Obszaru — został skazany na 10 lat łagrów. Więziony we Lwowie na Łąckiego i Pełtewnej, odbywał wyrok w Kungurze i Karagandzie. Zwolniony w 1954 r., zmarł w kraju w 1977 r.)

Na pożyczonym od Tolka rowerze dojechałem na Łyczaków. Moja rodzina przetrwała najgorszy (w styczniu 1945) czas, ale nadal obawiała się wywózki. Szybko minęły radosne godziny spotkania. Gdy wracałem na tymże rowerze na ulicę 29 Listopada, dwóch krasnoarmiejców zrabowało mi rower; nie miałem broni, aby jakoś im się przeciwstawić.

Następnego dnia na Dworcu Kleparowskim odwiedziły nas nasze lwowskie przyjaciółki, Jadzia i Basia. Ich rodziny rozważały właśnie możliwość wyjazdu na Zachód.

Opuściliśmy Lwów linią na Rawę Ruską. Stojąc w otwartych drzwiach wagonu milczeliśmy wszyscy i patrzyli na oddalające się grzbiety Kortumowej Góry, Kajzerwaldu i Wysokiego Zamku. Od tej strony miasta wież kościoła św. Elżbiety nie było już widać.

Leszek Sawicki

*Bardzo modnym procederem stało się w ciągu ostatnich paru lat tropienie tzw. białych plam w historii. Parają się tym zresztą głównie nie tyle autentyczni pracownicy nauki, co raczej dziennikarze, uważający się za znawców historii. Wysiłki ich są jednak skierowane, delikatnie mówiąc, dość jednostronnie na stosunki polsko-radzieckie w przeszłości, z całkowitym nieomal pominięciem innej problematyki, zwłaszcza zaś drażliwych problemów, których w XX wieku nie brakowało pomiędzy Polską a jej sąsiadami — poza ZSRR.*

## Uporczywa „Biała plama”

RYSZARD MAJEWSKI

Do spraw najbardziej nabolących i zarazem najśląbiej opracowanych pod względem naukowym należą wzajemne stosunki polsko-ukraińskie, w latach ostatniej wojny światowej i w pierwszym okresie powojennym. Podkreślam tu z całym naciskiem niedostatki w dziedzinie prac naukowych, gdyż jeśli chodzi o wiedzę potoczną funkcjonującą w świadomości społecznej, to zwłaszcza starsze pokolenie doskonale orientuje się, jaki los zgotowali Polakom nacjonałiści ukraińscy na terenie Małopolski Wschodniej i południowej części lubelskiego. Względy jednak polityczne minionych lat (uzasadniane najczęściej racją stanu i dążeniem do umacniania przyjaźni z narodami ZSRR) powodowały, że zarówno badania naukowe w tej dziedzinie jak i publicystyka na temat zbrodni UPA były odgórnie ograniczone, często w sposób drastyczny. Dość przypomnieć choćby, że wartościowe studium A.B. Szczeniaka i W. Szoty, „Droga do nikąd. Działalność organizacji ukraińskich nacjonalistów i jej likwidacja w Polsce” wydana w 1973 r. została po kilku dniach od ukazania się wycofana z bibliotek i ze sprzedaży księgarskiej. Innym przykładem tego rodzaju praktyk może być to, że wnikliwe prace E. Prusa mogły co najwyżej ukazywać się w niskonakładowych czasopismach naukowych lub jako wydawnictwa wewnętrzne wyższych uczelni w nakładzie ... 100 egzemplarzy (np. „Z dziejów współpracy nacjonalistów ukraińskich z Niemcami w okresie II wojny światowej i okupacji”).

Problem zaś nie jest błahy. Być może w rezultacie wspomnianych powyżej ograniczeń w pracy naukowej i całkowitego milczenia środków masowego przekazu (zarówno dawniej jak i obecnie), świadomości młodego pokolenia umyka fakt, że w

czasie II wojny światowej właśnie nacjonałiści ukraińscy spod znaku OUN i UPA byli, drugimi po hitlerowcach, realizatorami ludobójstwa dokonanego na narodzie polskim. Bilans ich zbrodni, dokonywanych często wspólnie z Niemcami, jest przerażający. Liczba ofiar może być tu oceniana jedynie szacunkowo, idzie ona jednak w setki tysięcy (400-500.000) osób, jeśli uwzględnimy, że wymordowana została znaczna część ludności polskiej na Wołyniu, więcej niż połowa Polaków w dawnym województwie lwowskim, tarnopolskim i stanisławowskim.

Znaczna część pozostałych, ratując życie, uchodziła na zachód porzucając dorobek wielu pokoleń. Do tragedii, która miała miejsce za „linią Curzona”, doliczyć należy ponadto dziesiątki tysięcy ofiar UPA zamordowanych już po zakończeniu wojny, na obszarach obecnego państwa polskiego. Banderowcy nie robili zresztą tajemnicy ze swoich zamiarów. W styczniu 1944 r. dowódca UPA, „Toras Czuprynyka” (Roman Szuchewycz) wydał podległym jednostkom rozkaz, w którym nakazywał m.in.:

... „pkt. 4. W związku z sukcesami bolszewików należy przyspieszyć likwidację Polaków, w pięć wycinać. Czysto polskie wsie palić, wsie mieszane — tylko polską ludność niszczyć. Zagrody polskie palić tylko w takim wypadku, jeśli są oddalone od zagród ukraińskich co najmniej o 15 metrów.” pkt. 5. „Za zamordowanie jednego Ukraińca czy przez Polaka, czy przez Niemców — rozstrzelać 100 Polaków”.

Nie było to w istocie nic nowego, lecz potwierdzenie tego co bojówki banderowców robiły już od dłuższego czasu. Masowe

dokończenie na str. 18

dokończenie ze str. 17

rzenie Polaków rozpoczęły się w Galicji Wschodniej na początku 1943 r. Hasłem powstałej wówczas UPA było: „Skończyliśmy z Żydami (pomagając hitlerowcom — przyp. RM), teraz to samo będziemy robić z Polakami”. Założenia te UPA realizowała w sposób konsekwentny, pozostawiając za sobą tysiące trupów zamęczonych ludzi i zgliszcza ich domów. Przez cały też czas wojny nacjonaliści ukraińscy byli konsekwentnymi sojusznikami hitlerowskiej III Rzeszy. Odłam OUN kierowany przez Melnyka realizował ten sojusz w sposób jawny (m.in. tworząc dywizję SS „Galizien”), natomiast UPA — Stepana Bandery — w sposób ukryty. W praktyce jednak i jedni i drudzy byli wierni Hitlerowi prawie do końca wojny.

Taka jest prawda.

ALEKSANDER KORMAN

## PIĄTE PRZYKAZANIE BOSKIE: NIE ZABIJAJ!

NIKARANIE LUDOBÓJSTWA DOKONANE PRZEZ  
UKRAIŃSKICH SZOWINIŚCISTÓW W LATACH 1939 - 1945

KOŁO LWOWIAN  
Londyn 1990

Czy istnieje jednak potrzeba przypomnienia jej po upływie bądź co bądź znacznego upływu czasu i w zupełnie odmiennych warunkach obu narodów?

Uważam, że jest to konieczne z dwóch co najmniej powodów:

**Po pierwsze:** jest oczywiste, że należy dążyć do ułożenia dobrosąsiedzkich stosunków z narodem ukraińskim „wybijającym się na niepodległość” i tworzącym obecnie własną państwowość. Jest to tym bardziej możliwe, że OUN i UPA nigdy nie reprezentowały wszystkich a nawet większości Ukraińców, lecz jedynie najbardziej sfanatyzowaną część mieszkańców tzw. Zachodniej Ukrainy. Przebaczenie i rezygnacja z odwetu nie oznaczają jednak bynajmniej zapomnienia. Dnia dzisiejszego nie można budować na zakłamaniu i udawaniu, że nie było dramatycznych wydarzeń w przeszłości.

**Po wtóre** — od dłuższego już czasu mamy do czynienia, zarówno na samej Ukrainie jak i w emigracyjnych środowiskach ukraińskich na Zachodzie, ze zjawiskiem wręcz niewiarygodnym. Zamiast odcięcia się od haniebnego epizodu swoich dziejów i symbolicznego choćby przeproszenia Polaków, Ukraińcy demonstrują coś krańcowo przeciwnego. Zarówno ze strony niektórych ukraińskich czynników oficjalnych jak i ze strony historyków (lub pseudohistoryków) wysuwa się oskarżenia o dokonane zbrodnie... pod adresem Polaków. To polska samoobrona (tworzona przez Armię Krajową i Tajną Armię Polską) na Kresach Wschodnich była rzekomo zbrodniczą, bo broniła się przed UPA (i to bardzo dzielnie). To Polacy zagarnęli „czysto ukraiński” Przemyśl, Hrubieszów i Chełm. To wreszcie Wojsko Polskie ośmieliło się przeprowadzić akcję „Wisła” i ostatecznie rozgromić UPA.

*Diabeł się w ornat ubrał i ogonem do mszy dzwoni — jakby powiedział imę Zagłoba.*

Dlatego też konieczne jest mówienie prawdy. Prawdy opartej na badaniach naukowych, którymi jednak niestety zajmują się obecnie tylko nieliczni.

Stąd też na uwagę i uznanie zasługują prace dr. Aleksandra Kormana od lat podejmującego problematykę stosunków polsko-ukraińskich i zbrodni dokonanych przez UPA. W 1990 r. opublikował on pracę dość wydatnie poszerzającą wiedzę na powyższy temat i ujawniającą szereg nieznanych dotąd faktów, pominiętych w pracach innych autorów.

Opracowanie dr. Kormana składa się z trzech części, wydanych jako odrębne zeszyty przez Koło Lwowian w Londynie.

Część pierwsza nosi tytuł: „Piąte przyka-

ALEKSANDER KORMAN

## Z KRWAWYCH DNI LWOWA 1941 ROKU

KRWAWY BLEKITNO - ŻÓŁTY TYDZIEŃ  
UKRAIŃSKIEJ IRREDENTY

KOŁO LWOWIAN  
Londyn 1990

ALEKSANDER KORMAN

## PIĄTE PRZYKAZANIE BOSKIE: NIE ZABIJAJ!

NIKARANIE LUDOBÓJSTWA DOKONANE PRZEZ  
UKRAIŃSKICH SZOWINIŚCISTÓW W LATACH 1939 - 1945

KOŁO LWOWIAN  
Londyn 1990

zanie boskie: nie zabijaj” (poświęcona jest ona szczególnie odrażającej karcie w dziejach terroru nacjonalistów ukraińskich — mianowicie udziałowi w nim kleru obrządku grecko-katolickiego (unickiego)). Duchowni unicy ze swoimi zwierzchnikami: arcybiskupem Szeptyckim i biskupem Ślipyjem na czele stanowili najbardziej szowinistyczną i sfanatyzowaną część inteligencji ukraińskiej i demonstrowali niezmiennie nieprzejednane stanowisko wobec Polaków formułując żądania: „wypędzić Lachów za Bug i San”. Od tego tylko krok był do ludobójstwa — do którego też doszło.

Wydaje się na pozór, że kler grecko-katolicki z racji choćby swojego posłannictwa, zgodnie z głoszonymi przeciw chrześcijańskimi zasadami miłości bliźniego i przykazania Dekalogu: nie zabijaj! — winien robić wszystko, by łagodzić rozgorzałe namiętności i przeciwdziałać zbrodniom.

Czyniono akurat odwrotnie.

Praca dr. Kormana przytacza na to wiele udokumentowanych przykładów. I tak np. do mordowania Polaków podlegali księża unicy: Teleszczuk ze wsi Potok, Pałahickij w Monasterzyskach czy Mykietyn w Złoczowie. Inni, jak np. ks. Rokietyj ze wsi Laskowice pow. Trembowla udzielali błogosławieństwa bojownikom OUN-UPA udającym się na rzeź ludności polskiej oraz odprawiali dziękczynne nabożeństwa po wykonanych „akcjach”. Wielu duchownych poświęcało w cerkwiach narzędzia mordu, rozgrzeszając z góry zabójców. „Niektórzy księża unicy — jak pisze dr Korman — nawet szantażowali wiernych, że rozgrzeszenia przy spowiedzi nie otrzymają, jeżeli nie będą „rizaty Lachów” np. we wsi Hara-simowka woj. wołyńskiej.”

dokończenie na str. 19

dokończenie ze str. 18

Nagminnie też były przypadki oddawania do użytku UPA pomieszczeń przycerkiewnych m.in. dla przechowywania broni i amunicji. Ukraińscy księża grecko-katolicy zasiadali często w „sądach” komitetów OUN i skazywali Polaków na okrutną śmierć w torturach. Wyróżnili się w tym m.in. „otec” Korduba w Hlibowie, ks. Mychajło Marciniuk i ks. Sofron Iwantyszyn.

Mordercy dopuszczając się swoich zbrodni nie oszczędzali również Polaków modlących się w świątyniach rzymsko-katolickich. Dr Korman przytacza tu kilkadziesiąt przykładów, m.in. tak drastycznych, jak zamordowanie 1500 Polaków w kościele we Włodzimierzu, wyróżnienie 200 Polaków w Kutach i 500 w Kołodnie. Los swoich parafian dzieliło duchowieństwo polskie. Na Podolu i Wołyniu z rąk terrorystów OUN-UPA zginęło co najmniej 82 księży rzymsko-katolickich. Działo się to wszystko przy zamięszanym milczeniu hierarchii grecko-katolickiej z metropolitą, arcybiskupem Szeptyckim na czele. Ten ostatni w liście pasterskim z 10 sierpnia 1943 r. wypowiedział się wprawdzie w sprawie zbrodni UPA, ale w tym sensie, że ich skutki szkodziły samym Ukraińcom. Oto fragment tekstu tego listu: „Byliśmy świadkami strasznych morderstw dokonanych przez młodych ludzi, być może nawet w do-brych zamiarach, ale ze zgubnymi następstwami dla narodu”.

Słowa te nie wymagają komentarza.

W drugiej części swojej pracy („Z krwawych dni Lwowa 1941 roku”) dr Korman podejmuje problem bardziej znany i na ogół lepiej spenetrowany przez historyków. Chodzi tu o wydarzenia tzw. „błękitno-żółtego tygodnia” we Lwowie, pomiędzy 30 czerwcem a 7 lipcem 1941 roku. W tym to czasie, w pierwszych dniach okupacji niemieckiej OUN-owcy podjęli próbę proklamowania pod skrzydłami hitlerowców (choć bez ich zgody) „Samostijnej Ukrainy”. Przejawami tego było proklamowanie „rządu” pod przewodnictwem Jarosława Stečki, tworzenie własnej administracji (której załączkiem były przygotowane wcześniej na terenie Generalnej Guberni tzw. „grupy pochodne”) i policji ukraińskiej. Przede wszystkim jednak rozpętany został bezprzykładowy terror, którego ofiarą padli Polacy, Żydzi oraz pracownicy różnych urzędów i instytucji radzieckich, którzy nie zdążyli ewakuować się wraz z Armią Czerwoną. Wśród zamordowanych wówczas znalazła się grupa wybitnych naukowców polskich z prof. Kazimierzem Bartlem, prof. Tadeuszem Boy-Żeleńskim i prof. Romanem Longhamps na czele. Gwoli prawdy historycznej, trzeba stwierdzić, że zbrodni tych dokonywali wówczas nie tylko OUN-owcy. W znaczym stopniu były one dziełem specjalnej formacji eksterminacyj-

nej hitlerowskiej policji bezpieczeństwa — Einsatzgruppe „C”, dowodzonej przez SS-Brigadeführera Schöngartha (która korzystała zresztą z list proskrypcyjnych przygotowanych przez ukraińską „V Kolumnę”). Ukraińcy jednak co najmniej dorównali swoim mocodawcom. Obok policji ukraińskiej, zorganizowanej z działających wcześniej „oddziałów powstańczych OUN”, szczególnie złowrogą „stawę” zdobył batalion „Nachtigall”, wchodzący w skład utworzonego przez Abwehrę, dywersyjnego legionu ukraińskiego ppłk. Suszki, składający się ze zwolenników Stepana Bandery (w przeciwieństwie do batalionu „Roland” sformowanego z melnykowców). Żołnierzy tego batalionu mieszkańcy Lwowa nazywali „ptasznikami” ze względu na wymalowany na ich pojazdach mechanicznych symbol w postaci słowika.

Jedną z przytoczonych w pracy dr. Korman relacji stwierdza: „Ptasznicy stacjonowali w koszarach na Kleparowie i nie dokonali ulicznych pogromów w zwartych jednostkach. Uczestniczyli za to w rozbiści na małe grupy w prawie każdej większej łapanie i egzekucji (...). Był to element wyjątkowo polakożerczy, sadystyczny, budzący grozę. We Lwowie mówiono o nich, iż mordowali czterema sposobami: rozstrzeliwali, zabijali młotkiem uderzając w skroń, rozpruwali brzuch bagnietem, dusili własnoręcznie”. Natomiast niemiecki historyk A. Norden, ujawniając wyniki swoich badań, na konferencji w Berlinie w 1959 r. stwierdził, że batalion „Nachtigall” wraz z ukraińską policją i tzw. Służbą Bezpieczeństwa OUN od 1 do 7 lipca 1941 zamordował we Lwowie 3000 Polaków i Żydów.

Nie byłoby chyba potrzeby przypomnienia tych publikowanych wielokrotnie faktów, gdyby nie to, że w ostatnich czasach pojawiają się, nieliczne na szczęście, również polskie głosy (być może sponsorowane przez wpływowe ukraińskie lobby na Zachodzie), podważające prawdziwość dotychczasowych ustaleń. Należy do nich m.in. wypowiedź w 1981 r. dla „Przekroju” profesora (co prawda nie historyka lecz z Akademii Medycznej) Z. Alberta, z której wynika, że zbrodnie we Lwowie w 1941 r. popełniali wyłącznie Niemcy, zaś Ukraińcy co najwyżej spełniali funkcje pomocnicze, np. tłumaczy. Na podobne enuncjacje pozabawione jakiegokolwiek podstawy źródłowej możnaby w ogóle nie reagować, gdyby nie to, że są one skwapliwie wykorzystywane („nawet sami Polacy przyznają...”) przez dzisiejszych spadkobierców OUN w ich antypolskiej kampanii. Stąd też nie wolno przechodzić nad nimi do porządku dziennego.

Trzecia część pracy poświęcona jest nieznanym faktom ze zbrodniczej działalności SS „Galizien”. Pod tą nazwą rozumiemy zwy-

kle ukraińską — 14 SS-Freiwillige Division „Galizien”. Heinrich Himmler wyraził zgodę na jej utworzenie na początku 1943 r. w sytuacji, która powstała po klęsce hitlerowców pod Stalingradem. Służyli w niej zwolennicy Melnyka, wywodzący się z tego odłamu OUN, który do końca zachował niczym nie skrywaną pełną lojalność i uległość wobec Niemców. Dywizja ta składająca się z 29, 30, 31 pułków piechoty, 14 pułku artylerii, dywizjonów artylerii przeciwpancernej i przeciwlotniczej i batalionów saperów i łączności oraz służb technicznych, w lipcu 1944 r. została skierowana na front wschodni, gdzie działając w składzie XIII Korpusu Armijnego Wehrmachtu dostała się w okrążenie pod Brodami (w rejonie Bełżec-Skwarowa, Poczapy-Kniaże) i została całkowicie rozgromiona. Z „kotła” wydoszło się nie więcej niż 25-30 procent stanu początkowego. Niedobitki te uzupełniono i ponownie zorganizowano na poligonie Neuhammer (Świętoszków na Śląsku) i użyto do tłumienia powstania słowackiego.

W 1945 r. dywizja została przemianowana na Dywizję SS „Hałyczyna” tworzonej za zgodą hitlerowców ukraińskiej Armii Narodowej. W maju 1945 r. „Hałyczyna” przegrupowana została do rejonu Klagenfurtu, gdzie poddała się wojskom amerykańskim. Żołnierze 14 dywizji SS „Galizien” w okresie pobytu na zapleczu frontu wschodniego dopuścili się licznych zbiorowych morderstw na ludności polskiej zamieszkałej na Wołyniu i Podolu, m.in. jak to szczegółowo dokumentuje autor pracy, w Chodaczkowie (pow. Tarnopol), Hucie Pieniackiej (pow. Brody) i w wielu innych miejscowościach. Równocześnie jednak miano SS „Galizien” nosiło również 5 policyjnych pułków SS i dwa bataliony zapasowe, sformowane z nadwyżek ochotników do dywizji. Z powyższych jednostek 4 i 5 policyjne pułki SS stacjonowały na ziemiach polskich i wykorzystywane były do akcji pacyfikacyjnych, częściowo do służby wartowniczej w obozach koncentracyjnych i zagłady (m.in. w Treblince i Sobiborze), egzekucji, wysiedleń itp. Bilans ich zbrodni jest jeszcze bardziej przerażający niż całej 14 Dywizji, która przebywała tu znacznie krócej. Jako miejsca „działalności” pułków policyjnych autor wymienia 36 miejscowości, bardziej szczegółowo omawiając pięć z nich: Młynów, Palikrowy, Poturzyn, Prehoryłę i Smoligród. Prawda o tych zbrodniach jest na Zachodzie Europy, w USA i w Kanadzie systematycznie zacierana. Zbrodniarzy spod znaku czarnego trójzuba przedstawia się tam konsekwentnie jako „bohaterskich bojowników o wolność Ukrainy”. Stąd też konieczność zdecydowanego przeciwstawienia się tym zakłamanym praktykom. Robi to w miarę swoich sił i możliwości dr Korman, przypominając sprawę, o których zapomnieć nie wolno.

Ryszard Majewski

*„Gdy się mówi o wielkim świecie, nie należy oczywiście przyzywać na pamięć wszystkich akcesoriów wielkomiejskich, w rodzaju rozświetlonych kawiarni, rozpedzonej ulicy. Są to może nawet rzeczy ważne, ale nie ostatecznie ważne. Być wielkim światem, tzn. mieć śmiałość być sobą, być opartym na własnych siłach i własnej pracy ośrodkiem kulturalnym, tak właśnie, jak to było na tej ziemi już w wieku XV-tym. I tego tylko, niejednokrotnie świadomie, często jednak instynktownie, bez rozumowego uzasadnienia, chce i żąda Lwów, zarówno od siebie, jak od społeczności i państwa, których część stanowi” pisał w latach trzydziestych Wilam Horzyca, trafnie dostrzegając i oceniając ambicje Lwowa — nie zmniejszające się ani ze względu na trudną sytuację polityczną ani ekonomiczną. A przecież losy sceny lwowskiej w okresie międzywojennym nie były łatwe.*

## Teatr lwowski w latach 1918-1939

MAŁGORZATA LISOWSKA

Trzeba pamiętać, że na początku wieku scena ta nie tylko mogła konkurować z teatrem warszawskim czy krakowskim, ale słynęła również ze znakomitej trupy aktorskiej i doskonałego repertuaru. Za dyrekcji Pawlikowskiego, a później Ludwika Hellera — osiągnęła wysoki poziom artystyczny. Jednak po odzyskaniu niepodległości, miasto z pozycji stolicy autonomicznej Galicji, spadło do rzędu jednego z wielu miast wojewódzkich. Po ustąpieniu Hellera, w r. 1918 — właścicielem i dysponentem teatrów został magistrat tegoż miasta. Przyczyny takiego stanu rzeczy należy szukać zarówno w zjawisku pauperyzacji, zubożenia miejscowej inteligencji — wywołanym wojną, jak i w pojawieniu się groźnego konkurenta w postaci kina, skutecznie odciągającego publiczność. Niemały wpływ na podjęcie decyzji o konieczności objęcia teatru przez zarząd miejski i powierzenia go mianowanemu przez siebie dyrektorom — miał też odpływ najlepszych sił aktorskich do Warszawy oraz kształtowanie się Związku Artystów Scen Polskich.

Pierwszym dyrektorem działu dramatycznego wybrano Romana Żelazowskiego, który przy współdziałaniu muzyka Stanisława Niewiadomskiego, borykał się z prowadzeniem teatru. Z prowadzeniem wymagającym prawdziwego samozaparcia, gdyż teatr ten funkcjonował w gmachu, na który padały granaty ukraińskich wojsk w mieście obłożonym, pozbawionym żywności, światła i wody. Wystarczy przyjrzeć się kronice życia teatralnego tamtych lat, aby zauważyć i zrozumieć jak niezwykle trudna była egzy-

stencja teatru, zwłaszcza w okresie obrony Lwowa.

Sezon otwarto 21.08.1918 r. wystawieniem „Sarmatyzmu” Zabłockiego.

Wkrótce jednak przedstawienia zawieszono. 6.12. — po przerwie spowodowanej działaniami wojennymi, wznowiono występy, ale znów — po jednym przedstawieniu komedii „Piosenki ułańskie” Bunikiewicza — z braku prądu zawieszono działalność. 19.12. — po przymusowym okresie bezczynności artystycznej, wystawiono „Obrońcę Częstochowy”, ale już 31.12. — teatr ponownie zamknięto i otwarto dla widzów dopiero 25.01.1919 r.



Teatr Lwowski

Tak skomplikowana sytuacja pogłębiała kłopoty finansowe Teatru Miejskiego, tym bardziej, że w momencie objęcia przez Żelazowskiego kierownictwa sceną lwowską — podlegały mu aż trzy zespoły: dramatu, opery i operetki — i wszystkie trzeba było utrzymać. Żelazowski ceniony za wielo-

stronne doświadczenie, takt, umiejętności pedagogiczne — mimo wszystko zdołał dać w ciągu omawianego sezonu dwadzieścia sześć premier i wznowień w nowym opracowaniu oraz dwadzieścia cztery sztuki przejęte z dawniejszego repertuaru. Obok „Horsztyńskiego” Słowackiego, pojawił się szczególnie entuzjastycznie przyjmowany przez publiczność „Kościuszko pod Racławicami” Anczyca. Co charakterystyczne — w repertuarze proponowanym przez Żelazowskiego — dominowali autorzy polscy.

Następcą Żelazowskiego został Michał Tarasiewicz, który utrzymał się na stanowisku dyrektora scen lwowskich przez dwa sezony: 1919/20 i 1920/21. Również i on stanął przed trudnym zadaniem — przeciwstawienia się złej koniunkturze teatralnej oraz niechęci dużego odłamu prasy, szczególnie endeckiej. Tarasiewicza przystępującego do pracy z dokładnie sprecyzowanym programem, ale przecież w skomplikowanych warunkach wojennych nie mającego możliwości szerszego zrealizowania swych zamiarów — atakowała przede wszystkim „Gazeta Lwowska” kwestionując zarówno grę aktorów jak i inscenizowanie scen zbiorowych czy też podkreślając słabe oddziaływanie na publiczność. Tarasiewicz korzystał z pomocy reżyserów: Franciszka Frączkowskiego, Ludwika Czarnowskiego i Emila Chaberskiego. Wystawił „Królową Korony Polskiej” Wyspiańskiego — przedstawienie to uznano za największe wydarzenie artystyczne jego kadencji. Powodzeniem cieszył się „Sułkowski” — mający aż 26 powtórzeń, „Kupiec Wenecki”, „Ponad śnieg”, a w dziale opery: „Eros i Psyche” Różyckiego. W rezultacie publiczność obejrzała czterdzieści cztery sztuki polskie i dziewięć obcych — co świadczy o kontynuowaniu linii repertuarowej, zaproponowanej przez poprzednika Tarasiewicza — R. Żelazowskiego.

Tarasiewicz musiał ustąpić, a stanowisko jego zajął — Ludwik Czarnowski. Powszechnie akceptowano i chwälono jego energię i talent organizacyjny, a nawet „spryt, zapał, tupet”. Komisja teatralna prawie jednogłośnie przyjęła jego kandydaturę — licząc na to, że swymi zdolnościami zdoła przywrócić scenie lwowskiej, utracony blask i sławę. Czarnowski rozpoczął od przekonania zarządu miasta do konieczności utworzenia dwóch nowych scen. Wystawiano więc odwoł w gmachu Teatru Wielkiego widowiska dramatyczne i opery, komedie i sztuki kameralne w nowo otwartym Teatrze Małym, w sali Domu Katolickiego na Gródeckiej, operetkę przeniesiono wkrótce do Teatru Nowości przy ul. Słonecznej. Mimo, że jak twierdzą znawcy tego okresu była to myśl w zasadzie dobra, o dużym rozmachu — rozbitcie jednak ośrodka pracy teatralnej spowodowało pewne niepożądane efekty. Zanim to jednak nastąpiło, zdolności organizacyjne Czarnowskiego mia-

ad. ze str. 21

ty okazję ujawnić się między innymi w pomysłach wprowadzenia systemów abonamentów i zniżek. Poza tym poprzez zaangażowanie w charakterze sekretarza i nieoficjalnego kierownika literackiego — literata Artura Schroedera — zyskał współpracownika, który nie tylko pomagał prowadzić mu teatr, ale i redagował czasopismo „Życie Teatralne” — zawierające programy przedstawień, a także bogatą treść publicystyczną i informacyjną i należące do jednych z najlepszych tego typu wydawnictw lat dwudziestych.

Czarnowski wystawiał repertuar polski zarówno klasyczny jak i współczesny. Mimo, że zarzucano mu brak ambicji nie można pominąć faktu, że to właśnie Czarnowski doprowadził do wystawienia „Kłątwy” Wyspiańskiego w 1922 r. i „Nie-boskiej Komedii” Krasieńskiego 19.11.1924 r. Z autorów obcych wystawiał: Szekspira, Moliere, Ibsena, Strindberga, Wilde’a, Shawa, Pirandella, Rollanda, Andrejewa. Zainteresował się też dramatem jugosłowiańskim — utworami Kosora, Ogrizovica, Vojnovica. Sam był dobrym reżyserem. Do jego inscenizacji należą m.in.: „Danton” Rollanda, „Ten, którego biją po twarzy” czy „Św. Joanna”. „Hołdując poglądom konserwatywnym, zamykał się świadomie w obrębie koncepcji teatru naturalistycznego, spoglądając niechętnie na wszelkie usiłowania reformistyczne, na gruncie jednak tej sceny poruszał się swobodnie, łącząc doświadczenie z pomysłowością i dużym pietyzmem dla sztuki. Jego zasługą jest także zorganizowanie we Lwowie baletu i dawanie samodzielnych przedstawień baletowych, z których „Jezioro Łabędzie” Czajkowskiego było widowiskiem naprawdę artystycznym.

Za dyrekcji Czarnowskiego wśród reżyserów wyróżniali się Józef Sosnowski i Edward Żytecki, natomiast wśród aktorów: Ładosiówna, Łozińska, Hańska, Rygier, Żytecki, Romanówna i Orzechowski. Ze względu jednak na ogromny deficyt w ostatnim roku dyrekcji Czarnowskiego — rada miejska musiała rozwiązać z nim umowę oraz z powodu braku funduszy zrezygnować z prowadzenia Teatru Małego. Jeszcze w tym samym 1925 r. Czarnowski przejął Teatr Mały jako teatr prywatny i kontynuował jego działalność aż do lutego 1929 r.

Tymczasem Sceny Miejskie funkcjonowały w Teatrze Wielkim — gdzie wystawiano dramaty, komedie i opery oraz w Teatrze Nowości przeznaczonym dla operetki i farsy. Kłopoty finansowe skłoniły także radę miejską do dokonania znacznej redukcji w zespole artystycznym i technicznym. Niedobory kasowe próbowano zniwelować przez podwyższenie cen biletów. Antidotum na bolączki sceny lwowskiej miał być Henryk Barwiński, który przy współudziale i pomocy Józefa Jedlicza — wybitnego poety i znawcy dramatu, kierował tą sceną w

latach 1925-1927. Jednak mimo dobranego zespołu, nie udało się postawić teatru lwowskiego na poziomie z czasów Pawlikowskiego i Hellera. W zespole wybijało się grono młodych aktorów takich jak: Władysław Brochwicz, Bronisław Dąbrowski, Edward Fertner, Stanisław Miłski, Lech Stępowski, Jerzy Szyndler i Jan Guttner. Osiągnięciem teatru stało się na pewno — wprowadzenie na sceny polskie O’Neilla. W 1926 r. wystawiono „Żądę” (znaną obecnie pt. „Pożądanie w cieniu więzów”). Sukces odniosły także „Hetman Stanisław Żółkiewski” Brończyka, „Wilki” Rollanda, „Kredowe koło” Klabunda czy „Łatwiej przejść wielbłądowi” Laugera oraz „Kobieta, wino i dancing” Kiedrzyńskiego.

Zdarzały się jednak często inscenizacje niezbyt udane, np. „Król Stefan Batory” Brończyka czy „Syn cieśli” Zaleskiego. Mimo to, zespół teatru żegnał Henryka Barwińskiego „z pewnym sentymentem”, a przewodniczący komisji teatralnej i wiceprezydent miasta — Chłamtacz skierował do Barwińskiego list otwarty, w którym pisał m.in., że dzięki jego wytrwałości teatru lwowskie w okresie reorganizacji nie straciły nic ze „swojej twórczości”.

Od 1.09.1927 r. dyrekcję teatrów lwowskich (dramatu, opery i operetki) objął Teofil Trzciniński. Próba wyprowadzenia sceny lwowskiej z powojennego impasu — częściowo powiodła się. Dyrekcję Trzcinińskiego postrzegano wręcz jako „co prawda — krótkotrwały — ale — renesans dramatu lwowskiego”. Szczególnie podkreślano, że w sezonie 1927-28 nastąpił rozkwit sztuki teatralnej nie widziany we Lwowie od czasów Pawlikowskiego. Trzciniński jednak, od początku napotykał na rozmaite trudności, przede wszystkim ze strony zarządu miasta. Nikt nie mógł wcześniej przewidzieć, że właśnie 1.09. „miasto przejdzie z autonomicznej gospodarki swojej Rady na rządy komisarzy. Komisarz rządowy — Jan Strzelecki obniżył pobyty zespołu opery i operetki, ale Trzciniński był dobrej myśli. Otworzył sezon „Księciem niezłomnym” w inscenizacji plastycznej Wincentego Drabika, z Juliuszem Osterwą w roli tytułowej. Osterwę zresztą udało się pozyskać Trzcinińskiemu i dla innych spektakli sceny lwowskiej, m.in. dla „Wyzwolenia” — po raz pierwszy w całości granego we Lwowie 28.11.1927 r.

Znakomite recenzje nagradzały dzieła inscenizatorsko-reżyserskiej sztuki Trzcinińskiego: Szekspira „Wiele hałasu o nic”, Rossa di San Secondo „Wśród sukni roztańczonych”, „Noc śnieżystą” A. Rybickiego, Moliere „Tartuffe’a”. Trzciniński miał ambicję wprowadzenia nowości repertuarowych, np. zaprezentował „Dr Julię Szabo” Fodora, „Niezlomną żonę” Maughama czy „Donne Orette” Forzano. W ciągu dziesięciu miesięcy działalności Trzcinińskiego, teatr lwowski dał repertuar, przewyższający swą wartością repertuar

wszystkich teatrów polskich w tym sezonie, nie wyłączając warszawskich. Szczególną wagę przykładając do repertuaru rodzimego, wystawiając z górą 50% sztuk polskich. Obok ośmiu premier operowych i ośmiu operetkowych, Trzciniński wystawił w sezonie trzydzieści cztery pozycje w dziale dramatu. W dziale operowym grano 21 oper, wśród których po raz pierwszy w Polsce „Golema” d’Alberta i „Zmarły ogród” Korngolda. Polską twórczość reprezentowały dzieła Moniuszki, Nowowiejskiego, Walewskiego. Oprócz tego orkiestra operowa dawała od 18.10.1927 r., co pewien czas koncerty symfoniczne. Zespół operetki przedstawił 17 utworów, w tym 5 prapremier polskich. Nie można zapominać o 40 przedstawieniach dla młodzieży oraz o akcji objazdowej po Małopolsce Wschodniej, Podolu i Wołyniu, prowadzonej przez teatr lwowski. Przedstawienia dano w Przemyślu, Jarosławiu, Drohobyczu, Borysławiu, Krzemieńcu, Dubnie, Równem, Łucku i Kowlu, a w lecie 1928 r. — w Krynicy. Był to ogromny wysiłek.

Trzcinińskiemu udało się to, co nie powiodło się jego poprzednikom. Przy wysokim poziomie artystycznym, pozyskał stałą publiczność teatralną. Dzielnie sekundowali mu w jego poczynaniach tacy reżyserzy jak: Siemaszkowa, Strachocki, Żytecki, scenograf — Różański, z aktorów: Alfred Szymański, Jadwiga Żmijewska, Aleksander i Maria Żabczyński, Władysław Woźnik, Stanisława Mazarekówna, Henryk Modrzewski, Zaklicka. Wydatki teatru, zwłaszcza opery — były dość duże. Miasto postanowiło więc, nie patrząc na niezaprzeczone zasługi Trzcinińskiego, puścić teatr w dzierżawę. Pomysł rady miasta spotkał się z ostrą krytyką. 25.06. zwołano wiec protestacyjny, wystosowano protest do komisarzycznego zarządu miasta, sprzeciw wyraziło Walne Zebranie Literatów, prasa biła na alarm. Szczególnie emocjonalnie zaangażowało się w całą sprawę „Słowo Polskie” — stając po stronie Trzcinińskiego. Fala dyskusji i artykułów nie zmusiła władz miejskich do zmiany decyzji. Trzcinińskiemu wymówiono dyrekcję. Rozgoryczony pożegnał się z Lwowem „Odprawą posłów greckich” — jedną ze swych najpiękniejszych inscenizacji.

Sezon 1928/29 w nowym trybie dzierżawy — będącej czymś w rodzaju administracji poręczającej, de facto nie chroniącej miasta przed dalszymi przymusowymi świadczeniami i stratami — powierzono spółce, w składzie: Henryk Barwiński i Czesław Zaremba. Wybór okazał się zupełną pomyłką. Jedynym przedstawieniem, które osiągnęło odpowiedni poziom było wznowienie „Marii Stuart” Schillera. Trochę lepiej wyglądała sytuacja działu operowego, gdzie powodzenie zyskała „Rusalka” Dworzaka i „Klejnoty Madonny” Wolfa Ferrari’ego. Generalnie dominował repertuar sensacyjny, kryminalno-detektywistyczny np. „Pociąg-widmo” Ridleya, bądź też kabaretowo-groteskowy „Dwaja pa-

ad. na str. 23



ad. ze str. 22

nowie B." Hemara lub felietonowo-satyryczny np. „Murzyn warszawski” Słonimskiego. W sezonie 1929/30 zamiast poprawy, nastąpiło prawie zupełne załamanie. 15.09.1929 r. rozpoczął się strajk aktorów z powodu nie wypłacania gaż.

25.09. — teatry wznowiły działalność pod nową dyrekcją Ludwika Czarnowskiego, który doprowadził nieszczęsny sezon do końca.

W roku 1930 prasa lwowska podnosiła, że stan rzeczy w teatrze lwowskim ma charakter wybitnie przejściowy. Są na szczęście we Lwowie czynniki, które rozumieją, jaką doniosłość dla tego miasta kresowego ma teatr, jako jeden z najważniejszych posterunków kultury narodowej i wiedzą, że zadanie to spełnić może tylko teatr o nieprzeciętnej atmosferze kulturalnej i wysokim poziomie artystycznym, kierowany przez wybitną indywidualność.

Taką właśnie indywidualnością był z pewnością Leon Schiller. Jeszcze w 1925 r. wiceprezydent Chłamtacz zabiegał o sprowadzenie Schillera do Lwowa. Schiller odmówił, nie przyjął powtórnej propozycji dwa lata później i dopiero w 1930 r. wyruszył na podbój Lwowa. Być może zdecydował o tym fakt, że jak sam pisał w swoim szkicu etnograficzno-teatralnym Lwów posiadał najlepszą, najgorętszą, najmilszą i najbardziej kulturalną publiczność w Polsce. 9.05.1930 r. Rada przyboczna prezydenta miasta uchwaliła oddanie teatrów miejskich w dzierżawę Stanisławowi Czapełskiemu i Zygmuntowi Zalewskiemu. Kierownictwo artystyczne i reżyserię dramatu objął L.Schiller, co zostało przyjęte z entuzjazmem.

W okresie lwowskim Schillera wyróżnić należy dwa podokresy: pierwszy — obejmujący jego dyrekcję w sezonie 1930/31, i drugi — już pod dyrekcją Horzycy do r. 1932. W sumie dwa lata, a przecież należą one do tych, które skupiają na sobie szczególną uwagę historyków teatru. Latem 1930 r. — w czasopiśmie lwowskim, „Scenie Polskiej” i „Wiadomościach Literackich” Schiller ogłosił artykuły i autowywiady na temat współczesnienia teatru lwowskiego. Wyznawał w nich m.in., że trzeba mu takiego zespołu pracowników scenicznych, aktorów, reżyserów i techników, który by zrozumiał konieczność współczesnienia produkcji teatralnej oraz przystosowania jej do tempa i ducha naszych czasów (...) Przystępując do kompletowania zespołu, czynił to z wielką starannością. Oparcie znalazł w takich aktorach jak: Brodniewicz, Chodecki, Damięcki, Grywińska, Józef Konrat, Krachowiecki, Kuncewiczowa, Wierciński. W reżyserii pomagali mu: Strachocki, Radulski, a zwłaszcza Wierciński. Bliski Schillerowi był Daszewski — przygotowujący scenografię.

W okresie dyrekcji Schillera grano znów na trzech scenach: w Teatrze Wielkim, Romaitości i Małym. Schiller zainauguował

dyrekcję lwowską premierą „Zwycięstwa” Conrada — 1.09. Następne premiery to: „Dzielny wojak Szejwk” (18.09.), „Dorota Agermann” Hauptmanna (11.11.), „Kordian” Słowackiego (29.11.), „Jak stać się bogatym i szczęśliwym” Joachimowa (17.02.1931), „Spór o sierżanta Griszę” Zweiga (9.04.), „Hedda Gabler” Ibsena (2.05.), „Królowa Przedmieścia” (24.06.). W sumie było to osiem trudnych premier, w większości odnoszących sukces artystyczny. Repertuar, ogłoszony zresztą przez Schillera na początku działalności w teatrze lwowskim jest dość charakterystyczny. Schiller oświadczył przecie, że jeżeli będzie mu dane teatr lwowski od podstaw organizować, to nie będzie on ani „eksperymentalnym”, ani „awangardowym” w sensie formalnym. Schiller w żadnym ze swych oświadczeń nie wyrzekł się wielkich dramatów klasycznych, a szczególnie polskiego dramatu romantycznego. W prowadzonym przez siebie teatrze, rozpoczynał kształtowanie własnej metody, którą najczęściej nazywano neorealizmem.

Lwowska dyrekcja Schillera skończyła się po jednym sezonie (w sumie 29 premier) wraz z nadejściem ogólnokrajowego kryzysu teatralnego w drugiej połowie 1931 r. W tym właśnie czasie, w czasopiśmie „Nowa Kronika” ukazał się artykuł Schillera, nawołujący aktorstwo do oporu przeciw wyzyskowi przedsiębiorców teatralnych. Po opublikowaniu jeszcze artykułu „Przed walką rozstrzygającą o jutro teatrów w Polsce” został uznany przez prasę pravicową za promotora strajku teatralnego i wręcz zwolennika bolszewizmu. Po rewolucyjnych wystąpieniach, nie mógł więc Schiller myśleć w 1931 r. o stałym angażu we Lwowie.

21.01.1932 r. dyrekcję teatrów lwowskich objął Horzycy. W pełni świadom wielkości Schillera, by nie przerywać współpracy zapewnił mu inicjatywę oraz pole działania w trybie tzw. „reżyserii gościnniej”. W stosunkowo bardzo krótkim czasie (18.03.1932 r.), dał Schiller we Lwowie swoją słynną inscenizację „Dziadów” Mickiewicza. Uważano, że „Dziady” były wyznaniem wiary Schillera, jego spełnieniem, szczytem teatralnej twórczości polskiej w okresie międzywojennym. W tym samym sezonie Schiller wystąpił jeszcze z premierą „faktomontażu” Tretiakowa pt. „Krzyczcie Chiny!”, niespełna miesiąc później zaprezentował „Sen srebrny Salomei”. Przedstawienie oskarżono o „antypolskość” i „proukrainizm”.

Odejście ze stanowiska współpracownika teatru lwowskiego definitywnie, przyspieszyła afera, którą wywołało podpisanie przez Schillera i grupę aktorów apelu o zwołanie międzynarodowego kongresu antywojennego. W tekście znalazły się sformułowania: „Stańcie murem przy Związku Radzieckim” i „ziemie zachodnio-ukraińskie” — co szczególnie wzburzyło prasę. Ulotka zawierała 53 podpisy m.in. Damięckiego,

Kuncewiczówny, Axera, J.Wyki. Podpis Schillera umieszczono na pierwszym miejscu. 14.06. wraz z Damięckim i Cwojdzimskim został aresztowany. Po natychmiastowej interwencji Horzycy i Anny Jackowskiej u min. Pierackiego, zwolniono go.

W sierpniu 1932 r. — w gazetach warszawskich i lwowskich ukazało się krótkie oświadczenie Schillera, wyjaśniające okoliczności podpisania ulotki pacyfistycznej, stwierdzające, że nie miał on intencji „antypaństwowych” ani „godzących w byt niepodległej Polski”. Związki Schillera ze Lwowem będą się odtąd utrzymywać, ale w bardzo już luźnej formie. W okresie dyrekcji Horzycy zrealizuje Schiller jeszcze kilka spektakli. Będą to: powtórzenie „Podróży po Warszawie” Szobera (w 1934 r.) oraz „Koriolan” Szekspira (1936 r.). Później, dopiero w 1939 r. publiczność lwowska ujrzy „Nasze miasto” Wildera, „Korsarza” Acharda i „Paryżankę” Becque’a. Podsumowując, lwowski okres lata 1930-32 mógł Schiller śmiało zaliczyć do swoich sukcesów. Jako reżyser, artysta wypowiadający się w inscenizacji osiągnął sławę. Horzycy często podkreślał, że jego dyrekcja w teatrze lwowskim była świadomą kontynuacją Teatru im. Bogusławskiego — niegdyś wspólnie prowadzonego z Schillerem w Warszawie. Nie bez powodu Horzycy uważany za współtwórcę doktryny polskiego teatru monumentalnego, uchodził za drugiego obok L.Schillera, z jej najwybitniejszych realizatorów.

Horzycy we Lwowie stworzył jeden z najciekawszych teatrów polskich, kształtując ambitny repertuar, zapraszając do współpracy świetnych artystów. Na scenie lwowskiej ukazały się wtedy: „Odprawa posłów greckich”, wspomniane już „Dziady”, „Sen srebrny Salomei”, poza tym „Samuel Zborowski”, „Ksiądz Marek”, „Nie-boska Komedia”, „Powrót Odysa”, „Wesele”, „Wyzwolenie”, sztuki W.Bogusławskiego, A.Fredry, G.Zapolskiej, T.Rittnera, K. H. Rostworowskiego, J.Szaniawskiego. Na przemian z utworami polskimi wystawiano dramaty Eurypidesa, W. Szekspira, P. Calderona, a z nowszych autorów: G. K. Chestona, L.Pirandella. Samych sztuk Shawa ukazano na scenie lwowskiej — dziesięć, w znakomitych dekoracjach Pronaszki. Należy dodać do tego jeszcze „Jeńców” Marinettiego, „Mistrza Mande” Blagi (na premierach obu tych sztuk byli obecni autorzy), głośną inscenizację „Człowieka, który był czwartkiem”, „Peera Gynta” oraz po raz pierwszy w Polsce odegraną „Kleopatę” Norwida (19.12.1933 r. — z I.Eichlerówną w roli głównej) i misterium Kasprowicza pt. „Marchońt gruby a sprośny”. Jego wielki repertuar był wyrazem wyboru ideowego i filozoficznego. W ciągu sześciu sezonów — wystawił 174 sztuki, w tym 186 premier, z

ad. na str. 24

tego pozycji tzw. wyłącznie rozrywkowych było tylko 65, a więc około jedna trzecia repertuaru. Co ciekawe — sztuk żyjących autorów polskich ukazało się 29.

Już w roku 1935 Horzyca mógł stwierdzić, że otworzył swój teatr dla aż dziesięciu sztuk dramatopisarzy lwowskich. Wymienić tu należy: Brończyka, Rybickiego, Raorta, Zbierzchowskiego, Tępa, Budzyńskiego i Lisiewiczów. Wspomagali Horzycę w jego zamiarach tacy reżyserzy jak: B. Dąbrowski, W. Radulski, E. Wierciński. Scenografia była zazwyczaj dziełem A. Pronaszki i W. Daszewskiego oraz O. Axera, ilustracja muzyczna — R. Palestra. Dzięki wielkiemu zaangażowaniu i talentowi Horzycy, już po pierwszym sezonie stwierdzono, że — można mówić o specjalnym lwowskim stylu kształtowania rzeczywistości teatralnej. Horzyca oddziaływał na krystalizację tego stylu wydatnie, choć w stopniu nieraz trudnym do ustalenia, jako inspirator, adaptator tekstów, inscenizator, dopiero później jako reżyser. Istotne było to, że teatr Horzycy miał najprzedniejszych w kraju inscenizatorów, reżyserów, scenografów, to stanowiło jego główną przewagę, ale do osiągnięcia pełnych efektów byli mu niezbędni także i aktorzy: J. Strachocki, T. Białoszczyński, Wł. Krasnowiecki, rewelacyjne odkrycie Horzycy — Eichlerówna, wreszcie Maria Malanowicz-Niezdzielska — należeli do protagonistów zespołu.

Z czterdziestoosobowej trupy należy wymienić jeszcze: Ewę Bonecką, Elżbietę Dziewońską, Alicję Matusiakównę, Józefa Machalskiego, Józefa Leliwę czy Wł. Brochwicza, Luc. Krzemieńskiego. Teatr Horzycy zyskał wysokie uznanie. Co ważne sceny lwowskie funkcjonowały sprawnie, trzeba pamiętać, że od sezonu 1931/32 miasto zrezygnowało z prowadzenia Teatru Małego i opery. W Teatrze Wielkim Horzyca miał pod swoim zarządem dwie sceny dramatyczno-komediowe: Wielki i Rozmaito-

ści, od sezonu 1936/37 tylko Teatr Wielki — w sumie 1100 miejsc. Horzyca nie angażował się w działalność ściśle polityczną, był co prawda w l. 1930-35 posłem na Sejm z ramienia BBWR, zapraszał do współpracy Schillera posądzanego o lewicowe poglądy, w 1936 r. — udzielił sali teatralnej Zjazdowi Pracowników Kultury, będącemu największą manifestacją lewicy literackiej i artystycznej w Polsce międzywojennej. Ponadto redagował miesięcznik „Droga” (1928-37), a jako dyrektor teatru lwowskiego „Scenę Lwowską”. J. Kleiner wyraził opinię, że scena lwowska dzięki Schillerowi i Horzycy znówu stanęła w rzędzie pierwszych teatrów Europy.

Niestety — kiedy w 1936 r. Horzyca odszedł do Warszawy, sytuacja zaczęła się pogarszać. Spośród kandydatów starających się o dzierżawę teatru lwowskiego wybrano Janusza Warneckiego. Marzył mu się, jak to określano „teatr atmosfery”, „teatr idei”, do którego wprowadzeniem miał być „teatr potrzebny”. Rozpoczął od „Legendy” Wyspiańskiego, następnie był „Król włóczędów” — rekord sezonu (49 przedstawień), „Żołnierz królowej Madagaskaru”, „Zalotnicy niebiescy”, „Swaty”, „Lato w Nohant”, „Żabusia”. Dominowały w repertuarze farsy, bajki dla dzieci, komedie. Mimo posiadania zdolnych aktorów: Heleny Chanieckiej, Ireny Górskiej, Henryka Borowskiego, Lecha Madalińskiego itd. Warnecki musiał opuścić Lwów rozgoryczony, nie powiodło mu się ani pod względem finansowym ani artystycznym. Zawiodła przede wszystkim publiczność. Nowym dyrektorem w sezonie 1938/39 mianowano Mieczysława Szpakiewicza. Szczególnie cenił go J. Osterwa nazywając „rzadkim w teatrze polskim ideowcem”.

Szpakiewiczowi udało się zwiększyć frekwencję poprzez nie tylko obniżenie cen biletów, ale i staranne przygotowanie poziomu artystycznego przedstawień. Oczywiście do wyraźnego podniesienia poziomu

przyczynili się w głównej mierze zapraszani reżyserzy: Wierciński — wystawił „Maskaradę” Iwaszkiewicza i „Obronę Ksantypy” Morstina, Krasnowiecki przygotował „Szaleństwo” Peyreta-Chappuis, Daszyński m.in. „Świętoszka” Moliere. Niewątpliwym przebojem sezonu była „Gałązka rozmarynu” Nowakowskiego, która doczekała się 54 spektakli, obejrzanych przez 38 000 widzów. Również i inne z inscenizowanych sztuk ściągnęły do teatru wprost imponujące rzesze publiczności, np. „Dzień bez kłamstwa” 20 000 widzów, wymieniany wcześniej „Świętoszek” 14 300. W sumie w dziedzinie dramatycznym dano około dwudziestu premier. Niemało sztuk zyskiwało około dwudziestu spektakli, a nawet ponad trzydzieści. Mimo, że Szpakiewicz „zadawał się eklektycznie nowościami wypróbowanymi z dobrym skutkiem” już w innych miastach, osiągnięto sukcesy, o jakich nie śniło się w ubiegłych sezonach.

Oczywiście oprócz Teatru Miejskiego w różnych latach działało wiele imprez widowiskowych, krótkotrwałych, zawodowych, półamatorskich itd. Wymienić można choćby teatrzyk Ul, Teatr Wodewilowy, teatrzyk Chochlik w Ogródzie Pojezuickim, Młoda Scenka przy ul. Chorążczyzna czy Semafor z ul. Rejtana — scena o charakterze awangardyzującym. Wszystkie te prywatne teatry i teatrzyki odgrywały rolę raczej epizodyczną w lwowskim życiu kulturalnym, główną — bez wątpienia — sceny miejskie. Dały one około 60 prapremier polskich m.in. „Sprawę Dantona” Przybyszewskiej czy „Południcę” Staffa, pielęgnowały rodzimy lwowski repertuar i mimo, że teatr lwowski często w okresie międzywojennym spadał poniżej poziomu innych scen polskich — w niektórych sezonach jednak wysuwał się na czołowe miejsce w kraju.

Małgorzata Lisowska

## Proponowana tematyka Sesji Naukowej z okazji 150-lecia Politechniki Lwowskiej

### I. Część historyczno-dokumentalna:

1. Historia i początki uczelni technicznych na terenie Europy, Polski i Lwowa.
2. Lwowskie środowisko naukowo-techniczne.
3. Historia Politechniki Lwowskiej:
  - w latach 1844-1877 C.K. Akademia Techniczna,

- w latach 1877-1918 C.K. Szkoła Politechniczna,
- w latach 1918-1939 Politechnika Lwowska,
- w latach II Wojny Światowej,
- po 1945 roku (okres radziecki i ukraiński).
- 4. Historia budowy gmachów Politechniki Lwowskiej.
- 5. Wkład uczonych Politechniki Lwowskiej w naukę polską.

6. Udział w zrywach narodowych oraz życiu politycznym i społecznym.

7. Działalność poszczególnych agend Politechniki Lwowskiej (Mechaniczna Stacja Doświadczalna, Zakład Doświadczalny w Dubnach i inne).

8. Spadkobiercy Politechniki Lwowskiej.

### II. Część osobisto-wspomnieniowa:

W części tej zawarte byłyby materiały wspomnieniowe (także o charakterze historycznym), osobiste i zasłyszane, osób bezpośrednio związanych z Politechniką Lwowską, a dotyczące profesorów, wykładowców i innych osób z grona pracowników Politechniki, wykładowców, egzaminatorów i innych zajęć na Politechnice, wydarzeń, krążących anegdot itp.

# Encyklopedia Lwowa

**Rozmowa z Januszem Wasylkowskim, autorem przygotowywanej do druku „Encyklopedii Lwowa”, którą przeprowadziła prezes Fundacji Kresowej „Semper Fidelis”, mgr Danuta Tabińska-Juhasz**

**D.T.** — Panie Januszu, w drugim numerze „Rocznika Lwowskiego” opublikował Pan fragmenty „Encyklopedii Lwowa”, w wywiadzie przeprowadzonym przez „Słowo Powszechne” mówił Pan o pracy nad tą książką. Czy jest już ona gotowa do druku?

**J.W.** — Powinienem ją skończyć rok temu. Wciąż jednak inne zajęcia i obowiązki, zwłaszcza społeczne, utrudniają czy wręcz uniemożliwiają mi sfinalizowanie tej nietyposowej z kilku powodów pracy.

— Aż z kilku?

— Niestety. Po pierwsze dlatego, że piszę ją sam, a nie z zespołem ludzi różnych specjalizacji, jak to zazwyczaj bywa przy tego typu opracowaniach. Po drugie — nie mam możliwości korzystania z materiałów archiwalnych znajdujących się poza krajem. Po trzecie — w materiałach źródłowych, książkowych jest wiele sprzecznych informacji, które trzeba wielokrotnie sprawdzać, weryfikować, niekiedy skomentować. Powstaje zatem coś nowego, encyklopedia uzupełniona przypisami, komentarzami, coś w rodzaju też nietyposowej pracy naukowej. Ale taka jest konieczność, nie jesteśmy przecież we Lwowie, mamy ogromne luki w dokumentacji wydarzeń choćby z dwudziestolecia międzywojennego, o wielu wybitnych ludziach z tego okresu, o ich działalności pozostały jedynie strzępy informacji.

— Poszczególne wydawnictwa czy uczelnie usiłują od kilku lat nadrobić zaległości. Powstają przecież takie książki jak np. poświęcone Politechnice Lwowskiej lub okupacyjnej „Gazecie Lwowskiej”.

— Tak, ale nie ma w zasadzie uczelni ani innej placówki badawczej mogącej w pełni podjąć bogatą lwowską tematykę: naukową, polityczną, literacką czy społeczną. O lwowskim teatrze, na przykład, wiemy stosunkowo dużo, ale tylko o tym reprezentacyjnym — od Bogusławskiego, poprzez dzieło Skarbka i Teatr Wielki. Nikt jednak nie opracował dziejów kabaretów i scenek lwowskich, dziejów teatru amatorskiego, nie mówiąc już o teatrze żydowskim lub ukraińskim. Opracowano dość szczegółowo dzieje Uniwersytetu i Politechniki, o innych lwowskich wyższych uczelniach brak monograficznych opracowań, brak nawet wiadomości gdzie się znajdują ich archiwalia. Na brak opracowań historii lwowskiego szkol-

nictwa skarżono się jeszcze pod koniec XIX wieku. Rozwój szkolnictwa w II Rzeczypospolitej czeka także na swego autora. Rejestr takich braków można ciągnąć niemal bez końca. Nie ma także jednej bodajże biblioteki, która by zgromadziła wszystkie lwowskie publikacje, choćby tylko te, które tematycznie dotyczą miasta nad Półcią — ze zrozumiałych powodów nie wymieniam zasobów dawnego Ossolineum, które nadal znajdują się we Lwowie.

— Z jakich więc źródeł korzysta Pan w swojej pracy?

— Przede wszystkim z książek i czasopism znajdujących się w moich zbiorach. Przez ponad 30 lat mojego bibliofilstwa i kolekcjonerstwa udało się zbierać ponad 9 tys. książek o tematyce kresowej, połowa z nich dotyczy Lwowa. Drugie tyle tytułów mam w swojej podręcznej bibliografii znajdującej się w fiszkach, także przez lata opracowywanych i gromadzonych. Niejednokrotnie zresztą ze zbiorów tych korzystali niektórzy historycy, dziennikarze i literaci, rzadziej — wydawcy.

— Ile jeszcze pracy przed Panem?

— W zasadzie mam za sobą ok. 80% pracy, potrzeba mi kilku miesięcy na dokończenie i uzupełnienie już opracowanych haseł, ale powinny to być miesiące codziennej wielogodzinnej pracy, od której nie powinny człowieka odrywać inne sprawy i problemy — choćby finansowej natury. Cała encyklopedia podzielona jest na 3 duże rozdziały.

Pierwszy obejmuje historię Lwowa, a więc hasła poświęcone najważniejszym wydarzeniom politycznym i historycznym od pierwszej wzmianki o Lwowie (czy wcześniej o tutejszej ziemi, jeszcze nie lwowskiej) poprzez kolejne pożary, najazdy, oblężenia miasta, pomiędzy którymi trwała żmudna codzienna praca mieszkańców Lwowa też znacząca innymi ważnymi wydarzeniami — budową kościołów, cerkwi, ratusza, założeniem Uniwersytetu, budową pałaców i kamienic mieszczańskich — aż po ostatnią Obronę Lwowa w 1939 r.

Część druga, najobszerniejsza, obejmuje hasła dotyczące miasta — jego budowl, instytucji, krajobrazu.

Część trzecia — to ludzie Lwowa lub ze Lwowem częściowo związani. W sumie zbiera się ponad 600 stron maszynopisu, do którego dojdą jeszcze zdjęcia, ilość ich zależna będzie od potrzeb i możliwości wydawcy.

— Ma Pan już wydawcę na tę książkę?

— Teoretycznie tak, ale w praktyce nic nie wiadomo, szczęście innych moich książek (lub opracowań) dotyczących Lwowa leży lub leżało w różnych wydawnictwach, ale nasze oficyny upadają, zmieniają profil, redaktorów i dyrektorów...

— Wspomniał Pan o sprzecznych informacjach zawartych w różnych publikowanych źródłach ...

— Najbardziej charakterystycznym błędem popełnianym przez wszystkich (sic!) autorów przewodników po Lwowie jest podawanie 1905 roku jako roku wzniesienia pomnika Adama Mickiewicza, tymczasem odsłonięcie pomnika wydarzyło się 30 października 1904 r. Błędnie podane są też lata odsłonięcia innych pomników lwowskich — w drugim wydaniu Historii miasta Lwowa Fryderyka Papée (zapewne błąd korektorski nie zauważony przez wybitnego przecież autora, na którego jednak powołują się późniejsi autorzy). W różnych źródłach wymienia się nazwiska trzech architektów jako prawdopodobnych twórców katedry św. Jura, dwaj znani lwowscy publicyści historyczni podają różne daty i okoliczności przeniesienia kamiennego lwa z ratusza na Wysoki Zamek, na większości przedwojennych planów Lwowa błędnie umiejscowiony jest Kaiserwald. Wielu autorów zapomniało, że Kaiserwald poprzednio nazywany był Lonszanówką lub Longszanówką i lokalizowano te nazwy w różnych miejscach, podobnie zresztą jak Pohulanę oraz Lasek Węgliński, które oznaczają ten sam rejon. Trzej autorzy podają różne daty budowy kościoła Karmelitanek Bosych przy ul. Potockiego i różne nazwiska projektantów. Jednemu z nich pomylił się prawdopodobnie ten kościół z poprzednim kościołem-kaplicą Karmelitanek przy ul. Kurkowej. Podobnych sprzeczności czy przekłamań jest dużo, w miarę możliwości staram się je wyłapywać.

— Będzie to zatem praca odkrywczą.

— Mam nadzieję. Sądzę, że udało mi się odkryć wiele zapomnianych nazw, a nawet miejsc. Ile było we Lwowie na przykład pasaży? Wszyscy zapewne pamiętają: Pasaż Mikolascha, Hausmana, Andreollego (niekiedy mylnie nazywany Andriollego), może ktoś zapamiętał Pasaż Hermanów (przy Słonecznej), ale ile osób pamięta, że były jeszcze we Lwowie: Pasaż Fellerów (z Legionów do Rzeźnickiej), Kleina (z Rynku do Boimów), Lauferra (z Boimów do Sobieskiego), Mariacki (nazywany także Galerią Mariacką), Grünerów (z pl. Smolki do Kołłątaj), rodzajem pasaży było także bezimienne przejście z ul. Cichej do Ossolińskich. Innym rodzajem pasaży można było określić Zaułek Ormiański, przejście z ul. Ormiańskiej na Skarbkowską poprzez podwórze katedry ormiańskiej.

cd. ze str. 25

Duży bałagan panuje w oficjalnym (?) nazewnictwie lwowskich potoków składających się na Pełtew. W emigracyjnym tygodniku w artykule wspomnieniowym o Lwowie autor pisał o Dzikim Rowie płynącym ul. Pełczyńską. Nigdy wcześniej z taką nazwą się nie spotkałem, choć wiedziałem, że ta część Pełtewi nosiła nazwę Potoku Wuleckiego, a także Soroki lub Sołonki, pomyślałem więc, że zapewne wiekowemu autorowi coś się pokiełbało, ale... Któregoś dnia wpadła mi w ręce dość rzadka książka-album *Budowle wykonane w dziesięcioleciu 1903-1913 przez firmę: Michał Ulam architekt — budowniczy we Lwowie* — i na jednej ze stron podpis pod zdjęciem informował: *Budowa kolektora — zasklepienie „Dzikiego rowu” przy ul. Obertyńskiej*.

Dzisiaj już mogą uzupełnić niektóre hasła umieszczone we fragmen-*Encyklopedii* w „Roczniku Lwowskim” dwa lata temu. „Odnalazła się” nazwa stawu na Pohulance (staw Kleina), Zygmunt Kobak, wrocławski autor książki „Z wysokim Zamkiem za pan brat” przypomniał nazwę góry, obok której mieszkał, leżącej (patrząc od Śródmieścia) po prawej stronie kościoła św. Wojciecha. Była to góra Marcina, nazwa lokalna, gwarowa, jak wiele innych nie odnotowana przez kartografów. U podnóża tej góry (wzgórza), przy ul. Kurkowej znajduje się budynek Strzelnicy Miejskiej, w starych do-

kumentach wymienia się, że Strzelnicę zbudowano na stoku Wilczej Góry. Rodzi się pytanie, czy owa Wilcza Góra to późniejsza góra Marcina? Pytanie tym bardziej uzasadnione, że po lewej stronie Strzelnicy jest inne mniejsze wzgórze (też od biedy mogące w lokalnym nazewnictwie uchodzić za górę), o którym też można powiedzieć, że na jego stoku znajduje się Strzelnica. Wzgórze to, dziś splantowane, urokliwe miejsce spacerowe, mało jest znane, nawet dzisiejszym lwowiakom ...

Albo studnie (wodotryski) ... Obok tych najbardziej znanych: na Rynku (Neptuna, Diany, Amfitryty i Adonisa), na Wałach Hetmańskich (Najświętszej Marii Panny), na pl. Halickim (Świtezianki) i przy ul. Kopernika (Szolc-Wolfowiczów) była jeszcze studnia bł. Jana z Dukli na dziedzińcu między kościołem Bernardynów a jego dzwonicą. Były też dwie bezimienne studnie: na pl. Dąbrowskiego oraz na Wysokim Zamku. Studnia na pl. Dąbrowskiego pochodziła z XIX w. Na jej żeliwnym korpusie, z którego dwóch ujęć wypływała woda, umieszczona była w 1933 r. brązowa rzeźba przedstawiająca kłęczącą kobietę, na jej barkach siedział chłopczyk trzymający nad głową rybę, z której pyska wytryskiwał strumień. Gdzie znaleźć nazwisko rzeźbiarza (lub raczej rzeźbiarki)? Co stało się z tą rzeźbą? W grubej księdze „*Miasto Lwów w okresie samorządu 1870-1895*” wydanej w 1896 r. znaj-

dujemy informację, że piękna waza z rzeźbami, podług Thordwaldsena, przeniesiona została z tej studni do ronda przed gmachem Sejmowym. Stały tu także popiersia L. Sapiehy, S. Głowińskiego, miał „przybyć” biust J. Dobrzańskiego. O rondzie tym i wspomnianych wyżej popiersiach brak informacji w późniejszych opracowaniach. Kto te popiersia wyrzeźbił i co z nimi się stało? I jak interpretować zdanie: *waza z rzeźbami podług Thordwaldsena*? Czy było to dzieło duńskiego artysty, czy wykonane według jego planów, czy też kopia jego dzieła?

Takich zagadek jest mnóstwo. Staram się je rozwiązywać, nie zawsze się to udaje. W wielu przypadkach na rozwiązanie jednej zagadki powinno się poświęcić kilka miesięcy szperania, nikogo na to nie stać organizacyjnie i finansowo. Samym, na przykład, lwowskim pałacom i pałacykom można by poświęcić osobną książkę, ale wymagałaby ona wielomiesięcznej pracy i to we Lwowie. A secesja lwowska, jakże wspaniała, bogata, różnorodna, niedoceniana przed wojną! ... Myślę, że po ukończeniu i — oby! — wydaniu mojej *Encyklopedii* — dla innych poszukiwaczy i badaczy, miłośników przeszłości Lwowa (zarówno Polaków jak i Ukraińców) przybędzie sporo ciekawej pracy.

— Bardzo Panu dziękuję za rozmowę.

## „Tramwaj za tramwajem ...”

ZDZISŁAW J. ZIELIŃSKI

Od „remizji” na Rogatce Gródeckiej miałem do swoich bloków ok. 5-7 min. (bloki te często nazywano nawet nieoficjalnie „konduktorskimi”, może dla odróżnienia od pobliskich „kolejowych”). Ale czasem trwało to dużo dłużej, a mianowicie kiedy miała próbę orkiestra tramwajarska. Stałem wtedy długo przy otwartym oknie od ul. Tatar-Trzeźniowskiego i słuchałem całej klasyki orkiestry dętej: „Alte Kameraden”, „Marsza florentyńskiego” i „Marinarelli” Fućika i innych takich.

Remiza gródecka była najbardziej nowoczesna; zbudowana w latach 1929-30 — po tej na Gabrielówce i po Wóleckiej, które były pierwsze wraz z elektrownią z roku 1893, od której zaczął się we Lwowie wiek elektryczności (w Warszawie od 1902 r., w Krakowie i Wilnie od 1903 r.). Później, w miarę gwałtownie rosnących potrzeb zbudowano w 1908 r. dużą elektrownię na Persenkówce, ale ta pierwsza ściśle powiązała

elektryczność miejską z tramwajem. Stąd tradycyjnie utrzymująca się nazwa obu instytucji: „Miejskie Zakłady Elektryczne”.

Była jednak i starsza „remizja” konnego tramwaju we Lwowie, a właściwie jest jeszcze, choć w mocno zmienionym kształcie. Łączy klin ul. Gródeckiej i Bema, powyżej koszar 6 PAL-u im. gen. Józefa Bema (wówczas koszary artylerii im. cesarza Ferdynanda). Przed wojną zachowywały się prowadzące do niej z obu stron tory. Tę remizę zbudowano w latach 1878-80.

Tramwaj konny oczywiście wyprzedzał elektryczny, a później, przez ok. 14 lat oba systemy egzystowały obok siebie (do 1908 r.). Ten pierwszy system oddano do użytku 3.05.1880 r. Realizacji podjęło się товариство „Societá Triestina Tramway” (ta sama firma zresztą założyła w roku 1882 we Lwowie telefony a centrala mieściła się wówczas w Domu Skarbka). Zawarto umowę na 50

lat, ale już dużo wcześniej miały wyjść związane z tym, kłopotliwe konsekwencje. Zbudowano 2 linie: Dworzec Gł. — Pl. Cłowy, oraz Pl. Gołuchowskich — Rogatka Żółkiewska. Kursowały na nich 22 wozy w lecie i 16 w zimie (były jeszcze 3 towarowe). Siły użyczało 160 koni — oczywiście nie mechanicznych ...

Tramwaj konny z kolei poprzedzały omnibusy, kursujące na 2 liniach; Dworzec kol. — Łyczaków i Dworzec kol. — Park Kilińskiego. A gwoli ścisłości historycznej godzi się dodać, że na starym planie miasta z 1890 roku znalazł się projektowany Miejski Tramwaj ... Parowy. Czerwona linia biegła tu m.in. przez Pełczyńską i Janowską z zaznaczonymi „stacjami”: Lwów na Stryjskim i Lwów św. Anna. Ponoć przygotowywano i kolej linową, co odbyło w latach 40-tych w postaci żartu primaprillisowego.

Na całe jednak szczęście względy praktyczne zadecydowały o wprowadzeniu tramwaju elektrycznego. Doszły do tego jeszcze inne i to nie do odrzucenia: Powszechna Wystawa Krajowa. Lwów musiał mieć tramwaj elektryczny i wreszcie go miał! Po Bydgoszczy (1883) i Wrocławiu (1893) a przed Wiedniem, Paryżem, Londynem i Petersburgiem. W Warszawie zainstalowano to cudo dopiero w 1905, a Wilno i Lublin nie doczekały się go w ogóle ...

cd. na str. 27

cd. ze str. 26

A zatem Lwów się modernizował: do telefonów dołączyły nowoczesne wodociągi ze znakomitą wodą z Dobrostanów, prąd elektryczny, no i ten tramwaj. Wydawało się to logiczną konsekwencją, a jednak na samym początku zaczęło się od spięć. Miasto oddało realizację tego przedsięwzięcia wiedeńskiej firmie „Siemens & Halske”, a tymczasem triesteńska „Società” wystąpiła z roszczeniami. Wprawdzie to niby inny tramwaj, ale prawnicy obu stron rozpoczęli dzielenie włosa na czworo przed przygotowywanym procesem. Jakoś się wreszcie ugodzono.

A tymczasem zbliżał się termin otwarcia Powszechnej Wystawy Krajowej (która miała być manifestacją ogólnopolskiej siły gospodarczej i kulturalnej — i była!), więc realizowano całe to przedsięwzięcie. Powstała pierwsza linia, łącząca dworzec z terenami wystawowymi. Przez Leona Sapiehy, Kopernika, Sykstuską, Hetmańską, Batorego, Zyblikiwczą, św. Zofii. Później, w jesieni, uruchomiono drugą, prowadzącą przez Rynek na Łyczaków, przy czym wykorzystano już istniejący fragment linii do dworca. Każda linia dzieliła się na dwie sekcje.

Pierwsze wagony sprowadzono z Wiednia. Wszystkiego 18. Były ciemnoczerwone, o otwartych pomostach i łańcuchowej transmisji napędowej. Były małe: na 21 miejsc siedzących i 12 stojących. Miały za to 2 klasy: I „lustrzana” i II „pospolitą”. Za przejazd jednej sekcji płacono 4 i 3 centy. Początki, jak zwykle były skromne, ale taki tramwaj jeździł regularnie co 5 minut.

Rozpoczęcie ruchu miało miejsce 31 maja 1894 r. Były oczywiście przemówienia, życzenia, kwiaty, no i pierwsza, trochę ryzykowna podróż ojców miasta. Tylu, ilu zmieściło się w jednym wagonie. Ich małżonki w tym czasie zebrane w kościele modliły się gorąco o szczęśliwy przejazd. I nie bez pewnych racji, jako że pierwszą krakę miał później wóz nr 13, który to numer słusznie wymieniono na 14. Kiedy we wrześniu 1894 roku Najjaśniejszy Pan raczył był odwiedzić Wystawę, miał też okazję przejechać się tramwajem, jako że w „Widniu” jeszcze tego nie mieli!

A tymczasem pierwszy dyrektor, inż. Józef Tomicki działał energicznie dla rozwoju kierowanej przez siebie instytucji. Tabor zasilili wagony rodzimej produkcji z Sanoka: z oszklonymi platformami, transmisją trybową i dodatkowym hamulcem elektrycznym. Do I-szej wojny światowej było ich 146.

W 1908 r. zbudowano nowoczesną elektrownię na Persenkówce, co umożliwiło dalszy rozwój sieci tramwajowej. W tym też roku tramwaj konny odszedł do lamusa, a dla elektrycznego zbudowano nową zajezdnię na Gabrielówce. Powstało w sumie 6 linii o dosyć osobliwych oznakowaniach literowych: KD (Dworzec — Park Kilińskiego), ŁD (Dworzec — Łyczaków), ŁJ (Łyczaków — Janowska), WL (Wysoki Zamek — 21 Li-

stopada), HG (Wały Hetmańskie — Gabrielówka), HZ (Wały Hetmańskie — Zamarstynów).

W nowy wiek miasto Lwów weszło pod znakiem rozwoju, a przyczynił się do tego w dużej mierze właśnie tramwaj elektryczny (choć częściowo i poczciwy konny). Najpierw zaobserwowano to na szlaku ulic Gródeckiej i Żółkiewskiej, a potem powstały całe nowe kwartały na Łyczakowie, Zofiówce i cała wręcz dzielnica — Nowy Świat. Do dziś można tam śledzić zwartą i ciekawą secesyjną zabudowę — znamię czasu.

Warto tu chyba zacytować parę fragmentów z ówczesnego regulaminu Miejskiej Kolei Elektrycznej (1913).

„Kolej elektryczna ma zawsze jechać lewym (!) torem... służba kolejowa ma dawać sygnał głośnym dzwonkiem, szczególnie przy zbliżaniu się do ulic bocznych ...



Miejskie Zakłady Elektryczne, ul. Pełczyńska nr 57

Wozy kolei elektrycznej mają wstrzymać ruch przed zbliżającym się trenem pożarowym, pogotowiem lekarskim ... Przy spotkaniu się z pochodem pogrzebowym albo uroczystym lub w ogóle licznym pochodem publicznym...

Wewnątrz wozów palić nie wolno (poza wozami przyczepnymi linii ŁD), brać także ze sobą psów, kotów i innych zwierząt, ani też... przedmiotów, które mogą przeszkadzać lub sprawić przykrość współjadącym...

Służba kolejowa ma prawo nie wpuścić do wozu osób nietrzeźwych lub gwałtownych... niechlujnie odzianych, czem u współjadących wstręt wzbudzić lub ich na powalanie ubrania narazić by mogły.

Cena wynosi w I klasie za jedną sekcję 10 halerzy, w II 8 halerzy.

Dzieci niżej 1 metra wzrostu nie nie płacą, zaś ponad metr płacą jak dorośli ...”

I stał pretensje p. Dulskiej do córki, która się nie skuliła w tramwaju. Ale nadszedł czas, który zmiotł nie takie regulaminy, przepisy i systemy wartości i nie tylko pań Dulskich. Wielka Wojna.

Ku zdumieniu matron z towarzystwa pojawiły się pierwsze konduktorki. W 1918 r. zamieniono biura Miejskiej Kolei Elektrycznej na szpital polowy. A kiedy w 1919 r. nacjonaliści ukraińscy uszkodzili elektrownię — przerwa w ruchu trwała 4 miesiące (i te przerwy miały się później powtarzać trzykrotnie).

Po wojnie społeczeństwo bezklasowe pozostawało w sferze marzeń socjalistów-utopistów, ale w tramwaju klasy zniesiono i ujednolicono opłaty. Nadeszły też poważniejsze zmiany. W 1922 r. zmieniono ruch z lewostronnego na prawostronny (dlatego na starych zdjęciach tramwaje jadą „pod

prąd”). I nie był to także chwyt polityczny, jako że tramwaj nadal pozostał czerwony ... Zmieniono wreszcie oznakowania linii z literowego na cyfrowe. W sumie było tych numerów dziesięć (1-10) z tym, że niektóre linie kursowały tylko w określonym czasie (5-6-7). Np. „11A” kursowała regularnie, ale tylko w okresie trwania Targów Wschodnich (z Dworca Głównego).

Mimo kryzysu znalazły się pieniądze i to duże na modernizację taboru i rozbudowę linii. Sprowadzono z Sanoka nowoczesne wagony, które nazywano „pulmanami”, chociaż nie wynikało to z ich konstrukcji. Kursowały na „jedynce”. Puszczono tramwaj przez Słoneczną, Pełczyńską i Gródecką na Bogdanówkę. Na Rogatce Gródeckiej powstała nowoczesna „remizja”. „Jedynkę” przedłużono na Pasiaki.

cd. na str. 28

cd. ze str. 27

Zmiany dotyczyły także umundurowania. Maciejówki zastąpiono sztywnymi rogatywkami; zmieniono też emblematy. Na blyszczących guzikach (w 2 typach) pysznił się herb miasta. Tramwaj się modernizował, ale długo jeszcze pozostały w użyciu płaskie mosiężne trąbki, którymi dawali sygnały konduktorzy z przyczep o otwartych pomostach. Podobnie było z piaskiem do posypywania śliskich szyn i szufelkami do jego przegamiania.

Społeczność tramwajarska była zwrta, miała swoją solidarność i etos — nie są to bynajmniej wynalazki ostatnich lat. Znany był np. motorowy, który ponoć dzwonił kiedy... wróble siedziały na torach. Albo taki oto obrazek! Surowa, lwowska zima. Koniśko ledwie ciągnie Gródecką pod górę wóz załadowany węglem. Co chwila przystaje — mokra sierść bucha parą. Podjeżdża tramwaj, staje, a motorowy każe furmanowi wejść na szyny (miały ten sam rozstaw). Ruszają — wszyscy zadowoleni, a najbardziej chyba koń, zdziwiony nagłą ulgą.

Tramwajarze mieli też swoją gwarę fachową. Bezpłatny bilet rodzinny to była po prostu „karta”. Tak się też mówiło kondu-

ktorowi, niemalże pozdrowieniem między motorowymi było pytanie: „Masz puwiczszy?”

Bo we Lwowie byli motorowi, nie motorniczy. Kiedy który źle jechał, mówiono o nim ironicznie: „motorowy od krowy...!” Oba wozy były połączone grubym przewodem powietrznym. Ten z kolei miał uszczelki, które czasem przepuszczały piszcząc charkotliwie lub też wydając inne podejrzane dźwięki ku wielkiej ucieście batiami.

We Lwowie także można było obserwować motorowych, opatulonych w zimie w obszerne sukienne „bundy” (tramwaje nie były ogrzewane) często i w słomianych „papuczach” na wysokich butach. Żony i córki przynosiły torby z jedzeniem i termosy z gorącym napojem. Nieodmiennym pytaniem z ich strony było: „Która to partia?” Nie chodziło oczywiście o politykę, ale o brygadę. Motorowi dysponowali składanymi krzesłkami i solidnymi „cybulami” szwajcarskimi, które im firma udostępniała na dogodnych warunkach. Te przyczyniały się do punktualnego kursowania tramwajów. A o to już dbali eleganccy i surowi „kontrolerzy” (wiem — miałem wujka...). Zadbanie o sprawy socjalne datuje się jeszcze od

Leopold Karasiński i Tadeusz Wróbel). Mimo jego konstruktywistycznej, a więc „niebłagonadiożnej” architektury przyhołubiło go sobie później NKWD, a potem — drogą profesyjnej spuścizny — Gestapo i wreszcie, znowu NKWD-KGB. Interes rozwijał się tak dobrze, że trzeba było gmach powiększyć w latach siedemdziesiątych przez dobudowanie nowego skrzydła.

„Przy tramwaju” działał niezły zespół dramatyczny. Pamiętam dwa udane przedstawienia: „Krowoderskie zuchy” w Teatrze Roznaitości i „Pan Jowialski” w remizie Gródeckiej. W tejsze remizie, a i w Domu Związkowym odwiedzał dzieci tramwajarskie św. Mikołaj. Urządzano też wycieczki niedzielne miejskimi autobusami. I znowu przychodzi mi na pamięć taka jedna, w czasie upalnego lata 1939, do zielonej doliny Dobrostanów i nad Staw Janowski. Jazdę umiłał amatorski zespół szarpany: mandoliny, banjo, gitara — mnie zaś pozostał w uszach „Gródek-marsz”.

Do tradycyjnej lwowskiej anegdoty trafił charakterystyczny „wajcharz” — Lojziu „Malentki”, ale z sumiastym wąsem, udawał ponoć (w nocy) chłopczyka, mającego kłopoty z siusianiem. I podobno niejedna paniosia dała się na to nabrać. Tak przynajmniej mówi lwowska legenda. Do typowych lwowskich „świrków” (teraz wprawdzie Lwowa nie mamy, ale lwowskich świrków nadal nie brakuje...) należał niejaki Pawełku, który mianował się dyrektorem „Tramrestu” (jak nazwano instytucję w czasie okupacji sowieckiej) i czynił gorliwie swoje powinności. Nie trzeba dodawać, że nazwa w tej formie nie mogła się we Lwowie utrzymać i pierwsze „T” musiało ulec wymianie na „S”..., a czemu nie...?

Do anegdoty tramwajarskiej przeszedł też tzw. „wykręt Badeniego”, który to hrabia i namiestnik Galicji nie pozwolił puścić linii tramwajowej przed gmachem namiestnictwa i ostatecznie tory wiły się w swoim najbardziej ciasnym zakręcie z Podwała na pl. Cłowy. Skręcające tu tramwaje słychać było z daleka, a tory podlegały częstej wymianie.

Tramwajarze mieli także „swoj” kościół. Był to oczywiście kościół św. Marii Magdaleny, niedaleki od dyrekcji. Do czasu jednak. Nadszedł bowiem rok 1936 — kulminacja wstrząsów społecznych, rozruchów, manifestacji bezrobotnych (i to wbrew piosence lwowskiej, która głosiła, że „... bogacz i dziad są tu za pan brat ...!”). Dramatyczny pogrzeb Kozaka — krew na bruku. Na pochod 1-majowy tramwajarzy posypały się petardy z wieży kościelnej. Wiara tam podskoczyła, wygarnęła ukrywających się „akademusów”, nabękała ich jak się patrzy, ale od tego kościoła już stroniła. Trzeba było tragicznych doświadczeń wojennych dla obu stron, aby dopiero w 1945 r. odprawić tam mszę św. w intencji wyjeżdżającego ze Lwowa i transportu tramwajarskiego.

cd. na str. 29

## TABELA PŁAC

dla pracowników miejskich Zakładów i przedsiębiorstw miejskich i pracowników płatnych z Kasy miejskiej

Kategoria	1 rok	4 rok	7 rok	10. rok	13 rok	16 rok	19 rok	22 rok	25 rok	28 rok	A w a n s a
I.	305.—	320.—	335.—	350.—	365.—	380.—	395.—	410.—	425.—	440.—	15
II.	275.—	290.—	305.—	320.—	335.—	350.—	365.—	380.—	395.—	410.—	15
III.	250.—	262.—	274.—	286.—	298.—	310.—	322.—	334.—	346.—	358.—	12
IV.	230.—	240.—	250.—	260.—	270.—	280.—	290.—	300.—	310.—	320.—	10
V.	210.—	220.—	230.—	240.—	250.—	260.—	270.—	280.—	290.—	300.—	10
VI.	190.—	200.—	210.—	220.—	230.—	240.—	250.—	260.—	270.—	280.—	10
VII.	170.—	180.—	190.—	200.—	210.—	220.—	230.—	240.—	250.—	260.—	10
VIII.	150.—	160.—	170.—	180.—	190.—	200.—	210.—	220.—	230.—	240.—	10



ktorowi, bez okazywania. Ten z kolei wpisywał utargowane bilety „chemicznym” ołówkiem w tzw. „cedułę”. Jazda „na Bazyłka” oznaczała pełne wychylenie korby, na całego.

Hamulce były powietrzne, wspomagane elektrycznymi. Zapas sprężonego powietrza decydował o bezpieczeństwie i komforcie jazdy w pagórkowatym krajobrazie Lwowa. Służył do tego spory „baniak” podwieszony pod wozem motorowym. Przy remizie Gródeckiej, gdzie drużyny przekazywały sobie

czasów dyr. Tomickiego, który założył fundusz emerytalny i ochronkę dla dzieci. W latach 30-tych zbudowano dom związkowy przy ul. Kuszewicza o dość oryginalnej architekturze wg projektu inż. arch. Tadeusza Wróbla, późniejszego profesora Politechniki Wrocławskiej. Czynne tam było kino „Światowid”, a na jego otwarcie dano „Dodka na froncie”.

Wzniesiono też okazały gmach dyrekcji przy ul. Pełczyńskiej (projektanci inż. arch.

cd. ze str. 27

A kiedy nadeszło to, co powyżej, tramwaj podzielił losy tych, których woził. Wagony szły na barykady, inne niszczały od bomb i pocisków. Sieć górna zerwana — nawet szynom nie darowano. Przed remizą Gródecką ich kikuty martwo sterczały w niebo z dużego leja po półtonowej bombie. W tramwajach, dopóki chodziły, granatowe żarówki rzucały niesamowite światło na twarze pa-

rzecz, ale w tym wielkim i bogatym kraju stale czegoś brakowało. A już największe braki były chyba w transporcie, bowiem okazywało się najczęściej że owszem, wszystkiego w bród — tylko nie dowieźli ... Podobnie było np. z papierem, którego oczywiście starczało na wielomilionowe nakłady partyjnych gazet, ale już na bilety — nie bardzo. Stąd nagminne oszczędności i

Bywało też, że wóz motorowy był przedzielony wybrzuszonym łańcuchem. Po jednej stronie napierający tłum po drugiej prawie pusto; tylko rozpierający się niedbale żołnierze, kolejarze niemieccy ćmiący cygara i cywile-volksdeutsche!

Na niektórych wozach linii „10”, która prowadziła przez tereny organizowanego getta pojawiły się z kolei tablice: Für Juden zugelassen”. Były też zestawy, wożące Żydów do pracy na lotnisku. W wozie motorowym jechały kobiety, w 2-ch lorach towarowych mężczyźni, stłamszeni ciasno, na stojąco falujący wraz z ruchami tramwaju.

Gwoli sprawiedliwości trzeba dodać, że były też pulmany, stanowiące zestawy Czerwonego Krzyża. Wyczekiwały na bocznicę przed Dworcem Głównym i przewoziły lżejszych do Politechniki, gdzie był lazaret. W dramatycznych warunkach okupacyjnego życia pewną satysfakcję dawał widok tych wymiętoszonych, wyblakłych „nadludzi” o kulach, w brudnych bandażach, z rękami na szynach.

Wojenne zaciemnienie spowodowało zamalowanie szyb tramwajowych na niebiesko, z pozostawieniem wąskiego pasa u dołu. Dla uzupełnienia braków w taborze zlikwidowano w Tarnowie linię tramwajową i przywieziono do Lwowa kilka wagonów. Chodziły na „3-e”. Pojawiła się też dziwna przyczepka z ławeczkami po rogach i rosyjskimi napisami, którą z miejsca przewano „stodołą”. Tym bardziej, że do trzymania służyły tu drewniane „cepy”, różniące się zdecydowanie od innych uchwytów: rzemiennych z emaliowanymi rękojeściami.

Wrócił do Lwowa kontroler Rauch, który wyjechał za „pierwszych sowietów”, korzystając ze swego niemieckiego pochodzenia. Zostawszy dyrektorem lwowskiego „Strassenbahnu” usunął wszelkie druki zredagowane po ukraińsku, a na ich miejsce wprowadził polskie. Mimo wojny stać ich było na to. I nie tylko na to. W 1944 r. lwowski tramwaj obchodził swoje 50-lecie. Na wiosnę, kiedy już z lwowskiego lotniska odlatywały w kierunku pobliskiego frontu, obciążone bombami „Stukasy”, a samo miasto było z kolei bombardowane przez lotnictwo radzieckie — uroczyście fetowano tę rocznicę. Na remizie wuleckiej pojawiły się wielkie cyfry: „1894-1944”.

I znów bombardowania, znowu front, zniszczenia i wyłączenie ruchu tramwajowego na długi czas. Potem wznowiono komunikację tramwajową, ale tylko na nielicznych liniach. Jeszcze większy tłok i bałagan. W tak okrojonym przedsiębiorstwie zaistniały nadwyżki kadrowe, które w jesieni 1944 uregulował pobór do wojska. Zaczęły się też wyjazdy do Polski; początkowo indywidualne, potem w zorganizowanych transportach. Po Konferencji Jałtańskiej stało się jasne, że już nie ma na co czekać — trzeba

cd. na str. 30

## Przyjmowanie pracowników Miejskiego Zakładu Elektrycznego według kategorii nowego schematu płac.

1. Robotnicy niekwalifikowani: przyjmuje się w kateg. 7. z możliwością awansu do kateg. 5, do tej kategorii zaliczeni są również stróże, woźni, portjerzy, robotnicy podwórzowi i t. p.
2. Robotnicy kwalifikowani: t. j. pomocnicy warsztatów, maszyn rozdzielnic, kottów, remiz i t. p.: przyjmuje się do kateg. 7. z możliwością awansu do kateg. 3.
3. Palacze egzaminowani grupowi: przyjmuje się w kategorii 4 z możliwością awansu do kateg. 2.
4. Motorowi tramwaju: po zdaniu egzaminu, przyjmuje się w kategorii 6. z możliwością awansu do kateg. 3-ciej.
5. Konduktorzy: analogicznie jak motorowi.
6. Kontrolerzy tramwaju: przyjmuje się po zdaniu egzaminu w kateg. 3. z możliwością awansu do kateg. 1.
7. Inkasenci: analogicznie jak kontrolerzy.
8. Rzemieślnicy wyzwoleni: przyjęci w kateg. 3. z możliwością awansu do kateg. 1.

sażerów. Konduktorów i motorowych, wziętych do wojska, zastępowały ich żony. Wreszcie zamarł ruch tramwajowy w obłożonym, sterroryzowanym i niszczonej mieście. Trzeba było czasu, aby znów ruszył w ogólnym bałaganie.

W „Tramtreście” pojawili się nowi ludzie, a wraz z nimi nowe porządki. Z czasem nawet nowe czapki i emblematy: miast komunikacyjnego orzełka ... tramwaj z profilu! Bardziej jednak widoczne ich efekty, to ścisk wewnątrz wozów, a „winogrona” na stopniach i zderzakach. Nie wykluczone, że przyczyniło się do tego relatywne potaniecie biletów. W tych warunkach łatwo dochodziło do spięć, które we Lwowie często przybierały humorystyczny charakter.

Oto rozparł się krasnoarmiejec w przejeździe i ani tudy, ani siudy. Ktoś woła: „Ej ty — z cycką na mózgu — coś tak stał ...!”. Bowiem „ta rzecz” była w lwowskim bałaku rodzaju żeńskiego (no i pochodzenia ...), a subtelna aluzja dotyczyła czapki-budionówki z charakterystycznym dziubkiem na szczycie. Mówiono o nim, że to „Czerwony Kącik”, w którym się wszy zbierają na miłytyng. Ot — złośliwie batiarusy ...!

Brakowało oczywiście nie tylko taboru i miejsc w tym ocalałym mieście. Dziwna

zredukowanie tych ostatnich do wielkości znaczka pocztowego. Ze względów oszczędnościowych wykorzystywano do tego ścinki drukarskie i tzw. szczotki, tj. próbne odbitki.

No i pojawiły się bilety, na których można się było dopatrzyć śladów „Pana Tadeusza”, a z nimi i fama: „oni” niszczą nakłady naszego pomnikowego dzieła literackiego, drukując na nim bilety tramwajowe! Z tej plotki śmiali się tylko fachowcy — drukarze. Ale poważnie potraktowali ją niektórzy „wybitni lwowianie” z Czortkowa.

A tymczasem rzecz miała się w pewnym sensie — na odwrót. 85-tą rocznicę śmierci Mickiewicza obchodzono we Lwowie dosyć uroczyście. Z tej okazji wznowiono jego poemat, a resztki tego nakładu wykorzystano na bilety ...

Potem przyszła „druga wojna”, sprowadzając na tramwaj podobne losy, ale odmienne konsekwencje. W nowym porządku też byli lepsi i gorsi, ale ten nowy Ordnung wymagał wyraźnej segregacji. Napisy: „Nur für Deutsche” pojawiły się i na tramwajach. Niektóre tablice miały jeszcze dodatkowe oznakowania: „Italiani — Slovaki — Magyarak”. To dla sprzymierzeńców, których całe multum przewijało się przez Lwów.

cd. ze str. 29

jechać do swoich, do kręgu kultury i języka polskiego. W przeciwnym wypadku groziło co najmniej obywatelstwo radzieckie. Większość z nas stanęła przed koniecznością podjęcia decyzji co do opuszczenia rodzinnego miasta — ziemi ojczystej. Rok 1945 stanowił kulminację wyjazdów — Lwów opuściło ok. 100 tysięcy Polaków.

Wiele instytucji organizowało transporty dla swoich pracowników i rodzin. Tramwajarze zorganizowali 2 transporty: pierwszy ruszył z końcem listopada 1945 — drugi w maju 1946. Kierowane były do Wrocławia, dla jego odbudowy. Uprzedzono nas o zniszczeniach i pionierskim charakterze tego wyjazdu. Mimo tego i pory, w której przebiegał, chętnych było wielu.

Ludzie chcieli wyjeżdżać do Polski, czym prędzej opuścić ten powojenny ruski bajzel. Ale też nie wszystkich chcieli puścić, zwalniać z pracy, co stanowiło podstawę do wyjazdu. I to oczywiście nie ze względu na ich wyjątkową przydatność, czy też polskie sympatie. Po prostu — jeżeli 1/3 pracowników nagle wyjeżdża, to kto miał ten „kryminał” prowadzić?

Pierwszy transport ruszył z rampy pod Merkurym. Ładowaliśmy się do wagonów w symboliczny, 22 dzień listopada. Jechał 3 tygodnie w warunkach kapryśnej o tej porze aury. Zmarzły nam nawet przewożone kartofle ... Do Wrocławia przybył 5.12.1945, mocno uszczuplony w Krakowie i Katowicach ... Nastąpiły trudne, pionierskie warunki; praca i nauka. A efekty nie dały na siebie długo czekać.

W chwili przyjazdu działały we Wrocławiu dwie okrojone linie — po roku — 10! Wśród nich przebiegające w zupełnie zniszczonych dzielnicach: 3, 4, 7! W maju zasilili kadrę wrocławskich lwowian II transport. W podobnych warunkach przybywały zorganizowane transporty Uniwersytetu, Politechniki, Akademii Medycyny Weterynaryjnej i wielu innych polskich instytucji ze Lwowa. Dołączyły do nich potem zbory Ossolineum, niestety niepełne. Tu znalazła wreszcie swoją przystań Panorama Racławicka i pomnik Aleksandra Fredry na Rynku.

Tego rodzaju zjawiska przemawiają do mnie w aspekcie tradycji historycznej — są jak gdyby kontynuacją tego, co działo się niegdyś na ożywionym szlaku handlowym i kulturowym, łączącym Wrocław ze Lwowem. Czego liczne i ciekawe pamiątki pozostały do dziś. Historia uczy, że średniowieczny Lwów budowali wrocławscy muratorzy: Rabisz, Grom, Gonga i wielu, wielu innych. Lwowiacy przyjechali do Wrocławia, aby go w rewanżu odbudować ...! Przez całe lata jeszcze słyszało się we wrocławskich tramwajach śpiewny lwowski bałak, a lwowsko-wrocławska orkiestra tramwajarska koncertowała pod odbudowanym ratuszem.

## Od Redakcji:

Rozpoczynamy druk wspomnień p. Emila Hliba, autor — Lwówianin był uczniem Szkoły powszechnej im. St. Staszica przy ul. Skarbowskiej 43. W czasie okupacji sowieckiej i niemieckiej Lwowa pracował jako listonosz. Po wojnie osiedlił się z rodziną w Legnicy, gdzie pracował na poczcie do 1989 roku.

# Moje chodzenie po Lwowie

EMIL HLIB

## Na starym mieście, w kręgu żydowskim

Urodziłem się we Lwowie w 1922 roku i mieszkałem przez pierwsze 11 lat mojego życia na ul. Ruskiej 18 naprzeciw cerkwi wołoskiej, na starym mieście. Strona parzysta naszej ulicy należała do parafii O.O. Bernardynów, a strona nieparzysta do O.O. Dominikanów.

W mojej kamienicy od frontu, oprócz mieszkania na II piętrze gospodarza kamienicy Kupferschmidta, wszystkie piętra zajęte były przez redakcje periodyków, kancelarie adwokackie i inne biura. W oficynie od strony podwórza mieszkali lokatorzy, i tak na parterze moja rodzina: ojciec, mama i 4 rodzeństwa, obok nas mieszkał stróż dozorca domu, który oprócz utrzymania czystości w kamienicy wewnątrz i na zewnątrz i zamykania bramy o 22 pilnował, by podczas marszów protestacyjnych bezrobotnych idących spod magistratu do województwa na czas zamknięcia bram na klucz. Pamiętam jak po przejściu takiej demonstracji (ok. 1930r.) kto nie zdążył zasunąć rolety w sklepach miał rozbite szyby wystawowe i szyldy, a towar z wystaw został zrabowany. Dla dzieci była frajda, bowiem kawałki rozbitego i grubego szkła były doskonałe dla nich do gry w klasę. Na piętrach mieszkały kupieckie, żydowskie rodziny. I tak na I p. Bratłowa, która miała sklep cukierniczy na ul. Akademickiej, powyżej sklepu Zalewskiego. Czasem ich mała córeczka Julia dawała nam atrapę czekolady, początkowo myśleliśmy, że prawdziwa. Była to płaska deseczka, zawinięta w cyntyfolię i włożona do opakowania z czekolady, potrzebna do dekoracji wystawy, by nie uległa wykrzywieniu, lub stopieniu.

Brat Julii uczył się grać na skrzypcach, ale nie miał talentu, poza gamami i kilkoma zwykłymi piosenkami niewiele umiał. Dźwięk skrzypiec rozlegał się w całej kamienicy, ale nikt z tego powodu nie robił awantur. Na II p. mieszkała rodzina Lubinów. Ojciec miał duży sklep z gamkami i talerzami na ul. Serbskiej, róg Sobieskiego. Jego żona za-

praszała nas nieraz w szabas z podwórza do swego mieszkania, by zapalić gaz pod kuchenką gazową, bo im nie można było w szabas pracować. Mieli syna w moim wieku Izia, ale chodził on do innej szkoły i dlatego nie kolegowałem się z nim. Za zapalenie gazu ta pani dawała kawałek dobrego ciasta z jagodami.

Na III p. mieszkała rodzina Fuchsów, byli właścicielami restauracji na rogu ul. Ruskiej i Podwała. Chodziliśmy tam czasem kupować kiszone ogórki, ich służąca dała mi w podarunku dosyć ładne, kolorowe korale. Bogatsi Żydzi trzymali służące, przeważnie takie, które chodziły do kościoła lub cerkwi i nie przeszkadzali im w tym chodzeniu. W naszej kamienicy nasz gospodarz miał sklep z materiałami kancelaryjnymi, subiektki byli niesłychanie uprzejmi, do nas mówili przez pan, co nas onieśmiało. Po drugiej stronie bramy był sklep z futrami i ci ze sklepu wieszali te futra na naszym podwórku, kropili wodą i szczotkowali, rozpięte na dużych deskach. Cały czas nie pilnowali, ale jakoś nikt im futra nie ukradł. Do naszego podwórka wychodziły okna z parteru kamienicy z ul. Blacharskiej 19.

Mieszkał tam Żyd Bach z rodziną, w tym 5-ro dzieci. Zajmował się handlem mięsem, starocią i czym się dało. W drugim pokoju mieszkała chyba jego stara matka, o tyle nas interesująca, że nosiła perukę, a po jej zdjęciu głowa była biała i tysa jak kolano. W porze wieczornej w piątek, przez niezastłonięte okno oglądaliśmy wieczór szabaso-wą. Na stole stały dwie zapalone świece w lichtarzach, ryba, mace, Biblia i strucla. Stary ojciec nakładał na siebie tańsze, duży, prostokątny kawał tkaniny, malowany w paski białe czarne, z frędzlami, na głowie miał myckę, nad czoło nakładał niewielkie pudełko w kształcie sześcienu, wewnątrz z fragmentami wersetów z pisma świętego (Tory). Wieczorem rozpoczynał czytaniem Tory, śpiewaniem hymnów i psalmów. Po skończonej wieczery również śpiewano pieśni religijne.

cd. na str. 31



cd. ze str. 30

Żydom nie wolno było spożywać wieprzowiny, a pożywienie musiało być koszerne, tj. bez krwi zwierzęcia lub ptaka. Nieraz chodziliśmy do kamienicy na ul. Za Zbrojownią na II p. i stamtąd oglądaliśmy jak Żydówki, lub służące przynosiły kury do pomieszczenia na parterze i tam jeden rzezak podrzynał tym kurom gardła, wieszając za związane nogi na hakach i te kury i gęsi trzepotały skrzydłami póki się nie wykrwawiły, a potem zabierano zarżnięte ptaki do domów. Gdyby tego nie zrobiono, to takie mięso było trefne, nie nadające się do spożycia.

W święto Purim Hamana przypadające w połowie marca, na pamiątkę ocalenia Żydów przez Esterę i obalenia dostojnika perskiego Hamana, dzieci żydowskie przebiebrały się i nakładały maski na twarze. Biegały z kijami, szablami po ulicach Blacharskiej, Boimów, Krakowskiej i na Krakidałach i straszły. W to święto, jakby karnawałowe, nawet zalecane było picie alkoholu, rozdawanie smakołyków biednym np. makagigi i było świętem radości.

Żona wspomnianego Bacha dała nam przepis jak robić karpia po żydowsku, tanią i smaczną potrawę: otóż po zabiciu ryby i oczyszczeniu soli się dzwonka i pozostawia na noc. Na drugi dzień bieżę się cebulę pokrajaną w talarki w takiej ilości, by stanowiła 50% wagi ryby. Do rondla na spód daje się trochę cebuli, potem kawałki ryb na zmianę z cebulą, plus dwie kostki cukru, wszystko dobrze należy popieprzyć i gotować w rondlu, zalanym wodą po wierzch około 15 min. Po wyjęciu ugotowanej ryby cebulę przeciera się na druzzlaku i przenosi się do zimnego pomieszczenia, by sos zastygł. To wszystko gotuje się bez jarzyn i marchewek.

Z tyłu naszej kamienicy, od południa, był skład opałowy, a blisko niego synagoga Złotej Róży, zbudowana w 1600r. na cześć słynnej z piękności Róży Nachmanowicz.

Zbudował tą świątynię znakomity architekt Paweł Rzymianin. Żeby do tej świątyni dojść (jakieś 20m od naszego domu), trzeba było przechodzić przez bramę kamienicy przy ul. Blacharskiej nr 27, ale dla nas, małych dzieci stanowiło to dużą przeszkodę. Część wnętrza synagogi mogliśmy zobaczyć przez okno z ul. Za Zbrojownią, z IIp. kamienicy, gdzie mieściła się żydowska szkoła dla głuchoniemych.

Obok, po drugiej stronie ul. Boimów pod nr 54 stała wielka miejska bożnica i już od drzwi było widać jej wnętrze. Niestety podczas II wojny światowej Niemcy w 1943 r. prawie wszystkie bożnice wysadzili w powietrze i do dziś pozostały po nich puste place. Z synagogi Złotej Róży pozostała tylko północna ściana. W czasach dzieciństwa utrzymywaliśmy kontakt z dziećmi żydowskimi, wszak w naszej

dzielnicy było usytuowane miejskie ghetto żydowskie, istniejące od średniowiecza, aż do połowy XIX w. które obejmowało ulice: Ruską, Boimów (od ul. Halickiej), Serbską i Blacharską.

Dawniej było jeszcze drugie ghetto za murami miasta, na tzw. Krakidałach, z mnóstwem bazarów, wąskich uliczek, z kilkoma bożnicami, w tym jedną masywną tzw. bożnicą podmiejską. Tu w razie jakichś dramatów lub tumultów chroniła się ludność żydowska, natomiast w wiekach XVII i XVIII podczas wojen i oblężeń ta dzielnica była palona, by nie dać osłony atakującym, a ludność chroniła się do miasta i wzmacniała siły obronne podczas oblężeń.

Do naszych zabaw przyłączył się na jakiś czas uczeń gimnazjalny, Żydek, przezywany przez kolegów „Cudyk”. Dzięki niemu nauczyliśmy się grać w warcaby, w szachy i w ping-ponga na stole rozsuwanym w jego mieszkaniu na IIp. przy ul. Czarnieckiego, róg Łyczakowskiej. Z nim chodziliśmy po różnych magazynach prosić o prospekty reklamowe np. do Galerii Mariackiej na pl. Mariackim, do Orbisu, księgarń, magazynów sportowych itd. Chodziliśmy też z nim do bibliotek, skąd wypożyczał książki, a potrafił przeczytać książkę w trzy dni. W Galerii Mariackiej był duży salon samochodowy, z samochodami widocznymi zza olbrzymiej szyby wystawowej. W tejże Galerii, oprócz innych magazynów był Fotoplastykon. To było coś w rodzaju okrągłego pawilonu, z otworami do patrzenia, a wewnątrz przesuwaly się na taśmie widoki z różnych stron świata.

Do naszej szkoły powszechnej im. Stanisława Staszica przy ul. Skarbowskiej 43 chodzili też Żydzi. W naszej klasie był m.inn. Jerych, syn adwokata, który nigdy nie chciał jeść na drugie śniadanie smacznego bułeczki z borówkami lub ciasta przyniesionego przez jego mamę. Dla polskich dzieciaków, którzy mieli posmarowany chleb ze smalcem, albo i bez, zjedzenie takich smaczkowitych bułeczek nie stanowiłoby problemu. Poza tym chodził z nami Feder, syn producenta znanych wiecznych piór „Federa” z ul. Batorego. Chodził też Ehrlich, Szwarc i inni. W ławce ze mną siedział Zimring, syn urzędnika, zamieszkały na ul. Ruskiej 2. Do niego chodziłem nieraz, mama jego często walała mnie trójkątnym ciastem nadziewanym makiem i miodem lub cymesem, daniem słodkim i tłustym, które było zrobione z marchwi, suszonych śliwek, miodu, cukru i tłustego mięsa. U niego na drzwiach przytwierdzona była mezuza tj. płaskie pudełeczko zawierające mały zwój pergaminu, z fragmentami Pisma Świętego.

Dodam jeszcze, że mój ojciec miał styczność z Żydami, był bowiem listonoszem i ob-

sługiwał przez 16 lat rejon zamieszkały przez nich. Były to ulice: Słoneczna, Kotlarska, Berka Josellowicza i plac z budkami i kramami, gdzie stoi obecnie hotel Lwiv. Naogół wszyscy Żydzi dawali napiwki, a na swoje, lub nasze święta dawali słodycze i prezenty np. w sklepie żelaznym, chyba Weinstocka, można było dostać ruszta, rurę do komina, blat na kuchnię.

Na Nowy Rok był zwyczaj w lwowskich rodzinach dawania drobnych sum pieniężnych kominiarzowi, listonoszowi i stróżowi. Wszyscy obdarowani wręczali życzenia noworoczne na drukowanych kartonikach.

Na spacery chodziliśmy na Wały Gubernatorskie. Popularnymi zabawami były jazdy na hulajnodze, biegi z obręczami, podbijanymi pałeczkami, wypuszczanie drewnianych kótek z kija i ich łapanie na kij, zabawa balonami gumowymi i gra w klasy. Młodzież gimnazjalna obu płci rozmawiała o szkolnych zagadnieniach, a służące randkowały z żołnierzami. Dla nas dobrą zabawą było czepianie się tramwaju, z zakreću przy ul. Wałowej i jazda do przystanku na rogu ul. Ruskiej i Podwała. Widocznie to tramwajarzom się znudziło, bo raz jednego złapał nas policjant i zaprowadził do rodziców. Potem, ale już ostrożnie czepialiśmy się tramwaju z drugiej strony /od jezdni/.

W rynku, na Wałach Gubernatorskich, lub na innym placu, gdzie było dużo ludzi, oszuści rozkładali stolik z trzema nóżkami i zachęcali do gry w trzy karty. Pamiętam taki wiersz:

*Ach, te trzy karty, to nie są żarty,  
zawsze ich amant chodzi ubdarty.*

Ażby interes rozkręcić przychodził wspólnik, stawał na szukanego asa i poważnie wygrywał, wówczas jakiś frajer dołączał się do gry, początkowo wygrywał drobne pieniądze, ale widząc, że mu dobrze idzie stawał grubsze złote, wówczas zaczął przegrywać, a chcąc się odegrać stawał podwójną stawkę i coraz więcej przegrywał. Jak nie było już z czego ciągnąć i groziła awantura, wówczas drugi wspólnik krzyknął: policja!, zabierał stolik, uciekał w prawo, drugi w lewo i tyle ich widziano.

### Szkoła i Kościół

W naszej szkole byli naprawdę wspaniali nauczyciele, np. jak pan Wojakowski wykladał historię to chciało się słuchać.

Mówił o czasach Jagiellonów, zwycięskich wojnach prowadzonych przez hetmanów: Chodkiewicza, Żółkiewskiego, Zamojskiego, wielkich królach: Batorym czy Janie III Sobieskim. Pan Waltoś uczył geografii, śpiewu i prowadził chór szkolny do którego i ja należałem. Pani Rychterówna podczas

cd. na str. 32

ad. ze str. 31

zając czytała nam co ciekawsze fragmenty z Trylogii Sienkiewicza. W okresie szkolnym należałem również do harcerstwa. Urządzaaliśmy podchody, wycieczki, zwłaszcza na Kajzerwaldzie. Ze szkołą szliśmy do Miodowej grotty, do kina na film „Młody las”, do teatru wielkiego i na poranki muzyczne.

Do klasy drugiej i trzeciej przychodziły czasem jakieś panienki, siadały z brzegu ławek i przysłuchiwały się prowadzonym lekcjom, zwłaszcza z języka polskiego. Były ubrane jednakowo: biała bluzeczka z kołnierzem marynarskim i granatowa spódniczka plisowana, włosy zgrabnie uczesane z kokardą albo z warkoczami. Jak się później dowiedziałem, te panienki przychodziły z prywatnego gimnazjum im. Św. Rodziny z Nazaretu mieszczącego się przy ulicy Unii Lubelskiej 9. I te cudne dziewczyny, inteligentne, pochodzące z zamożnych rodzin, zostały wraz z rodzinami w niecałe 10 lat później wywiezione na Sybir.

Jak była niedziela, to cała młodzież zbierała się w szkole i po odczytaniu obecności udawała się na Mszę św. do Dominikanów, a po jej zakończeniu rozchodziła się do domów. Pierwszą spowiedź w życiu odbyliśmy w katedrze, w sobotę, a Komunię św. w Dominikanach, z tym, że po nas do szkoły wyszła procesja i procesjonalnie udaliśmy się do kościoła.

W sprawie nauczania religii w szkole nikt nie przeszkadzał, nikomu nie przyszło do głowy, by tłumaczyć mętnie o wolności wyboru, czy sumienia. Nawet jako dzieci wiedzieliśmy, że my nie możemy wybierać sobie jakichś przedmiotów, bo komuś w imię tolerancji nie odpowiadałaby matematyka, innemu chemia, jeszcze innemu historia i jak by ta szkoła wyglądała gdyby chciała dostosować się do żądań uczniów czy rodziców.

W naszym mieszkaniu, zwłaszcza w zimowe wieczory, jak nie było ojca, który co trzeci dzień przygotowywał materiał listowy do doręczenia na następny dzień, mama po ułożeniu nas w łóżku śpiewała różne ówczesne szlagiery, albo pieśni kościelne, zwłaszcza do Matki Boskiej. Jedną też pamiętam o św. Janie Nepomucenie, pierwszym męczenniku tajemnicy Spowiedzi Świętej.

Oto jej fragment:

*Pyta się król Jana śmieie,  
co mu królowa w kościele,  
Do ucha powiadała,  
z czego się spowiadała?  
Wolę wszystkie męki znosić,  
niż jedno słowo ogłosić,  
Większy rozkaz od Boga,  
niż twa królu powaga...*

Oprócz kościoła Dominikanów chodziliśmy też do naszego kościoła parafialnego oo. Bernardynów. Zakonnicy przed nie- szporami polskimi śpiewali nieszpory po łacinie. Podczas śpiewu obchodzili ołtarz główny wokoło, zasuwali kaptury, lub je odsuwali z głów, stawiali naprzeciw siebie, śpiewając psalmy, raz jedna a raz druga strona. Do Bernardynów chodziliśmy z mamą na Gorzkie Żale. W tym kościele śpiewano wszystkie trzy części, potem było długie kazanie, następnie suplikacja, tak że to wszystko długo trwało i to nas, dzieci, męczyło.

W Wielki Piątek lub w Sobotę chodziliśmy z rodzicami, a później z kolegami na Boże Groby, tak jak cała społeczność chrześcijańska. Jak święta Wielkanocne polskie i ruskie przypadały razem, chodziliśmy również i po cerkwiach, najprzód cerkiew Wołoska na naszej ul. Ruskiej, potem kościół OO. Dominikanów, katedra Ormiańska, cerkiew Preobrażenia, kościół NMP Śnieżnej, św. Jana Chrzciciela na starym rynku, kościół P.P. Benedyktynek, św. Kazimierza na ul. Teatyńskiej, Matki Bożej Gromnicznej i O.O. Karmelitów na ul. Czarnieckiego, O.O. Franciszkanów, S.S. Franciszkanek i Św. Rodziny na ul. Kurkowej, w dół do św. Antoniego, dalej po obejściu szpitala powszechnego do O.O. Zmartwychwstańców na Piekarskiej, następnie do S.S. Sakramentek i ulicą Piekarską na pl. Cłowy do S.S. Klarysnek, w końcu do O.O. Bernardynów na dłuższy postój, bowiem w tym kościele była zawsze najładniejsza dekoracja Bożego Grobu. O ile Bernardyni mieli najładniejszy Boży Grób, to Dominikanie w okresie Bożego Narodzenia mieli najładniejszą szopkę, bo tam figury Bożej Rodziny i pasterzy miały conajmniej 1 m wysokości. Po wyjściu z Bernardynów szliśmy do katedry i na koniec do O.O. Jezuitów.

Jak mieliśmy czas i siły to jeszcze szliśmy do dalszych kościołów: do św. Mikołaja, następnie ulicą Kopernika do cerkwi św. Ducha, i do kościoła św. Łazarza, na ul. Leona Sapiehy do św. Marii Magdaleny, św. Teresy, i św. Elżbiety, a potem na plac św. Jura do Sakrakierek i do katedry grecko-kat. św. Jura. Stamtąd ulicą P. Skargi do ul. Gródeckiej, w dół do kościoła św. Anny. I na tym kończyliśmy nasz obchód, wyłączając kościoły leżące poza centrum.

W Wielką Sobotę szliśmy na rezurekcję do katedry, bo tylko tam odbywała się w sobotę. W procesji rezurekcyjnej uczestniczyła cała władza miasta, często z prezydentem Lwowa, poczty sztandarowe, cechowe kurkowy. Jak arcybiskup przechodził w procesji obok kaplicy Boimów, kompania honorowa Wojska Polskiego oddawała honorowy salut z karabinów. W lany poniedziałek znajomi polewali się wodą z butelki, co

lepsi wodą kolońską, ale oblewanie starszych dziewcząt przez smarkaczy nie miało miejsca.

Do katedry na sumę zawsze chodził nasz ojciec, a mama w tym czasie robiła obiad. Suma trwała bardzo długo. Arcybiskup po zaintonowaniu Kyrie, Gloria i Credo siadał w fotelu, a chór wyśpiewał to wszystko po łacinie. Po sumie ludzie nie spieszyli się do domów, spotykali się ze znajomymi i rozmawiali przez dłuższy czas.

Do katedry chodziła arystokracja w futrach, baniaczkach na głowie i laseczką w rękę, a do cerkwi oprócz porządnie ubranych, wieśniacy w swoich strojach, spodniach wpuszczanych do butów z cholewami, nosili wasy jak Szewczenko, soroczki wyszywane i bojki na głowie (czapki futrzane bez daszków).

Do tradycji na święta Bożego Narodzenia oprócz ustawiania choinki, należało podłożenie siana i ułożenie kilku monet nie-polskich na stole pod obrusem. Na święto Matki Boskiej Gromnicznej święciło się gromnicę, a w domu po jej zapaleniu mama żegnała nią nas, oprowadzała jej płomyk po plecach, krzyżach i pod szyją, /by nie chorować na migdały/, następnie opalała z czterech stron kosmyki włosów na głowie. Ogień gromnicy dawał ciepło i światło, był znakiem domu i jego dobrej atmosfery. Gromnicę podczas burz stawiano w oknie, a gdy człowiek umierał dawano mu ją do ręki jako światło wśród pogan i oczyszczenie z grzechów.

U Rusinów na ich święto Trzech Króli, tzw. Jordan, święciło się wodę przy udziale naszych księży w Ryńku, przy jednej z czterech studni, albo na pl. Mariackim przy studni z Matką Boską. Ta studnia powstała na pl. Ferdynanda z kamienia trembowalskiego w 1861 roku, a pani Badenowa, żona hrabiego Kazimierza Badeniego, namiestnika Galicji, właściciela Gródka Jgiellońskiego, dla ozdoby tej studni statuę NMP ufundowała, którą wykonano w Monachium z białego marmuru.

Na Zielone Święta kupowano gałązki brzozone i wtykano je za obrazy, a szuwały kładziono na podłogę. Nasz stróż zakładał gałązki brzozone za kraty bramy kamienicy i przynajmniej na Starym Mieście wszystkie kamienice były w ten sposób udekorowane.

Na Boże Ciało urządzano z katedry procesje dookoła magistratu w rynku, a pamiętam, iż raz procesja wyszła z kościoła O.O. Dominikanów do O.O. Karmelitów, a stamtąd do katedry przez rynek. Połączone procesje bardzo ładnie się prezentowały.

c.d.n.

Emil Hlib

# Kresy na starej karcie pocztowej (I)

TOMASZ KUBA KOZŁOWSKI

„Słów parę o drobiazgu, który jednak taką powodzią rozlał się po świecie całym, tak przesiąkł we wszystkie warstwy społeczne, tak do najodleglejszych przedostał się zakątków, taką powszechną stał się modą, że z nieustannym — na kształt owej kropli, która wreszcie wyżyłabia kamień — oddziaływaniem jego poniekąd liczyć się trzeba. Mamy na myśli obrazkową kartę pocztową.

Zrodziła się ta odrobinka początkowo z chęci uwidocznienia miejscowości, z której się pisze. Z wolna, do tego, że tak powiem, geograficznego, pamiątkowego czy reklamowego, rodzaju dołączyły się setki innych i dziś nie masz prawie takiej rzeczy, której by na karcie pocztowej znaleźć nie można.”

Tak rozpoczynał swój artykuł, poświęcony ówczesnej nowince — jaką była jeszcze na przełomie XIX i XX wieku — ilustrowana karta pocztowa, Zenon Przesmycki (Miriam). Tekst ten ukazał się w zbiorze jego esejów „Pro arte. Uwagi o sztuce i kulturze” wydanym w 1912 roku. Czas, który upłynął od tamtej chwili dopisał do tej refleksji szczególnie komentarz. Nie spodziewał się chyba Miriam, że pod koniec naszego wieku właśnie na karcie pocztowej znaleźć będzie można to, co odeszło bezpowrotnie do świata wspomnień i poza nim już nie istnieje.

Dziesiątki tysięcy wydawanych od końca XIX wieku ilustrowanych kart pocztowych stanowią dzisiaj bezcenne źródło ikonograficzne, o którego roli i znaczeniu nie trzeba nikogo przekonywać. Ta oczywista prawda, w sposób szczególny odnosi się do kresów wschodnich, terenów Podola, Pokucia, Polesia, Wołynia ... Świata znanego z autopsji coraz mniej licznym ...

Korzystając z gromadzonego od paru lat zbioru chciałbym więc Państwu zaproponować sentymentalną podróż na Kresy — podróż na starej karcie pocztowej!

1. „*Kołomyja — ne pomyja  
Kołomyja — misto !  
w Kołomyji diwczatońka  
jak pszeniczne tisto ...*”

Ta, chyba najpopularniejsza z kołomyjek, towarzyszy nam w domu — za sprawą babki i matki — od dzieciństwa. A i przeglądająca zbiór pani Danuta Nespak tą przyspiewką zareagowała na widok pocztówek z Kołomyji. Może więc dlatego, może ze względu na wyjątkowy urok secesyjnego obramowania, a może dla widoku kołomyjskiego rynku w zimie zaczynamy od tej kartki. Wydana została przez Józefa Accorda (być może ktoś

z Państwa wie coś na temat tego wydawcy) nie później niż 1899 roku, a reprodukowane na niej typy Huculów pojawiać się będą jeszcze wielokrotnie na późniejszych widokówkach.

2. Skoro już podróżujemy po Kresach zimą, to wybierzmy się jeszcze do schroniska Karpackiego Towarzystwa Narciarzy w Sławsku, koło Skolego, w Bieszczadach Wschodnich. Uwieczniło je, na wydanej we Lwowie w 1912 roku pocztówce, wydawnictwo Giewontu. Co zaś do samego Sławska zimą to przypomnijmy fragment książki Stefana Lenkiewicza „Na nartach w Czarnohorze” (wydawnictwo PTTK Kraj, Warszawa — Kraków 1990).

„Hules! — ten okrzyk, to żartobliwe hasło, słyszało się wówczas, w

latach trzydziestych, często na stacjach, przez otwarte okna pociągów jadących ze Lwowa do Worochty i do Sławska. W okresie międzywojennym były to dwie najczęściej najeżdżane przez nas, narciarzy, miejscowości. Oczywiście daleko im było do dzisiejszych ośrodków klimatycznych i stacji narciarskich, chociaż tzw. zapleczem, a więc pensjonatami, hotelikami, schroniskami, restauracjami i wszystkim innym, co rozumiane jest przez to słowo z nowomowy powojennej, były one na głowę nasze dzisiejsze renomowane miejscowości wczasowe i uzdrowiska.”

Do karpackich uzdrowisk w Czarnohorze trafimy pewnie w kolejnych odcinkach cyklu. Być może Państwo zechcą zaproponować, które z kresowych zakątków — uwiecznionych na starej karcie pocztowej — chcieliby zobaczyć, przysyłając swoje propozycje na adres:

Tomasz Kuba Kozłowski,  
02-908 Warszawa, ul. Sobolewska 9.

Warszawa, 13.01.1995 r.

## Lwów — 10 lutego 1940 r.

JADWIGA SIBIGA

Zima. Szybko zapadający zmierzch — ulice opustoszałe, śnieg pada dużymi płatami, białym puchem okrywa wszystko. Wokół przyćmionych lamp ulicznych, płatki śniegu wyglądają jak rój owadów gąsaczących się do światła. Pozornie piękny wieczór zimowy.

Idziemy z siostrą w kierunku ulicy Pełczyńskiej. Kiedyś przed laty było tu lodowisko, rozbrzmiewające gwarem młodych głosów i tanecznymi melodiami. Potem wybudowano w tym miejscu nowoczesny gmach „MZE”, piękny budynek budził podziw i był chlubą naszej dzielnicy. Obecnie budzi strach — tu mieści się siedziba „NKWD”.

Od kiedy zaczęły się aresztowania atmosfera strachu i czujności zapanowała w wielu polskich domach i charakterystyczny odgłos jadących samochodów w nocy wzbudzał trwogę wśród mieszkańców miasta.

Zima zapowiadała się nieubłagana ostra, mroźne dni stawały się coraz bardziej uciążliwe dla ludzi żyjących teraz w nienormalnych warunkach, noce były pełne niepokoju. Którejś nocy, złowieszczy warkot samochodu ucił nagle przed kamienicą w której mieszkałam. Niecierpliwe dobijanie się do bramy było potwierdzeniem najgorszego. W kamienicy zawrzało, trzaskanie

drzwiami, tupot podkutych butów na schodach, wreszcie uderzenie kolbą karabinu o drzwi wyznaczonego mieszkania. W rodzinie państwa Krogulskich tej nocy zachorowało dziecko — zapalenie płuc z wysoką temperaturą. Trwająca od kilku godzin walka o życie dziecka dała pewne rezultaty. Zaledwie przed chwilą wyszedł stamtąd lekarz, przy łóżeczku małego czuwały trzy zatroskane osoby, rodzice i babcia. Ciszę chwilowego wytchnienia przerwało brutalne łomotanie niecierpiące zwłoki i wołanie „otkrywaj”. Czy jest nadzieja, że chore dziecko chociaż pozostawią w spokoju? Przez otwarte drzwi wtargnął chłód mroźnej nocy, gwar wypełnił mieszkanie. Rozbudzone dziecko zapłakało. Białowłosa niewiasta klęcząca przed łóżeczkiem zostaje brutalnie odepchnięta. Ponaglani ludzie pakują parę niezbędnych rzeczy, z roztrzęsionych rąk wszystko wypada. Całą uwagę skupiają na dziecku, jak uchronić je przed

cd. na str. 34

ad. ze str. 33

zamarznięciem, wszystko poza tym staje się nieważne. Pierwszy wychodzi mężczyzna niosąc owinięte w poduszki dziecko — za nim żona i matka. Odgłos zatrzaśniętych drzwi mieszkania, do którego już nie powrócili, długo pozostał mi w pamięci.

Druha grupa żołdaków z NKWD zajęła się rodziną kapitana Smalewskiego, który po kampanii wrześniowej nie powrócił do Lwowa. Danusia, jedyna córka Smalewskich, była studentką medycyny, poza nauką pomagała matce i opiekowała się nią. Tego pamiętnego wieczoru uczyła się do późnych godzin. Dobijanie do bramy nie zwiastowało nic dobrego — podświadomie była przygotowana na najgorsze, pomyślała o matce, jak ona to znieśie, gdyby po nie przyszli. Była nawet opanowana kiedy otwierała drzwi, tylko niezwykle błada. Wpadli do mieszkania, drzwi wejściowe pozostawiając otwarte. Węsząc po wszystkich kątach, zachłannym wzrokiem takując mienie swoich ofiar popędzali je do wyjścia. Ordynarne aluzje w kierunku struchlałej kobiety, która drżąc z zimna i wstyd nie była w stanie ubierać się w obecności tych

ludzi, przerwała córka. Stanowczość i odwaga z jaką dziewczyna wyprosiła ich z pokoju matki, najwidoczniej zaskoczyła tamtych, bo wyszli na moment. Z niewielkim bagażem, wychodząc nie obejrzały się za siebie.

Milknący w dali warkot samochodu nie przyniósł pozostałym mieszkańcom ulgi, pozostał strach z niepewności jutra i serdeczny ogromny żal za uprowadzonymi. Temperatura spadła poniżej 25 stopni, powietrze stężało od mrozu, przez opustoszałe ulice jak złowrogie widma jechały samochody wiozące ludzi na bezkresne obszary nieludzkiej ziemi.

W domu, w którym mieszkałam, przy ulicy Nabelaka 14a, tamta noc pozostawiła pamięć rozpacz i bezsilności. Dozorca domu, nieżyjący już W. Sosnowski, bez swojej woli był naocznym świadkiem podanych faktów. Swoją relację przekazał innym. W te noc zimową 1940 roku, wiele rodzin z ulicy Nabelaka przeżyło podobną tragedię.

Jadwiga Sibiga

## Jan Zakrzewski

### MAREK ZAKRZEWSKI

Wpadł mi w ręce numer Gazety Lwowskiej z dnia 14 lutego 1992 r., a w nim na str. 7 notatka z Tarnopola: „*Cmentarz miejski w Tarnopolu, tuż za bramą wejściową — gotycka kaplica cmentarna, która od 22 grudnia 1991 już służy wiernym jako kościół rzymsko-katolicki w Tarnopolu*”.

Coś wiem więcej o tej kaplicy — w dokumentach po moim pradziadku znajduję między innymi taki dokument: „*Poświadczenie, mocą którego ze strony podpisanego Urzędu Parafialnego się stwierdza, iż W-ny Jan Zakrzewski inżynier cywilny w Tarnopolu osiadł — kaplicę mszalną na tutejszym chrześcijańskim cmentarzu z dobrowolnych składek wybudowaną, murowaną i sklepioną według własnego planu pod swym osobistym zarządkiem w latach od r. 1861 do 1865 bez wynagrodzenia — li na chwałę Bożą swą pracę i trud ofiarowując — wybudował. Tarnopol dnia 2 listopada 1868 roku. Ks. Cyryl Jahner — Proboszcz ob. lat.*”

Pieczęć: Parochia Tarnopoli.

To „poświadczenie” jest dodatkowo potwierdzone przez „Urząd Dziekański ob.łać. Tamopolskiego w Czernelowie” w kwietniu 1869 przez ks. Karola Rynkiewicza i zaopatrzone dodatkowo pieczęcią tego „Urzędu Dziekańskiego”, a to wszystko dodatkowo potwierdzone przez „K.K. Bezirks-hauptmanschaft Tarnopol”.

To nie ta jedna kaplica została zbudowana przez mego pradziadka. Podobne dokumenty

mówią, że „pod swoim zarządkiem, podług swego planu w r. 1858 cerkiew murowaną na 400 dusz” wybudował we wsi Roznoszyńce w Parostwie Zbaraż, zaś kaplicę mszalną „w stylu gotyckim murowaną i sklepioną kosztem W-nej Modesty Czosnowskiej” we wsi Horodyszczce pow. Tarnopolskiego w latach 1862-63. Podobnie w r. 1868: „Wielmożny Jan Zakrzewski inżynier cywilny w Tarnopolu, podług swych własnych planów, pod swym bezpośrednim nadzorem kościół rzymsko-katolicki pod wezwaniem św. Jana Chrzyciela (w Hałuszczycach) murowany, sklepiony — bez wszelkiego wynagrodzenia wybudował — wiedząc o tym, że kościół ten ze samych dobrowolnych składek się buduje, on też jako prawy katolik wszelkie swoje pracy (!) i poświęcenia jako dobrowolny datek na chwałę (!) Bogu ofiarował”.

— Dziwne czasy — jakże różne od obecnych.

Kim był ten Zakrzewski? Urodzony 16.05.1829 r. w Radziechowie koło Złoczowa jako syn Wojciecha i Franciszki z Ropelewskich. Wojciech przechodził różne koleje losu — pozostały po nim banknoty z Insurekcji Kościuszkowskiej, krzyżyk z Olszynki Grochowskiej ofiarowany później przez Jana mojej babce Zofii jeszcze jako narzeczonej syna Józefa z listem zaczynającym się od słów dziś już umarłych „Kochana Doniu”; kubek z dnem zrobio-

nym z dwuzłotówki z r. 1831; wezwanie do odbycia kary w r. 1838 za ukrywanie w latach 1832-34 „den polnischen flüchtig Wladislaus Forsiewicz” — to wszystko dotyczące jeszcze Wojciecha może być ilustracją klimatu domu, w którym Jan wzrastał.

O latach młodości Jana nie wiem nic lub niewiele. Z dokumentów wynika, że w roku 1845 ukończył budownictwo (Landwirtschaftslehre) we Lwowskim Uniwersytecie na Wydziale Filozoficznym. Ten dyplom to niewątpliwie ciekawostka dotycząca historii studiów technicznych we Lwowie. Te studia dały mu uprawnienia do prowadzenia nadzoru budowlanego, a dodatkowy jeszcze egzamin składany we Wiedniu w r. 1857 pełne uprawnienia budowlane. Rozpoczęła działalność, czy jakbyśmy powiedzieli dziś otwiera firmę w Tarnopolu nosząc tytuł: „inżyniera cywilnego i budowniczego”. W roku 1873 zostaje przyjęty na członka Towarzystwa Technicznego we Lwowie, a w roku 1874 zostaje mianowany obywatelem miasta Tarnopola — co zapewne musiało być jakimś wyróżnieniem, w każdym razie z tego tytułu składało się jakąś przysięgę.

Jan ożenił się z Malwiną Linzbauerówną, córką Edwarda i Joanny Żurawskiej, która to Joanna Edwarda określającego się jako „szwab” całkowicie spolonizowała. Jan musiał poznać Malwinę wcześniej, skoro w jej „sztambuchu” w r. 1852 spotykamy jego wielce obiecujący wpis. A miał on wtedy lat 23 — ona 14. Ślub jednak odbył się dopiero 28 kwietnia 1857 w Lwowskiej Katedrze, a termin ten zapewne łączy się z uzyskaniem przez Jana ostatecznych uprawnień budowlanych.

Jan i Malwina mieli pięciu synów i jedną najmłodszą córkę. Cały czas zamieszkiwali w Tarnopolu „na zamku”. Nie należy przesadzać z tym „zamkiem”, musiał to być chyba dom na miejscu nieistniejącego już zamku. Gdzieś w pamięci z czasów dzieciennych majaczy mi przysadzisty parterowy dom z łamanym dachem, przy szerokim, brukowanym kocimi łbami, placu — trochę na wzgórzu nad skarpią, a dalej staw, jakaś woda. Byłem tam przejeżdżając w r. 1930. Z opowiadań ojca wiem, że była tam szeroka sień, gdzie stała beczka z wodą uzupełnianą stale przez wozniwę, a w beczce tej pływał kawałek chrzanu „aby woda była świeża”. Była tam też piwniczka na wino, którą z racji zjazdów rodzinnych na święta zarządzał jeden z wnuków. Co jeszcze? Był tam na pewno filodendron, którego szczepki we Lwowie — i dalej — pielęgnowały następne pokolenia — taki właśnie jaki towarzyszy mnie, moim dzieciom i wnukom.

Jeszcze w roku 1907 obchodził Jan z Malwiną uroczyste złote gody ponownie we Lwowskiej Katedrze, a zmarł w Tarnopolu w 1909 r. i został pochowany obok rodziców Wojciecha i Franciszki na tym cmentarzu, na którym dzisiaj kaplica cmentarna „według jego planu i pod jego zarządkiem zbudowana i ofiarowana na chwałę Bożą” służy jako kościół rzymsko-katolicki.

Wrocław, 6.01.1995

## POLEMIKI \* POLEMIKI \* POLEMIKI \* POLEMIKI

## Z Bronisławem Szeremetą

JERZY WĘGIERSKI

Redakcja „Semper Fidelis”  
we Wrocławiu

Jestem zmuszony już po raz drugi zwracać się do Redakcji „Semper Fidelis” o zamieszczenie sprostowania do wypowiedzi Bronisława Szeremety. Tym razem chodzi o pełen inwektyw „Artykuł dyskusyjny. Spór o ppłk. Macielińskiego”, zamieszczony w nr 4/21/, a dotyczący głównie mojej książki wydanej przez Editions Spotkania w 1991 r. pt. „Lwów pod okupacją sowiecką 1939-1941” (dalej: J.W. Lwów...).

Przede wszystkim, autorzy na których powołuje się B. Szeremeta — Zbigniew S. Siemaszko, Antoni Lenkiewicz i płk. Paweł Lisiewicz — nie mogą być autorytetami w sprawie ppłk. Macielińskiego (dalej będę pisał: ppłk. M.). Z.S. Siemaszko jest tylko publicystą, a pisząc w swojej książce (*W sowieckim osaczeniu*, 1991) o ppłk. M. nie miał dostępu do znajdujących się w Polsce jego akt procesowych, do opracowań z 1941 r. dr. Zycha, do raportów oficerów ze sztabu ppłk. Żebrowskiego, archiwum gen. Sosnowskiego (dalej: AGS), do znajdujących się zresztą w Londynie akt sprawy ppłk. Pstrokońskiego (dalej: ppłk. P.) i obszernej relacji W. Piechowskiej („Więź” 1988, nr 6). Większe niektóre błędy popełniane przez niego wytknąłem mu w paryskich „Zeszytach Historycznych”, zesz. 103.

O pracy A. Lenkiewicza, który zarzucił mi kłamstwa, nie podając, na czym one polegają, pisałem w „Wojskowym Przeglądzie Historycznym” (dalej: WPH) 1993, nr 2.

Jeżeli chodzi o P. Lisiewicza, to jego jednostronicowy artykuł o lwowskiej AK w „Życiu Literackim” 1983, nr 24 zawierał tyle nieścisłości, że aż pięć osób — w tym szef wywiadu Obszaru ppłk. Pohoski i szef wywiadu Okręgu Tarnopol por. dr Woźniak oraz historyk dr G. Mazur — jego rażące błędy prostowali (nr 24, 32, 36). Napewno P. Lisiewicz wiele potem skorzystał z późniejszych publikacji, ale pozostaje tylko publicystą, a o cytacie z jego książki o sądownictwie AK, na który powołuje się B. Szeremeta, napiszę dalej.

Jakoś recenzja z mojej książki napisana przez prawdziwego i kompetentnego historyka, dr Leinwanda (Rocznik lwowski 1992) wyglądała zupełnie inaczej niż „recenzja” B. Szeremety.

B. Szeremeta sugeruje (s.33), że ppłkowi M. do tego, by „znalazł się na tak wysokim szczeblu dowodzenia... pomogło w dużym stopniu NKWD”. Zauważam, że mjra M. jako drugiego swego następcę po ppłk. Kotarskim wyznaczył 9 IV 1940 r. ppłk. Żebrowski, opuszczając Lwów (Arch. WIH: III/21/16 cz.IV, k.71).

Według Z.S. Siemaszki (*W sowieckim...*, s.137), co za nim powtarza B. Szeremeta (s.33), mjr M. pierwszy nawiązał łączność radiową z zagranicą, a radiostację otrzymał od NKWD. Absurd; łączność z bazą „Bolek” w Bukareszcie miał już ppłk. Żebrowski od połowy lutego 1940 r., a z bazą „Romek” w Budapeszcie — początkowo mjr Dobrowolski (AGS: Sprawa Macielińskiego, s.20-21; J. Zamojski Konferencja belgradzka w 1940 r. „Najn. Dzieje Polski” 1966, s.232-233; J.W. Lwów..., s.97-98). We Lwowie w r.1939 było wielu krótkofalowców i ocalały niektóre ich radiostacje, a pewno i wojskowe.

Skąd taka pewność, że mjr M. współpracował z NKWD od stycznia 1940 r.? (s.33). Siemaszko (*W sowieckim...*, s. 137-138) pisze: prawdopodobnie. Tak twierdził jedynie mjr Kloc (Arch. KC PZPR — obecnie Arch. Akt Nowych — dalej: AKC, 203/IX-2 k.8; Armia Krajowa w dokum. — dalej: AKD, t.2, 1973, s.17). Nawet tak nieprzychylni ppłkowi M. ludzie, jak ppor. Telmany (*Uwagi o działalności...*, 1942), por. Klimkowski (AKC: 203/IX-2, k.29) i nawet por. Goła (AKC: AKC: 203/IX-2 k.13) tego nie potwierdzali, pisząc o jego aresztowaniach.

Pierwsze aresztowanie mjra M. miało miejsce w kotle na plebanii u ks. Cieńskiego 17 IV 1940 r. Został zwolniony, ale nie tylko on; zwolniono również tak nieposzlakowane osoby, jak ks. Tadeusza Federowicza, jego brata i siostrę oraz Aleksandrę Domborską (T. Federowicz droga Opatrzności 1991, s.25; rel. Domborskiej-Rudeckiej z 3 VII 1982 r.; J.W. Lwów..., s.79-80, 91). Nikt z nich napewno nie zgodził się na współpracę, tak jak zresztą B. Szeremeta, aresztowany w styczniu 1941 r. (s.33). Aresztowani przez NKWD i zwolnieni byli też: ppłk. Sokołowski (J. Fałęcki Tak było) i mjr Kloc (rel. W. Opolskiego z o V 1992). Jeżeli przytoczyłem w „GW” aresztowanie mjra Kłoca, to nie by go oskarżyć o współpracę, ale by zaznaczyć, że i on był aresztowany i zwolniony (n.b. wiadano kim jest).

Centrala w Paryżu wiedziała o tym pierwszym aresztowaniu; mjr M. czując się zagrożony, chciał iść przez Rumunię na Zachód (AGS: Sprawa..., s.21, 28; Telmany Uwagi...). Tak powinno być według zasad konspiracji. Na konferencji belgradzkiej (przełom V/VI 1940) zdecydował jednak gen. Paszkiewicz „Radwan”: „Kornel musi pozostać” (AWIH: III/21/16 cz.IV k.71; J.W. Lwów..., s. 92-93).

Po ponownym aresztowaniu ppłk.M. wycofał się chwilowo z pracy i próbował znowu iść na Zachód przez Węgry. Tym razem zabronił mu tego kategorycznie gen. Rowecki (AKD t.1, 1970, s.288; Raport dr Zycha; J.W. Lwów..., s.122).

Płk. Pstrokoński (dalej: ppłk. P.), po pierwszym aresztowaniu i zwolnieniu, będąc pod ścisłym nadzorem NKWD, kontaktował się z ppłkiem M. bez konsekwencji dla tego ostatniego. Świadczy to o tym, że o ppłk. M. wiedziało NKWD, co nie może dziwić. Ale sam ppłk. P. przyznał się, że zdradził także ppłk. Sokołowskiego i mjra Kłoca, co było potem jednym z elementów oskarżenia i podstawą wyroku Sądu Kapturowego wydanego na niego (AKC: 203/IX-2 k.3; AKD t.2 s.116; J.W. Lwów..., s.147-148,152). Nic to im jednak nie zaszkodziło, bo i o nich NKWD wiedziało wszystko, tylko także nie chciało ich aresztować (Akta sprawy ppłk.P. z 1958; część Meld. syt. ppłk. Okulickiego pominięta w AKD t.2, s.64, 67; J.W. Lwów..., s.320).

Jest niezmiernie ciekawe, o czym mówili ze sobą w czasie tych spotkań ppłk.P. i ppłk.M.; możnaby znaleźć sprawozdanie ppłk P. z tej rozmowy w archiwach NKWD, bo według niego samego w zeznaniach dla NKWD spisał rzeczywisty przebieg rozmowy z ppłkiem M. „Rejem”: „o Reju pisałem to, co rzeczywiście mówiłem” (Meld. szczegółowy ppłk P. z 13 II 1942; J.W. Lwów..., s.144).

B. Szeremeta zebrał razem wszystkie pogłoski o powtórnym aresztowaniu ppłk P. (s.34), jakoś nie zorientowawszy się, że w takim zestawieniu dopiero bardzo wyraźnie wychodzi na jaw ich wzajemna sprzeczność, a więc i kłamliwość:

- ppłk.P. postanowił zlikwidować ppłka M. (Meld.szczeg. ppłk P.; J.W. Lwów..., s.143-144, 151);
- ppłk.P. odwiedził trzykrotnie ppłka M. (i nie zabił go; tamże);
- spotkali się obaj na stacji kolejowej i ppłk.M. pomógł ppłkowi P. wyjechać — według B.Szeremety — „zamiast do Warszawy, do Moskwy” czyli spowodował jego aresztowanie na stacji Barszczowice (AKD t.2, s.116; J.W. Lwów..., s.153);

cd. na str. 36

cd. ze str. 35

— ppłk. M. kazał w drodze zlikwidować ppłka P., któremu — według P. Lisiewicza — aresztowanie uratowało życie (AKD t.2, s.65; Lisiewicz Z dziejów..., s.222; J.W. Lwów..., s.153).

Sam ppłk. P., oskarżający ppłka M. o zdradę, w swych trzech kolejnych sprawozdaniach nie oskarża go nigdzie o spowodowanie aresztowania, ani nie wspomina, by miał zamiar jechać do Warszawy i by ppłk. M. odprowadzał go do pociągu. Napisał krótko: „zostałem zabrany do samolotu i wywieziony do Moskwy” (AKD t.2, s.80; Meld. szczeg. ppłka P.; J.W. Lwów..., s.153). W swoim pierwszym sprawozdaniu z 14 VIII 1941 r. nic nie pisał o zamiarze zlikwidowania ppłka M.; zamiar taki pojawia się dopiero w sprawozdaniach pisanych po śmierci ppłka M.

Mjr Dobrowolski został aresztowany nie w okresie, gdy powtórnie — 21 VII — aresztowano ppłka P. (s.34) (AKD t.2, s.17; Raport dr. Zycha), lecz w dwa lub trzy miesiące później — 18 IX lub raczej 29 X 1940; wydał go por. Gola (AKC: 203/IX-2 k.133a; W.Zych Oskarżenia; Sprawa ppłka P. z r. 1958; J.W. Lwów... s.178).

W swojej książce (Lwów..., s.185-193, 296) bardzo szczegółowo przedstawiłem sprawę „Marcyniuka” na podstawie ówczesnego opracowania dr. Zycha; była to „wspaniała” inscenizacja zorganizowana przez NKWD, por. Golę i kpt. Metzgera właśnie w celu skierowania podejrzeń na ppłka M. „Marcyniuk” został we Lwowie zatrzymany przez NKWD, zwolniony za wyrażenie zgody na współpracę, gdy zasantażowano go groźbą „wyciągnięcia konsekwencji w stosunku do jego rodziny” przebywającej na terenie ZSRR i Wołynia. Gdy wrócił do Warszawy i wszystko zrelacjonował, został przez Sąd Kapturowy ZWZ skazany na śmierć, bynajmniej nie za zgodzenie się na współpracę z NKWD (do czego nie doszło), lecz za to, że rzekomo zmyślił fakt aresztowania, „aby uchronić się przed ponownym wystąpieniem do Lwowa i aby uzyskać podstawę do żądania zabezpieczenia materialnego”. A. Marcyniuk właśnie chciał wracać, by ratować rodzinę. Niestety i ten zupełnie niesprawiedliwy wyrok śmierci, wkrótce wykonany, zatwierdził gen. Rowecki 10 XII 1940 r. W rok później, w uzasadnieniu wyroku na ppłka M. oskarżono go o spowodowanie aresztowania Marcyniuka, zapominając, że tenże Marcyniuk został skazany za zmyślenie faktu aresztowania.

Wbrew oczywistości, w uzasadnieniu wyroku na ppłka M. podano, że spowodował aresztowanie „Łozińskiego” (ppłk. P.), „Sosny” (kpt. Roman Kędziński) i Marcyniuka. Wydaje mi się, że w książce, a w wielkim skrócie i tutaj, jasno przedstawiłem bezpodstawność zarzutów o wydanie ppłka P. i Marcyniuka. Gdy przygotowywałem książkę, nie miałem przesłanek umożliwiających

ustosunkowanie się do sprawy aresztowania kpt. Kędzińskiego. Potem okazało się, że kpt. Kędziński wrócił do Polski, zmarł tu w 1962 r., a żyją wdowa po nim, siostra i jej córka. Według oświadczenia tych pań, kpt. K. nigdy winą za swoje aresztowanie nie obciążał ppłka M., lecz miał pretensje do emisariusza KGZWZ, Tadeusza Strowskiego, aresztowanego wraz z żoną na przełomie IV/V 1940; oboje w śledztwie załamali się (AKD t.2, s.114; J.W. Lwów..., s. 102-103).

Na tych podstawach stwierdzam, że zarzuty uzasadniające wyrok śmierci na ppłka M. były bezpodstawne. Wyrok wykonano, pomimo, że:

— ręczyli za niego Okręgowy Delegat Rządu, prof. Edmund Bulanda „Kra-kowiak” i osoba tak znana jak ks. Michał Rękas, organizator Apostolstwa Chorych (AKC: 203/IX-2 k.13, 203/XV-3 k.22, 27; J.W. Lwów..., s.308), oraz bronił go dr Zych (Oskarżenia; J.W. Lwów..., s.307-308);

— 19 XI 1941 r., a więc przed wykonaniem wyroku (17 XII) szef Wydziału Bezpieczeństwa i Kontrwywiadu w Oddziale II KG ZWZ, Bernard Zakrzewski „Oskar”, złożył raport — chyba nie doręczony gen. Roweckiemu — wnoszący o wstrzymanie wykonania wyroku do czasu jego rewizji i przesłuchania ppłka M.; „Oskar” wyjaśniał rolę por. Goli i kpt. Metzgera, uważających osobę ppłka M. za niebezpiecznego dla nich (203/IX-2 k.21-22; J.W. Lwów..., s.310-312); to jest ten mój — według B. Szeremety — karkołomny wniosek” (s.35);

— ppłk. M. znając zapadły na niego wyrok, zgłosił się sam w Warszawie i prosił jedynie o wysłuchanie go, oraz zgłosił gotowość „likwidacji własnej”, gdyby wyrok został utrzymany w mocy;

— już był wydany 17 XI wyrok śmierci na por. Golę (nie był on współpracownikiem ppłka M. lecz mjra Dobrowolskiego wbrew B. Szeremecie — s.35), którego sprawozdanie — razem z relacjami mjra Kłoca i ppłka Sokołowskiego — stanowiły podstawę dla opracowanego w sierpniu 1941 r. „Zapisu do Sądu Kapturowego przeciw Komelowi” (ppłk. M.), przygotowanego przez „Zubera” z Oddziału I i mjra Kłoca (AKC: 203/IX-2 k.4a; AKD t.2 s.120; Zapis do Sądu; J.W. Lwów..., s.293-294);

— był jednocześnie wydany wyrok na kpt. Metzgera, którego raport z 4 IX 1941 r. dołączono jako materiał dowodowy do aktu oskarżenia ppłka M. z 11 IX 1941 (AKC: 203/IX-2 k.5; AKD t.2, s.135-137; J.W. Lwów..., s.300-302).

Kwestionowanie wyroku obciąża przede wszystkim Sąd Kapturowy, który wydał niesprawiedliwy wyrok nie tylko na ppłka M., ale jednocześnie na zrehabilitowanego

później ppłka P., oraz na nieszczęsnego „Marcyniuka”. Podsunęto mu do zatwierdzenia wyroku śmierci na ppłka P. gen. Rowecki nie zatwierdził jedynie dzięki temu, że nie czuł się kompetentny w sprawie „emisariusza Centrali”. Na wykonanie wyroku na ppłka M. były naciski z ZSRR od gen. Andersa i gen. Januszajtisa, opierających się na relacjach Klimkowskiego, oficera o fatalnej reputacji, oraz z Londynu (m.in. depesza płk. Smoleńskiego z 21 X; AKC: 203/IX-2 k.3, 29; AKD t.2, s.90; J.W. Lwów..., s.148, 298-299, 304).

Dziś jeszcze żyją najbliżsi współpracownicy ppłka M. — płk. W. Białoszewicz, wówczas komendant Okręgu Lwów-Zachód ZWZ-1; S. Niemczycki, adiutant ppłka M.; jego dwukrotna kurierka do Warszawy, bohaterka z Majdanka, W. Ossowska, która pisze o nim we wspomnieniach pt. „Przeżyłem...”. Świeżo wyszła książka O. Stroszkowa, harcerza z Zaolzia, który stykał się z nim na codzień na Zaolziu i we Lwowie. Wszyscy oni działali następnie w AK. Szególnie oburzające jest stwierdzenie B. Szeremety (s.35), że dzięki wykonanemu wyrokowi na ppłku M. „PRL została pozbawiona jednego z kolaborantów”.

Nie wiem gdzie, w jakich dokumentach mógł B. Szeremeta znaleźć informację, że po aresztowaniu płk. Okulickiego nominację na pułkownika i dowódcę ZWZ na terenie okupacji sowieckiej przywiózł ppłkowi Sokołowskiemu kurier z Warszawy. (s.34). Nie wydaje się to możliwe, ponieważ 10 II 1941 r. gen. Sikorski — nie wiedząc, że płk. Okulicki został 22 I aresztowany — zatwierdził go na stanowisko właśnie komendanta okupacji sowieckiej (AGS: Sprawa M. s.55; J.W. Lwów..., s.235-236). Po aresztowaniu płk. Okulickiego jego funkcję przejął mjr Kłoc i dopiero opuszczając Lwów w przededniu wojny niemiecko-sowieckiej (Falęcki Tak było/ przekazał ją ppłkowi Sokołowskiemu, który zresztą już na przełomie VII/VIII 1941 r. wyjechał do Warszawy (AKD t.2, s.116; J.W. Lwów..., s.262, 284).

B. Szeremeta cytując AKD t.2, s.116, zmienił jedno istotne słowo w Meldunku organizacyjnym nr 79 gen. Roweckiego; było w tym Meldunku: „Grupa Trzaski (ppłk. Sokołowski) zgłosiła pewną współpracę”, a więc ograniczoną. W swoim raporcie płk. Okulicki wyraźnie napisał: „Płk. Sokołowski nie zgodził się na podporządkowanie (się) mnie ... Zaznaczył, że będzie pracować samodzielnie, ale w niczym nie będzie przeszkadzał mej robocie. Mimo tych zapewnień... podsztywał się pod firmę komendanta ZWZ”. Nie ja, lecz płk. Okulicki stwierdził, że ppłk. Sokołowski nie podporządkował mu się z powodu „urazonej ambicji”. (AKD t.2, s.116; J.W. Lwów..., s.262, 284).

Na marginesie trzeba wspomnieć, że Karpackie Oddziały Bojowe ppłk. Sokołowskiego (s.35) istniały tylko w fantazji. Pisał na ten temat dowódca oddziału Kedywu

cd. na str. 37

cd. ze str. 36

działającego w rejonie Nadwórnej, S. Kosiba „Choraży” („Kierunki” 1989, nr 8).

Co do osoby mjr. Kłoca muszę przytoczyć następujące ówczesne opinie o nim:

- Janina Karasiówna „Rybka” z KG ZWZ: „nie był wysłany do Lwowa jako kierownik, ale jako emisariusz” (AWIH: III/21/16 cz.IV, k.39),
- płk. Okulicki „Mrówka”: „Należy wyjaśnić rolę 2 (ppłk. Sokołowski) i 3 (mjr Klotz), o których sowieci wszystko wiedzieli, a nie ruszyli ich” (Dep. płk. Smoleńskiego „Łukasza” z 2/3 X 1941 r.)
- gen. Paszkiewicz „Radwan”: „zastrzeżenia nadchodziły wielokrotnie do Naczelnego Wodza... co do Kłoca” (Zamojski Konferencja..., s.213),
- płk. Pstrokoński „Łoziński”: „Kłoczka wszyscy nie lubili, ale nic nie zarzucali poza wpływem destrukcyjnym i jakimś intrygami”; „Klotz był jeszcze więcej (niż Sokołowski) zagadkowy, przewrotny”; „Klotz mym zdaniem, pod wielkim znakiem zapytania. Za odważny, wszystkich aresztując, a on znany i głośny we Lwowie, chodzi” (Meld. szczeg.); „Klotz chodzi swo-

bodnie po mieście, choć jako były starosta grodzki Lwowa był dość znany” (Meld. z VIII 1941 r.),

- gen. Sosnowski „Godziemba”: „Czy prawdą jest, że na terenie Lwowa działa... były starosta Kloc? Byłyby to duże błędy rzeczowe i psychologiczne” (AKD t.1, s.191),
- por. Roman Tatarski „Luda”: „Złym duchem organizacji Dobrowolskiego był Kloc” (AWIH: III/21/16 cz.IV, k.39); „najistotniejszą przeszkodą do połączenia się jej (ZWZ-2) z sitwą (ZWZ-1) była osoba Klotza” (ACS: Sprawa M. s.59).

Wydaje mi się, że to nie ja, lecz właśnie B. Szeremeta szkaluje lwowskie podziemie i to w czasopiśmie, które jest pismem Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Wschodnich. Wydaje mi się również, że B. Szeremecie nie tyle chodziło o to, by wykazać (?), że ppłk. Macieliński był jednak zdrajcą i by bronić mjra Kłoca, co o to, by mnie dokuczyć i opluć. A jednocześnie to wszystko, co tu napisałem, obalając twierdzenia B. Szeremety, jest w mojej książce (odnośniki do niej w nawiasach) i gdyby B.

Szeremeta rzetelnie i uczciwie do niej podszedł, nie napisałby nic z tego, co zamieścić w swojej „recenzji”.

N.b. J. Kulikowski „Sas” nigdy nie był w moim 2.szwadronie oddziału leśnego, lecz w 1.szwadronie i dlatego figuruje w marszu oddziałów (J.W. W lwowskiej AK 1989, s.118), a nie ma go w wykazie moich żołnierzy. (Tamże, s.269-270). Mam zresztą nieco inny pogląd na historię aresztowania B. Szeremety.

Ponieważ wydałem jeszcze cztery książki i publikuję cykl artykułów w „Zeszytach Historycznych WiNu”, więc oczekuję jeszcze dalszych „recenzji” B. Szeremety, które tak chętnie zamieszcza „S.F.”. Dodam, że szanujące się pisma w przypadkach takich polemicznych artykułów przesyłają je do wypowiedzenia się atakowanym osobom, a ja nawet numeru 4 „S.F.” nie otrzymałem.

Odpowiedź moja jest obszerna, ale mimo to nie wszystko skomentowałem, co wyszło spod pióra B. Szeremety.

Jerzy Węgierski  
ul. Tysiąclecia 41/34  
40-879 Katowice

## Z życia Towarzystwa

### CZTERY LATA DZIAŁALNOŚCI KLUBU STRYJAN W WARSZAWIE

15 października 1994 roku minęły cztery lata, od chwili założenia Klubu Stryjan w Warszawie, który jako pierwszy powstał w Polsce. Dwa miesiące później, tj. w grudniu 1990 roku powstała Strzecha Stryjska we Wrocławiu, a dwa lata potem kluby i koła w Gliwicach, Opolu, Krakowie i Strzelcach Opolskich. Oczywiście prekursorem całego zorganizowanego ruchu stryjskiego było Koło Stryjan w Londynie, które powstało wiele lat wcześniej, bo w okresie świąt Bożego Narodzenia 1970 roku. Koło właśnie, dzięki swym co roku wydawanym biuletynom, zintegrowało całe nasze środowisko.

Do tej pory, niestety, nie mamy własnej siedziby, a w obecnej erze prywatyzacji, nie mamy również nadziei na jej uzyskanie. „Tułamy się” więc po Warszawie, kilkakrotnie zmieniając lokal. Pierwszym miejscem naszych spotkań był Stołeczny Dom Kultury, później przenieśliśmy się do „Wspólnoty

#### ALINA MŁYŃSKA — WÓJCİK

Polskiej”; stamtąd do sali należącej do wojaskowej agencji „Komandos”, następnie korzystaliśmy z lokalu wynajmowanego przez Stołeczny Oddział TML, aż wreszcie dzięki życzliwości dyrekcji Szkoły Zawodowej, tj. Annie Szysznińskiej i Andrzejowi Sokulskiemu oraz „chodom” Czesławy Jurczakowej, znaleźliśmy schronienie przy ul. Długiej

.Od samego początku działalność naszego Klubu jest prowadzona systematycznie dzięki comiesięcznym spotkaniom, na których m.in. mieliśmy ciekawą dyskusję i spotkanie autorskie z Franciszkiem Stemlerem — autorem książki „Ludzie Doliny”. Książka ta w roku 1990 zdobyła pierwszą nagrodę w konkursie literackim ogłoszonym przez Towarzystwo Miłośników Lwowa. Wszystkie otrzymaliśmy ją w darze od autora. Zebrały za nią pieniądze przekazane zostały na odbudowę kościoła w Dolinie, dziś już oddanego do użytku. Od tej pory pan Franciszek „przyłgnął” do nas i mimo swych 89 lat

przyjeżdża na nasze spotkania z dalekiego Świdra, jeżeli tylko na to pozwala mu stan zdrowia.

Również do bardzo ciekawych należało spotkanie autorskie z Leszkiem Szulcem, autorem aforyzmów zawartych w dwóch tomikach: „Rewizja” i „Ładne kwiatki”, a przede wszystkim przygotowanej do publikacji książki o Stryju pt. „Takie małe miasto”. I choć jest to interesująca pozycja, szczególnie dla nas, to z żalem należy stwierdzić, że kilkuletnie starania autora o jej wydanie nie odniosły, jak narazie, pozytywnego skutku. Pozostałe spotkania miały różnorodny charakter. Na niektórych z nich wyświetlamy filmy o Stryju, przede wszystkim autorstwa niezapomnianego Stanisława Auguścika, jak i film nakręcony w czasie jednego z naszych zespołowych wyjazdów do Lwowa i Stryja, a Adam Wartelski wygłosił pogadanki o Stryju i innych naszych miastach na Kresach. Przekazywane są również różne bieżące informacje z działalności innych kół i klubów Stryjan oraz z życia Polaków zamieszkałych obecnie w Stryju. Niestety nie stać nas na organizowanie poważniejszych imprez, ponieważ nie otrzymujemy żadnych dotacji czy pomocy z zewnątrz, a jedynym źródłem finansowania naszych wydatków są dobrowolne drobne składki członków naszego Klubu.

cd. na str. 38

cd. ze str. 37

Uroczystej oprawy spotkaniom nadaje herb Stryja, namalowany i własnoręcznie oprawiony przez Józefa Werstlera, który jest jednocześnie autorem i wykonawcą pięknych dyplomów, wręczanych honorowym członkom Klubu Stryjan w Warszawie. Dotychczas takie dyplomy otrzymali: zmarły w ubiegłym roku red. Stanisław Auguścik — pomysłodawca i realizator cyklu telewizyjnych filmów dokumentalnych „Podróże na Kresy”, były prezes Oddziału Stołecznego TMLiKPW — Janusz Wasylkowski, dyrektor Szkoły Zawodowej — Andrzej Sokulski i wicedyrektor — Anna Szyszniwska oraz dwaj rodowici stanisławowianie: Adam Rubaszewski i Stanisław Kwaśniewski, którzy całym sercem oddani są również i sprawom Stryja.

W ramach tych spotkań organizujemy „opłatki” i „jajeczka” podczas których nie brakuje naszych krasowych stryjskich związków z tymi świętami smakołyków.

Do organizowania tego typu świątecznych imprez włączali się zresztą wszyscy, a wśród nich nasza najmłodsza latorośl Jolanta Zbyszewska.

Utrzymujemy stałe kontakty ze Stryjanami zamieszkałymi w kraju i za granicą, a szczególnie z kołami i klubami Stryjan w Londynie, Wrocławiu, Gliwicach, Opolu i Krakowie oraz z ks. Janem Niklem i Polakami zamieszkałymi w Stryju. Dzięki tym wszystkim kontaktom udało mi się zgromadzić w ciągu tych lat około 1500 adresów Stryjan, rozsiadanych po kraju i świecie. Niestety, wiele z tych osób nie ma już wśród żyjących. Aktualizowane adresy służą głównie do prowadzenia „skrzynki poszukiwań”. Taki zresztą cel przyświecał mi przy ich kompletowaniu.

Dzięki wzajemnym kontaktom możemy brać udział w ogólnopolskich Zjazdach Stryjan w Gliwicach. Prenumerujemy też biuletyny „Strzechy Stryjskiej” we Wrocławiu. Są to dwie nadzycząj cenne inicjatywy nieodżałowanej Krystyny Roszek-Masiak, Prezesa Klubu Wrocławskiego, której śmierć tak głęboko przeżyło całe stryjskie środowisko.

Kilkakrotnie organizowane przez nas zespołowe bądź indywidualne wyjazdy do Stryja, Lwowa, Morszyńca i okolic sprzyjają odświeżaniu wspomnień dotyczących dawnych lat spędzonych w Stryju i nawiązaniu kontaktów z żyjącymi tam Polakami. Część z nich starych, samotnych i chorych ze wzruszeniem wspominająca dawny Stryj, szczególnie zasługuje na naszą pomoc. W miarę możliwości staramy się taką pomoc organizować. Kilkakrotnie z okazji świąt Bożego Narodzenia i Wielkiej Nocy, zostały wysłane do Stryja żywność, odzież i książki, które jednak nie zawsze tam docierały, utykały bowiem po drodze we Lwowie. Tylko raz udało się wyekspediować pokaźny transport około trzech ton żywności. Była to prawie cała ilość żywności zebrana wśród mieszkańców Warszawy dla Polaków zamieszkałych na Ukrainie przez

Oddział Stołeczny TMLiKPW, przy którym dotychczas nasz Klub działa. Z reguły są to jednak nieznaczne ilości paczek, bo obdzielić nimi trzeba również i inne miasta.

Coraz trudniejsza sytuacja ekonomiczna w naszym kraju, szczególnie emerytów, którzy właśnie najczęściej te paczki przynoszą, powoduje, że darów jest coraz mniej, znacznie mniej niż potrzebujących. Również rosnące koszty transportu są dużą przeszkodą w organizowaniu tej formy pomocy.

Przy tak dużych trudnościach w organizowaniu pomocy charytatywnej, udało nam się jednak sporo zdziałać w innych dziedzinach. Pozyskaliśmy sponsora, a właściwie sponsorkę, która choć nie pochodzi ze Stryja, przekazała dotychczas na potrzeby Kościoła w Skolem 25 milionów zł (Kościół ten został już poświęcony 17 września 1994 roku, na całkowite jego wyposażenie potrzeba jeszcze sporo nakładów finansowych). Zorganizowaliśmy również sprzedaż cegiełek, na cel ten zebraliśmy 5 milionów złotych, a sporo również Jadwiga Juras-Smith — członek naszego Klubu w USA.

Nasze starania zaowocowały też przekazaniem do Stryja magnetowidu firmy „Panasonic”, dziewięczonego stroju krakowskiego, kserokopiarki oraz policyjnego „fazika” (te dwie cenne pozycje to zasługa Zdzisława Dmytruca) oraz trochę leków.

Staraniem naszego Klubu przebywała w lecie ubiegłego roku 30 osobowa grupa polskich dzieci ze Stryja. Zwiedziły Warszawę, były na Mazurach i w Beskidzie Żywieckim. Wzięły udział w VI Parafiadzie i zdobyły II nagrodę za program kulturalny. Sponsorami ich wakacji w Polsce byli: organizatorzy Parafiady, Ministerstwo Edukacji Narodowej, parafia Najśw. Zbawiciela, parafia M.B. Królowej Meksyku w Laskach Warszawskich oraz Towarzystwo Więzi i Pomocy Polakom na Wschodzie. Koszty pobytu wyniosły ponad 150 milionów zł.

Warunki naszego działania są trudniejsze niż innych klubów. Ewakuacja Stryjan kierowana była na Śląsk, skupiając się w okolicach Gliwic, Opola i Wrocławia, tylko niewielu zatrzymało się po drodze w Krakowie. W Warszawie Stryjanie znaleźli 2 okazje studiów, małżeństw czy przeniesień służbowych. Żyjemy w obcym nam środowisku, któremu sprawy Kresów i kresowianków są zupełnie obojętne. Członkowie naszego Klubu to ludzie starzy i bardzo starzy. W ciągu tych czterech lat z naszego i tak szczupłego grona zmarło siedem osób. Są to: Stanisław Klocek, Michał Maruszyński, Mieczysław Barański, Zbigniew Szulc, Helena Młyńska, Janina Markocka i prof. dr Lidia Winniczuk. Sporo też Stryjan nie ma nawet już siły przychodzić na nasze spotkania, a cóż dopiero brać aktywny udział w działalności Klubu.

Jest nas z każdym rokiem mniej, a następców niestety nie widać i niewiele pozostało nam już lat na aktywną działalność. Dlatego uważam, że powinniśmy więcej starać włożyć w kierunku utworzenia w Muzeum Historycznym, Oddział Arsenal we Wrocławiu całego działu dotyczącego dawnego Stryja oraz w utrwalanie historii naszego miasta, przez popieranie tego typu wydawnictw, a zwłaszcza Strzechy Stryjskiej, redagowanej obecnie przez Annę Wojciechowską we Wrocławiu.

Wszystkie inne, nawet bardzo potrzebne inicjatywy, takie jak pomoc Kościołowi i Polakom w Stryju, z czasem, gdy nas zabraknie, mogą być przejmowane przez inne nie związane uczuciowo z Kresami towarzystwa i fundacje. Wszak już i teraz ma to miejsce. Natomiast uratować od zapomnienia dawny Stryj i ludzi w nim żyjących możemy tylko my sami. Nikt, kto nie jest sercem z tym miastem związany, nie może nas w tym wyręczyć.

Alina Młyńska-Wójcik

## Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich Oddział w Gnieźnie

ZOFIA BAR

Dzięki zapałowi i staraniom dr. Józefa Czecha w dniu 3 maja 1994 r. powstał w Gnieźnie Klub TMLiKPW, podległy Oddziałowi w Poznaniu.

Deklaracje złożyły 32 osoby. Wybrano Zarząd. Wkrótce zaczęli się zgłaszać następnicy chętni. W efekcie już 14 czerwca mieliśmy 55 członków Klubu, w tym wielu rdzennych gnieźnian. Na walnym zebraniu

przegłosowano wniosek o utworzenie samodzielnego Oddziału.

Zarząd Główny TMLiKPW na zjeździe Delegatów w Bydgoszczy w dniu 26 czerwca 1994 r. wniosek nasz zatwierdził.

We wrześniu zaproponowano nam opiekę nad Polakami z trzech wiosek w powiecie Mościska, którym przewodzi nie tylko

cd. na str. 39



ad. ze str. 38

duchowo proboszcz Parafii p.w. Najświętszego Serca Pana Jezusa Ks. Andrzej Rams.

(Wieś Strzelczyńska, gdzie znajduje się parafia to unikalna na tamtych terenach 100% wieś polska — 103 rodziny, w tym 37 dzieci z I, II i III klasy szkoły podstawowej. Od dwóch lat pomimo wrogości i regresów ze strony władz jest tam w zrujnowanym domu polska szkoła. I działa!)

Z notatki przesłanej przez konsula polskiego we Lwowie, który był w Strzelczyńskich na zaproszenie mieszkańców, dowiedzieliśmy się, że nauczyciele i uczniowie w tej szkole mają do dyspozycji tablicę i kredę. Żadnych podręczników, żadnych pomocy naukowych.

To poderwało nas do działania. Od połowy października rozpoczęliśmy akcję „Pomóż Rodakom”.

Nie mieliśmy nic, ani konta, ani pieniędzy, ani pomieszczenia na dary. Row nolegle załatwialiśmy wszystko.

W dniu 5 grudnia stało gotowych do załadunku obanderolowanych, opisanych, ponumerowanych: 45 worków (50 kg) i 33 kartony odzieży, 100 par kozaczków dziecięcych i młodzieżowych podarowanych przez Fabrykę Obuwia „Polonia” o wartości 39 milionów, 30 par butów skóro-filcowych od Miejskich Wodociągów, 72 sztuk mydła, 20 paczek proszku do prania.

**Dla szkoły:** 1 telewizor kolorowy, 1 radioadapter, 300 zeszytów różnych, ołówki, kredki, gumki, długopisy i trochę podręczników szkolnych. Około 250 książek i bajek dla młodzieży i dzieci.

**Żywność:** 220 kg cukru, 100 kg kaszy, 2 skrzynki mandarynek i 4 paczki słodczy.

Znaleźli się sponsorzy. Firma „System” sfinansowała całe koszty transportu. Trzej anonimowi ofiarodawcy wpłacili 2 000 000 zł. Dary przynosili starsi i młodszy. Były wzruszające momenty. Starsza siwa Pani przyniosła 50 000 zł, ażeby kupić coś co trzeba. Najmłodszym ofiarodawcą był 9-cioletni Marcin Czajka. Przyniósł paczkę kolorowych książek, bajek i swoją ulubioną zabawkę-samolot, ażeby jak powiedział „sprawić radość innemu dziecku”.

Duszą i sercem całego przedsięwzięcia byli: Michał Koziarski, Józef Czech, Zofia Bar oraz: Janusz Sekulski, Zygmunt Kowalski, Elżbieta Hoppe.

Transport darów wyjechał z Gniezna 6 grudnia pilotowany przez prezesa Michała Koziarskiego i Janusza Sekulskiego. Dotarł szczęśliwie na miejsce przeznaczenia w dniu 7 grudnia 1994 r. Brak słów na oddanie uczuć i powitania Polaków zebranych w kościele w Strzelczyńskich. Po 50-ciu latach ciężkiej niewoli ktoś o nich pamięta. Po raz pierwszy ktoś wyciągnął do nich pomocną dłoń.

Przed nami następane zadanie. Już myślimy o zorganizowaniu wakacji dla dzieci stamtąd, tutaj u nas.

Zofia Bar

## We „Lwowie” na lwowską nutę

ZBIGNIEW UMAŃSKI

Pięć lat temu we Wrocławiu — który był i jest największym w kraju skupiskiem lwowiaków i mieszkańców b. Kresów — przemianowano jedno z kin o ówczesnej nazwie „Przodownik” — na „Lwów”. Po prostu chcieli oni mieć w swoim mieście „swoje” kino — miejsce spotkań, imprez. Niestety, w ciągu tych minionych lat nie udało się zrealizować tych planów, bo organizacje kresowe są ubogie i zebrane złotówki raczej przeznaczają na pomoc rodakom na Wschodzie, niż na rozrywkę. Lecz jubileusz „swojego” kina postanowili obchodzić z lwowskim fasonem, tym bardziej, że znalazł się sponsor. Organizacji jubileuszowej imprezy podjął się największy Wrocławski Klub „Leopolis” Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich oraz Państwowa Instytucja Filmowa „Odra-Film” Wrocław.

W czasie jubileuszu (18.12.94) hol kina „Lwów” wypełnił się stoiskami z książkami o tematyce kresowej, można tu było kupić „Gazetę Lwowską” i czasopismo „Semper Fidelis” redagowane nad Odrą, kasety z nagraniami lwowskich piosenek i „bałaków”, obejrzeć ekspozycję zdjęć Lwowa i nabyć któreś z nich na pamiątkę... Kino „Lwów” zapewniło się tego dnia po brzegi wrocławskimi lwowiakami i kresowiakami oraz przedstawicielami klubów kresowych i kombatanckich z innych miast, nawet i z podwawelskiego grodu królewskiego. Wśród przybyłych spotkaliśmy założycieli wrocławskiego Towarzystwa Miłośników Lwowa — Stanisława Krzaklewskiego, Emila Teśluka i Zdzisława Zielińskiego oraz inicjatorów nadania kinu nazwy „Lwów” — Janinę Sikorowską i Zbigniewa Urycza. Oczywiście nie zabrakło państwa Haliny i Wojciecha Dzieduszyckich — także kresowiaków, którzy pięć lat temu byli na „chrzcie” kina „Lwów”. Przyszli też nie-lwowiaczy, wrocławianie, bo na tę lwowską imprezę mógł wejść każdy — biletem wstępu był datek na pomoc rodakom na Kresach.

Szczególnym gościem był wrocławianin inż. arch. Mariusz Turkowski, syn lwowianina Jana Turkowskiego, twórcy przedwojennego pomnika Orłat Przemysłowych w tym mieście, który zniszczy-

li podczas okupacji niemieckiej nacjonalisci ukraińscy. Turkowski-junior marzył o odtworzeniu dzieła swojego ojca, ale nie wierzył, że to będzie kiedyś możliwe. A jednak... W tym roku, podczas obchodów rocznicy 11 Listopada w Przemyślu, odsłonięto ponownie pomnik Orłat Przemysłowych, dzieło syna J. Turkowskiego — Mariusza. Wojewoda przemyski p. Zygmunt Ciupiński uhonorował wrocławskiego architekta dyplomem z wyrazami wdzięczności i uznania od społeczeństwa ziemi przemyskiej i przesłał go do Wrocławia — miejsca zamieszkania rodziny państwa Turkowskich po wojnie. Wręczyła dyplom panu Mariuszowi prezes Klubu „Leopolis” inż. J. Węglińska-Flis, inaugurując tym uroczystym akcentem obchody jubileuszu kina „Lwów”. Chór „Harfa”, którym od sześciu lat kieruje jego założyciel Mieczysław Dziunka wykonał pieśni patriotyczne i kresowe.

Jeszcze nie przebrzmiały legionowe melodie, a na salę wkroczył — z muzyką i ze śpiewem — kabaret „Pacalycha” utworzony przy bytomskim Oddziale TML i KPW, lwowskie batiary z Łyczakowa, Zamarstynowa, Pohulanki z ciotką Mińcią oraz Szczepciem i Tońkiem na czele. Ich autentyczny lwowski bałak, szlagiery, kuplety, powiedzonka, folklor z przedmieść Lwowa podbił lwowsko-wrocławską publikę. Nagradzała je gorącymi brawami i... niejedną łzą wycieraną dyskretnie chusteczką przed wnukiem... „Pacalycha” zaśpiewała też piosenkę napisaną dla wrocławian w drodze do Wrocławia, pt. „Sensacja, bo kino gra...”, do której słowa ułożył Ryszard Mosingiewicz, współzałożyciel śląskiego kabaretu. I nie wytrzymali już dłużej siedzenia na sali państwo Dzieduszyccy — pani Halina i pan Wojciech weszli na estradę i wspólnie z „Pacalychą” śpiewali znane, lubiane lwowskie piosenki. A wraz z nimi cała sala...

Skoczne melodie i lwowskie szlagiery jeszcze długo rozbrzmiewały później w holu kina „Lwów”, śpiewane razem, a co odważniejsze wrocławskie kobitki porwały do tańca bytomskich batiarów, a oni — wrocławskie Dziunie.



Jubileusz kina „Lwów”. W środku klęczy Prezes Klubu „Leopoli” mgr Węglińska-Flis. Nad nią p.p. Halina i Wojciech Dzieduszyccy oraz zespół kabaretu „Pacalycha”. Od strony prawej stoi p. A. Żurowski, zastępujący przebywającą w USA p. D. Skalską, kierownika artystycznego kabaretu, obok niego Sekretarz klubu inż. L. Flis

# Dzieci polskie ze Wschodu na wakacjach w Polsce w 1994 roku

DANUTA ŚLIWIŃSKA

Jak każdego roku, tak i w 1994 r. dzieci polskie mieszkające za Wschodnią

Granicą przebywały na wypoczynku w Polsce. W sumie na wakacje przyjechało 578 dzieci i ponad 30 wychowawców, zgodnie z informacjami, jakie Komisja ds. Współpracy z Polakami na Wschodzie przy Zarządzie Głównym TML i KPW otrzymała z Oddziałów i Klubów. Na pewno nie jest duża ilość dzieci, ale niestety zaproszenia na wypoczynek uwarunkowane są możliwościami poszczególnych naszych Oddziałów i Klubów, wysokościami dotacji na ten cel, hojnością sponsorów.

Najwięcej dzieci wypoczywało ze Lwowa — 122, byli to przede wszystkim uczniowie polskich szkół nr 10 i 24. Pozostałe pochodzili: 55 z Mościsk i rejonu, 54 z Sambora, 50 z Gródka Podolskiego, 37 z Tarnopola i okolic, 36 z Olyki i Cumania na Wołyniu, 29 z Borysławia, 25 ze Stanisławowa, 59 z Kamieńca Podolskiego, Sławuty, Drohobycza i Sądziadowic, 11 z Bóbrki, 30 z Baru, Brołowa i Szorgorodu, 16 z Dunajowa i Przemyśla, 6 z Doliny, 48 z Białorusi.

Dzieci przebywały:

a) na koloniach wypoczynkowych — 225, w tym:

- 24 w Gdańsku-Wrzeszczu, trzy tygodnie,
- 31 w Gorzowie Wielkopolskim, dwa tygodnie,
- 20 w Kamieniu k. Rybnika-12 dni i w Janowicach Wielkich k. Jeleniej Góry — 6 dni,
- 30 w Strzyżowie, woj. rzeszowskie, 26 dni,
- 59 w Rupczycach, woj. rzeszowskie, 26 dni,
- 48 w Lubaczowie, woj. przemyskie, 25 dni,
- 13 w Kudowie Zdroju, trzy tygodnie,

b) na koloniach szkoleniowych — 121, w tym:

- 34 chłopców w Sulistrowicach k. Sobótki, woj. wrocławskie, dla ministrantów, 16 dni,
- 37 w Starym Sączu z językiem polskim, 19 dni,
- 50 w Gorlicach z zajęciami muzycznymi i plastycznymi, 23 dni,

c) na obozach harcerskich — 118, w tym:

- 16 w Pólku, Bory Tucholskie, woj. bydgoskie, 23 dni,

- 10 w Rytrze, woj. nowosądeckie, 15 dni,
- 62 w Babicach k. Przemyśla, dwa tygodnie,

- 10 w Miroszowie nad Zalewem Szczecińskim, dwa tygodnie,

- 20 w Piaskach-Drużków, woj. tarnowskie,

- d) 20 na warsztatach artystycznych we Wrocławiu, dwa tygodnie,

- e) na OAZIE w Odporyszowie, woj. tarnowskie, 15 dzieci,

- f) na wczasach dziecięcych 10, w Jodłowie Tucholskiej, woj. tarnowskie,

- g) u rodzin 69, w tym:

- 36 w Brzegu i okolicznych wsiach — Lupszy, Michałowicach i Lipkach,

- 33 w Nowym Sączu.

Dodatkowe atrakcje i ciekawe zajęcia dla dzieci zorganizowano m.in.:

- w Brzegu — I-ą Komunię św. dla dzieci przebywających u rodzin oraz wycieczkę do Wrocławia i Kotliny Kłodzkiej,

- w Katowicach — dla dzieci wypoczywających w Kamieniu i Janowicach Wielkich wycieczki do Częstochowy, Krakowa, Karpacza, Jeleniej Góry, Szklarskiej Poręby, Wrocławia,

- w Krakowie:

- a) dla dzieci przebywających na koloniach w Nowym Sączu zwiedzanie Krakowa oraz spotkanie z Kołem Stryjan,

- b) dla zespołu tanecznego „Tęcza”, ze szkoły polskiej nr 24 we Lwowie, zwiedzanie Kopalni Soli w Wieliczce. Zespół taneczny przebywał w Krakowie na Festiwalu Tanecznym KRAKOWIAK,

- w Nowym Sączu — dla dzieci spędzających wakacje u rodzin, wycieczki do Zakopanego, w Pieniny i sływ Dunajcem,

- w Przemyślu — dla dzieci na obozie harcerskim, wycieczki do Łańcuta, Leżajska, Jarosławia i Krasiczyna,

- w Gdańsku — dla dzieci przebywających na kolonii, zwiedzanie Trójmiasta, koncert organowy w Katedrze Oliwskiej, przejażdżki po morzu i zwiedzanie Westerplatte oraz zamku w Malborku.

Niektóre Oddziały i Kluby TML i KPW nie organizowały w ubiegłym roku wypoczynku dla dzieci polskich ze Wschodu, ale włączyły się w powyższą akcję, np.:

- a) Oddział w Bytomiu przekazał 600 do-

larów na sfinansowanie 6-tych dzieci na koloniach w Gorzowie Wielkopolskim,

b) Klub LEOPOLIS z Wrocławia pokrył częściowo pobyt dzieci z Sambora na warsztatach artystycznych we Wrocławiu,

c) Oddział w Zakopanem zorganizował wycieczkę kolejką liniową na Gubałówkę i pokrył koszty jednodniowego pobytu dzieci lwowskich, wypoczywających w Nowym Sączu.

Formy finansowania wakacji dla dzieci Rodaków ze Wschodu były różnorodne, uzależnione od możliwości Oddziałów, Klubów TML i KPW, uzyskanych dotacji od władz lokalnych, Wspólnoty Polskiej, sponsorów itd.

Dla zobrazowania w tym zakresie sytuacji w 1994 r. przedstawiam poniżej sposoby finansowania wypoczynku w ubiegłym roku:

## 1. Brzeg:

Rodziny, u których przebywały dzieci polskie ze Wschodu pokrywały ich dwutygodniowy pobyt. Oddział TML i KPW z pieniędzy zebranych na kwestach pod kościołami — sfinansował wycieczki oraz przejazd autobusem z Chełma Lubelskiego do Brzegu i z powrotem. Natomiast do Chełma dzieci dojechały pociągiem na koszt Stowarzyszenia Kultury Polskiej na Wołyniu i środków własnych.

## 2. Bydgoszcz:

3-tygodniowy obóz harcerski w Borach Tucholskich sfinansowany został przez Komendę Chorągwi ZHP oraz Kuratorium Oświaty w Bydgoszczy, natomiast przejazd dzieci ze Lwowa do Bydgoszczy i z powrotem /autobusem i koleją/ pokryty był przez Bydgoskie Fabryki Mebli, Oddział TML i KPW oraz Kuratorium.

## 3. Gdańsk:

Koszt całej kolonii 3-tygodniowej w Gdańsku-Wrzeszczu wraz z przejazdem z i do Przemyśla został pokryty przez członków Oddziału TML i KPW w Gdańsku, przy niewielkiej pomocy z zewnątrz. Było to 20.0 mln. zł. przekazanych przez Kancelarię Prezydenta R.P. Natomiast do i z Przemyśla uczestnicy kolonii zostali przewiezieni autokarem opłaconym i zorganizowanym przez ks. Andrzeja Baczyńskiego, proboszcza trzech parafii: Bóbrki, Dunajowa i Przemyśla, z których pochodzili dzieci.

## 4. Gorzów Wielkopolski:

Kolonie w Gorzowie oraz transport dzieci w obie strony został pokryty z funduszy zgromadzonych przez Oddział na potrzeby kolonii. M.in. Oddział każdego roku organizuje w karnawale BAL MYŚLIWSKI, z którego całkowity dochód przeznaczony jest na wypoczynek letni dla dzieci polskich ze Wschodu.

## 5. Katowice:

Kolonie w Kamieniu k. Rybnika i w Janowicach Wielkich k. Jeleniej Góry sfinansowane zostały przez Zarząd Miasta

Katowice, Oddział Wspólnoty Polskiej w Katowicach, spółki i osoby fizyczne. Dzieci przyjechały do Przemyśla na własny koszt, natomiast z Przemyśla do miejsc wypoczynku, wszystkie przejazdy w czasie kolonii i powróci do Lwowa pokryty został przez katowicki Oddział TML i KPW.

#### 6. Nowy Sącz:

Pobyt dzieci u rodzin w Nowym Sączu sfinansowali rodzice uczniów ze szkoły im. Orłąt Lwowskich, natomiast przejazdy od granicy i z powrotem oraz wycieczki pokryli Prezydent Nowego Sącza, Wspólnota Polska w Nowym Sączu i Klub TML i KPW.

- Kolonie wypoczynkowo-szkoleniowe z językiem polskim w Starym Sączu sfinansował kościół i władze oświatowe w Starym Sączu, natomiast transport dzieci od i do granicy Klub TML i KPW,
- Kolonie wypoczynkowo-szkoleniowe z zajęciami muzycznymi i plastycznymi w Gorlicach oraz transport dzieci sfinansowane zostały przez Oddział Wspólnoty Polskiej w Nowym Sączu,
- Obóz harcerski w Rytrze sfinansował Hufiec ZHP z Nowego Sącza. Klub TML i KPW udzielił pomocy organizacyjnej.

#### 7. Przemyśl:

Obozy harcerskie organizowane w Babicach w lipcu i w sierpniu 1994 roku sfinansowane zostały przez Kuratorium Oświaty w Przemyślu oraz przez Oddział TML i KPW w Przemyślu, który również pokrył koszty transportu dzieci ze Lwowa i do Lwowa,

#### 8. Rzeszów:

Kolonie w Strzyżowie, Rupczycach i Lubaczowie oraz koszty transportu pokryte zostały przez rzeszowski Oddział Wspólnoty Polskiej.

#### 9. Szczecin:

Pobyt dzieci z Mościsk na obozie harcerskim w Miroszowie sfinansowany został przez Oddział Zach-Pomorski Wspólnoty Polskiej przy pomocy środków Oddziału TML i KPW w Szczecinie.

#### 10. Tarnów:

Pobyty dzieci na obozie harcerskim w Piaskach Drużków, na wczasach dziecięcych w Jodłówce Tuchowskiej, w OAZIE przy parafii w Odporyszowie sfinansowane zostały w 70% przez Kuratorium Oświaty w Tarnowie, a w pozostałych 30% i transport z funduszy Oddziału TML i KPW w Tarnowie.

#### 11. Wrocław:

- Pobyt dzieci na warsztatach artystycznych we Wrocławiu pokryły Kuratorium Oświaty, Oddział Wrocławski TML i KPW, Klub LEOPOLIS oraz inni sponsorzy,
- Kolonię wypoczynkowo-szkoleniową dla ministrantów w Sulistrowicach k. Sobótki sfinansowali Wrocławski Caritas oraz Kuratorium Oświaty we Wrocławiu, natomiast koszty transportu pokrył ks. proboszcz Kazimierz Kurek z Sambora,

#### 12. Zabrze:

Kolonie letnie w Kudowie Zdroju oraz przejazd dzieci z Katowic do Kudowy i z powrotem sfinansowała Zabrzeńska Fabryka Maszyn Górniczych w Zabrzu, natomiast przejazd dzieci z Borysławia do Katowic i z powrotem pokryli inni sponsorzy.

#### U W A G I:

1. Oddziały i Kluby TML i KPW, na których terenie wypoczywały dzieci polskie z terenów wschodnich, obdarowały te dzieci upominkami, odzieżą, owocami, słodyczkami, organizowały spotkania wspólnie z członkami Towarzystwa, którzy również byli przewodnikami na wycieczkach.

2. Na koloniach i obozach harcerskich dzieci polskie ze Wschodu wypoczywały wspólnie z dziećmi z kraju. Umożliwiło to doskonalenie posługiwania się językiem polskim, nawiązywania nowych przyjaźni.

3. W czasie kolonii zorganizowanych przez Oddział TML i KPW w Katowicach, p. mgr Małgorzata Balukiewicz z Wydziału Pedagogiki i Psychologii Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach przeprowadziła wśród wypoczywających dzieci (17 ze Lwowa i 3 z Bóbrki) ciekawą ankietę, mającą na celu przybliżenie sylwetek dzieci, ich środowiska rodzinnego, rówieśniczego, zainteresowanie polską kulturą. Pod koniec pobytu dzieci napisały wypracowania z oceną kolonii, z relacją i wrażeniami z odwiedzanych miejscowości w kraju ojczystym.

4. Klub TML i KPW w Nowym Sączu wizytował kolonię zorganizowaną w Gorlicach przez Oddział Wspólnoty Polskiej w Nowym Sączu i Kuratorium Oświaty. Na kolonii tej przebywało 50 dzieci z Gródka Podolskiego i okolic i 50 dzieci z Polski. Stwierdzono nieodpowiednią lokalizację z uwagi na skażenie powietrza z pobliskiej rafinerii ropy, przerosty etatowe, brak zainteresowania ze strony miejscowego społeczeństwa. Większość dzieci nie znała języka polskiego. Klub TML i KPW nie miał wpływu na rekrutację, lokalizację i organizację powyższych kolonii.

5. Obóz harcerski zorganizowany przez Krag Instruktorów Seniorów ZHP Przemyśl w Babicach k. Przemyśla (uczestniczyły dzieci ze Lwowa i Borysławia) wizytowany był w lipcu przez Komendanta Głównego ZHP. Organizacja obozu, efekty wychowawcze zostały bardzo wysoko ocenione i Oddział Przemyski TML i KPW otrzymał podziękowanie z Kwatery Głównej ZHP.

6. Warsztaty artystyczne organizowane we Wrocławiu przez Klub Nauczycielski TML i KPW miały na celu przygotowanie programu dla dziecięcego zespołu pieśni i tańca, który miał powstać w Samborze. Ponieważ w lecie 1994 r. z dziećmi nie przyjechała osoba zainteresowana powstaniem takiego zespołu artystycznego w Samborze, dzieci z tego miasta zostały ponownie zaproszone do Wrocławia w styczniu 1995 roku.

Poza wyżej opisanym organizowaniem wypoczynku dla dzieci i młodzieży polskiej ze Wschodu — Oddziały i Kluby TML i KPW podejmowały cały szereg innych działań, związanych z imprezami dla dzieci. M. in.:

#### Kraków:

- Oddział TML i KPW współuczestniczył w organizacji kursu doształcającego dla młodzieży klas X i XI ze szkół polskich we Lwowie, przekazał zebrane książki, doprowadził do przebadania dzieci przez Stowarzyszenie LEKARZE ŚWIATA, przekazał leki z APTEKI DARÓW,
- w dniach 24.08.1994 — 3.09.1994 odbył się w Krakowie Złot Odrodzonego Sokolstwa Polskiego, w którym brała udział 49-cio osobowa grupa młodzieży z Tarnopola, Żydaczowa, Gródka Podolskiego, Poninek i Mościsk. Pierwsze 4 dni młodzież była pod opieką krakowskiego Oddziału TML i KPW, którego członkowie realizowali program, specjalnie ułożony dla tej młodzieży. Było zwiedzanie Krakowa, prelekcje o najnowszej historii Polski, prelekcje o historii Sokolstwa polskiego, nauka piosenek polskich, zajęcia sportowe,
- w dniach 19.II.94 — 23.II.94 odbyło się seminarium na temat: POTRZEBY KULTURALNE DZIECI POLSKICH NA WSZCHODZIE w ramach którego na zaproszenie Oddziału TML i KPW uczestniczył 14-to osobowy zespół Teatryku BAJ ze szkoły polskiej nr 10 we Lwowie. Oddział TML i KPW dofinansował powyższe imprezy i szereg innych ze swoich środków i z zebranych wśród członków Towarzystwa datków.

#### Przemyśl:

- W dniu 17 września 1994 r. na zaproszenie Oddziału TML i KPW z jednodniową wycieczką przebywało w Przemyślu 72-je dzieci i 10 osób, członków chóru SŁOWIKI z Mościsk. Brali udział w uroczystości patriotycznej na Cmentarzu Wojennym, zwiedzali Przemyśl z przewodnikiem, szkoła nr 16 im. Orłąt Lwowskich gościła uczestników obiadem i zorganizowała koncert SŁOWIKÓW dla młodzieży szkolnej i zaproszonych gości. Transport z Mościsk do Przemyśla i z powrotem sfinansował przemyski Oddział TML i KPW.

Ogromna większość dzieci i młodzieży polskiej na Wschodzie czeka na nasze zaproszenie na wakacje i w bieżącym roku. Chcą przyjechać na kolonie, na obozy harcerskie i na inne zgrupowania, dla lepszego poznania kraju ojczystego, dla nawiązania nowych, trwałych przyjaźni, na wypocznik i radość. Pamiętajmy o tym!

Danuta Śliwińska



# Nasi Czytelnicy piszą

Z Bydgoszczy otrzymaliśmy list od p. Stefana Ferensa, który zamieszczamy poniżej. Nie możemy przybliżyć p.t. Czytelnikom postaci S.P. Kazimierza Reissa, gdyż nie dysponujemy Jego biogramem ani informacjami o działalności w Towarzystwie.

W numerze 5/22/1994 „Semper Fidelis” zamieszczono relację z obchodów w Bydgoszczy 5-rocznicy powołania Oddziału Bydgosko-Toruńskiego TML i KPW. Między innymi wymieniono tam osoby, które wniosły znaczący wkład w powołanie i funkcjonowanie tego Oddziału. Niestety, nie znalazł się wśród nich Kazimierz Reiss, główny współinicjator powołania i jeden z głównych organizatorów ówczesnego Oddziału Bydgosko-Toruńskiego TML, jego też pierwszy prezes, kadencji 1989-93.

Fakt ten przyjąłem jako wyjątkowo zaskakujący i bezzasadny w świetle faktów krótkiej historii minionego 5-lecia naszego Oddziału — powiem więcej, jako coś bardzo przykrego.

Wiadomym jest szerokiemu ogółowi naszego środowiska, że mgr Kazimierz Reiss, lwowianin, był bez reszty oddany Towarzystwu, że Go ceniono i poważano; Jego publicystyka i prelekcje zapraszanych przez Niego znawców tematu były dobrym i skutecznym przykładem pielęgnowania dorobku historycznego Lwowa i Ziemi Kresowych. Integrowały społeczność miejscową naszego Towarzystwa. Pozostał aktywnym i związanym z nami do niemal ostatnich dni swego życia.

Uważam i jestem przekonany o Pana podzieleniu tego punktu widzenia, że pamięci niezującego już Kazimierza Reissa należy się satysfakcja właśnie na łamach Semper Fidelis i dlatego proszę Pana o opublikowanie niniejszego listu.

## List z Sądowej Wiszni

Zwracają się do Was członkowie nowo powstałego Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej w miasteczku Sądowa Wisznia. Jest nas mało, jak Polaków (w naszych stronach), tak i członków TKPZL, do którego należy 70 osób. My Polacy (w czasach Ukrainy) mamy dużo problemów, ale chcemy zrobić coś dla podtrzymania „polskości” na naszych ziemiach. Nam wszyscy nas rozumieją (nawet swoi), ale jak by tam nie było, mamy ważne zadania. Jak mówi nasz kapłan, żeby: „Hasła nie zostały bez pokrycia”, prawda i sam, czasem stawia nam „pałki pod koła”. No cóż, ksiądz z Polski nie musi być patriotą; „bo ma inne zadania”. Nam się wydaje, że Kościół i organizacje polonijne powinny, jak najściślej współpracować, w takiej ważnej sprawie.

Co robimy? Rozdzielamy dary z Polski, praca szlachetna w czasach biedy, ale bardzo niewdzięczna („bo się nie urodził żeby wszystkim dogodził”), drugą ważną sprawą, którą się zajmują członkowie TKPZL — praca na „polskim” cmentarzu. Za składki członkowskie kupiliśmy materiały budowlane i odrestaurowaliśmy kaplicę, a na grobie księży, którzy pracowali w naszej parafii, zrobiliśmy betonowy nagrobek. Także na grobie żołnierzy, którzy zginęli za Ojczyznę w r. 1918-1919 postawiliśmy krzyż i wybetonowaliśmy zbiorową mogiłę. Kiedyś dawno, na krzyżu była tablica „Swoi — swoim” (taki był napis). Aktualnie tablica taka jest na krzyżu — prowizoryczna prawda. Prawie wszystkie pomniki, nagrobki na cmentarzu — byli przewracane. Dlatego trzeba było „stawić ich na nogi”. Ciekawe, ale i w czasach „wolności” oni długo nie stali. Nowocześni wandale niszczą i teraz. Trzeba było kilka razy robić jedną i tą samą robotę od nowa, ale wreszcie jakoś się uspokoiło.

W TKPZL mamy plany stworzyć polską bibliotekę, oraz polski chór, ale nie mamy lokalu, a ksiądz nie zezwala zrobić tego w kościele, po Mszach a szkoda, że kościół cały dzień jest zamknięty.

Teraz trochę o historii. W połowie sierpnia roku 1939 do Sądowej Wiszni przybył pociąg z Bielska-Białej. Byli to urzędnicy poczty (a może banku), uciekali przed Niemcami. Uciekinierzy byli rozmieszczeni w pomieszczeniu fabryki cykorii, obok stacji kolejowej. Fabryka była zbombardowana przez Niemców (a może Sowietów). W gruzach zginęło 19 osób? (Dokładnie nie wiemy). Wszyscy byli pochowani na polskim cmentarzu. Byli to ludzie w różnym wieku, wśród nich była kobieta z dzieckiem na rękach. Na furmankach zabitych przywieźli na cmentarz. Zostali oni pochowani bez trumien i nawet bez kapłana. To wszystko wspominają ludzie starsi, którzy dokładnie już nie pamiętają, bo to 55 lat temu. Wiemy, że wtedy naczelnikiem poczty był p. Kowalski, były legionista (bez jednej nogi). Naczelnik nie zginął, bo był akurat w prywatnym mieszkaniu. W czasie wojny żył w Bielsku-Białej ul. Keplerstrasse 4.

Na cmentarzu na miejscu mogił, aktualnie, jest równe miejsce, na którym pasą się kozy i gęsi. My członkowie TKPZL odczuwamy obowiązek zrobić w tym miejscu nagrobek. A prosba do szanownych Panów z Towarzystwa Miłośników Lwowa skontaktować nas z m. Bielsko-Białą. Może by oni dostarczyli nam tablice z imionami zabitych. My by tę tablicę umieścili na żelaznym krzyżu. Jeżeli nie ma danych o nazwiskach, to mogłaby to być tablica bezimienna — tylko Rok 1939 i napis „nieznani z Bielska-Białej”. Szczegóły trzeba by uzgodnić. Przy okazji robienia tablicy na grób z zabitymi z Bielska-Białej, prosilibyśmy zrobić dla nas na mogiłę żołnierzy, oryginalną tablicę, rozmiar 40 na 30 cm: „Swoi — Swoim 1919-1939”.

Krótko o sobie: Ja — Roman Wójcicki. Mam 44 lata. Jestem odpowiedzialny w zarządzie TKPZL za rozprawienie pomocy cha-

rytatywnej i za prace na cmentarzu. Żona jest prezesem oddziału w Sądowej Wiszni. W naszej miejscowości jest około 200 Polaków. Jest czynny kościół, w którym pracuje 2 księży — franciszkanie ze Śląska. Ludzie dookoła nas są przychylni, tolerantni, a władza — nie za bardzo ...

Pozdrawiamy ZG TML i Kresów Płd.-Wsch. oraz wrocławian, byłych mieszkańców maleńkiego galicyjskiego miasteczka Sądowa Wisznia i okolic (wiemy, że takich jest w waszych stronach dużo).

292 560 UKRAINA  
woj. Lwów  
m. Sądowa Wisznia  
ul. Zagrody 11  
Roman Wójcicki

P.S. Adres Wasz wziętem z czasopisma „Semper Fidelis”, które dostaliśmy ze ZG TKPZL. Bardzo nam pomogli zorganizować nasz oddział. Osobiście zajmował się nami wiceprezes Z.G. Marian Szarybura. Dziękujemy również wiceprezesowi Towarzystwa Miłośników Lwowa panu Władysławowi Pelczarskiemu ze Szczecina za opiekę nad Sądową Wisznia.

## Informacja o zamordowanych we Lwowie

W „Semper Fidelis” Nr 5/22/1994 zamieszczony został list p. Bogusława Kurkowskiego, wspominającego egzekucję Polaków we Lwowie przy ul. Ormiańskiej. W zakończeniu listu zapytuje: „a może ktoś z Państwa zna więcej szczegółów?”

Wydaje mi się, że wspomniana egzekucja została opisana w lwowskiej prasie konspiracyjnej, a mianowicie „SŁOWIE POLSKIM” Rok III NR 6 z 6 lutego 1944 r. w rubryce „Kronika Małopolski Wschodniej” pt. „Nowe ofiary zbirów niemieckich”, które zacytuje in extenso:

„Wbrew rozplakatowanym zapowiedziom, że na 1 Niemca zostanie rozstrzelanych 10 Polaków, dokonali germańscy kaci na Piaskach masowego mordu na 73 osobach według listy i na 37 osobach listą nie objętych. Nadto na ulicy Ormiańskiej rozstrzelano 10 Polaków rzekomo za zabicie wachmistrza żandarmerii. Wśród rozstrzelanych na Piaskach znajdowało się 6 kobiet, a w tym 2 zakonnice z Malechowa i podobno 2 księży rzym.-kat. Polaków-narodowców szczególnym smutkiem okryła śmierć żołnierzy Armii Krajowej i członków Obozu Narodowego ze Stanisławowa: Standlera Alfreda, dyrektora filharmonii, opery i teatru im. Moniuszki w Stanisławowie, Wawry Tadeusza, Witkowskiego, Chmiela, Siegla, Piętki, Ziotrowskiego.

Cześć ich pamięci!”

Z lwowskim pozdrowieniem  
Konrad Sura  
Os. Zgody 3 m.86  
31-949 Kraków

# Odrodzenie Kościoła w Łużanach — na Bukowinie

JAN HUPAŁOWSKI

Łużany to nieduża miejscowość na Bukowinie, położona na lewym brzegu Prutu, na trasie Lwów-Czerniowce. Bukowina, należąca w swojej historii do Rusi Kijowskiej, potem do księstwa halicko-wołyńskiego, od połowy XIV wieku należała do Mołdawii a następnie została podbita przez Turcję. Od 1775 r. weszła w skład monarchii Habsburgów, w 1918 r. została przyłączona do Rumunii, a od 1940 r. północna część Bukowiny znalazła się w składzie Ukraińskiej SRR, obecnie należy do Ukrainy.



Figura Św. Jana z Dukli przy kościele w Łużanach ufundowana w 1867 r. przez Jana Kosińskiego

Burzliwe dzieje tej krainy przyczyniły się niewątpliwie do tego, iż jej ludność składała się z wielu narodowości i porozumiewała się kilkoma językami.



Odbudowany kościół w Łużanach na Bukowinie

W latach trzydziestych w Łużanach oprócz Ukraińców mieszkali Rumuni, Polacy, Żydzi oraz nieliczni przedstawiciele kilku innych narodowości.

Polacy przybyli tu w XIX w. za czasów austriackich, przede wszystkim z woj. krakowskiego i lwowskiego. W 1930 r. na ogólną liczbę około 3.500 mieszkańców, około 300 osób (70 rodzin) było narodowości polskiej. Większość ludności zajmowała się rolnictwem, spora część znajdowała zatrudnienie w istniejących zakładach przemysłowych — (cukrownia, tartak, gorzelnia), część utrzymywała się z rzemiosła i handlu. W czasie ostatniej wojny pożar zniszczył cukrownię, co przyczyniło się do pogorszenia warunków bytowych ludności.

Środowisko polskie nie było zbyt liczne, było jednak prężne i aktywne. W roku 1930 dzięki wydatnej pomocy Polskiej Macierzy Szkolnej i bukowińskim działaczom polonijnym na czele z dr. Grzegorzem Szymonowiczem zorganizowano w Łużanach polską prywatną szkołę powszechną, która była czynna do 1940 r. Już przed pierwszą wojną światową Polacy z Łużan i okolic wybudowali kościół. Był drewniany i spłonął. Na jego miejscu wybudowano nową murowaną świątynię poświęconą w 1919 r. W latach trzydziestych regularnie dojeżdżał ksiądz Jan Kurek z oddalonego około 10 km Kocmania. Po włączeniu w czerwcu 1940 r. północnej części Bukowiny do Związku Radzieckiego zdołano utrzymać kościół jeszcze przez 20 lat. W 1960 r. został on jednak zabrany i urządzono w nim skład mebli.

Na skutek wydarzeń związanych z drugą wojną światową polska ludność z Łużan rozproszyła się po świecie. Na miejscu pozostało niewielu dawnych mieszkańców i ich potomków. Jedną z mieszkanki Łużan zabezpieczyła i przechowała w zabudowaniach gospodarczych ołtarz, ratując go w ten sposób przed zniszczeniem. W latach osiemdziesiątych został on przekazany do kaplicy cmentarnej w Kamieńcu Podolskim a następnie do kościoła w miejscowości Struga w woj. chmielnickim.

Kościół odzyskano dopiero w 1992 r. Dzięki staraniom i dużemu wysiłkowi ks. proboszcza Wiktora Antoniuka z Czerniowca, przy pomocy garstki miejscowych Polaków oraz pozytywnej postawy i pewnej pomocy miejscowej ludności prawosławnej, kościół został częściowo wyremontowany — przede wszystkim wnętrze. W dniu 14 września 1993 r. ks. bp. Marjan Trofimiak z Archidiecezji Lwowskiej dokonał powtórnego poświęcenia.

Msze św. są odprawiane regularnie w każdą niedzielę przez księdza dojeżdżającego z Czerniowca. Należy nadmienić, że oprócz kościoła

w Łużanach, do parafii w Czerniowcach należy jeszcze szereg innych kościołów filialnych m.in. Śniatyn, Kocmań, Zastawna, Sadagóra, Hliboka, Storożyniec, Stara Huta. Jak na bukowińskie warunki jest to teren dość rozległy, wymagający od księży z Czerniowca dużego wysiłku i samozaparcia celem zapewnienia wiernym odpowiedniej opieki duszpasterskiej.



Kaplica wyremontowana przez TKPZZ Sądowa Wisznia — woj. Lwów

Dalsze prace i wyposażenie kościoła są uzależnione od środków finansowych, potrzebnych przede wszystkim na zakup niezbędnych materiałów. Pod koniec 1993 r. przeprowadzono zbiórkę pieniężną wśród dawnych mieszkańców Łużan przebywających obecnie w Polsce, w większości na Dolnym Śląsku a kilka osób przesłało datki z Niemiec, Australii i Nowej Zelandii. Zebrana kwota została przekazana ks. proboszczowi w Czerniowcach.

Obecnie prowadzona jest wśród byłych bukowińczyków dalsza akcja mająca na celu udzielanie pomocy umożliwiającej kontynuowanie prac remontowych. Czynnione są również starania o poparcie ze strony Komitetu Pomocy Kościołom na Wschodzie przy Archidiecezji Wrocławskiej oraz Sekcji Współpracy z Polakami na Wschodzie przy Klubie Inteligencji Katolickiej we Wrocławiu. Zarząd Główny Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich przyznał też pewną kwotę na powyższy cel.

Wszystkim tym, którzy przyczynili i przyczyniają się nadal do oddania do użytku i urządzenia kościoła w Łużanach, mieszkańcy tej miejscowości składają serdeczne „Bóg zapłać”. Autor powyższego artykułu pochodzi z Łużan. Mieszkał tam od urodzenia do 1945 r. Zrodziną miejscowością łączą go silne więzy uczuciowe. Dane do artykułu zaczerpnął z własnej pamięci i z informacji otrzymanych w różnych okolicznościach, mogą więc one zawierać pewne luki i nieścisłości.

Dlatego będzie wdzięczny za wszelkie uściślenia i uzupełnienia, które napłynęłyby dla niego na adres redakcji „Semper Fidelis”.

## Zbrodnie Ukraińców w Horpinie pow. Kamionka Strumiłowa

O zbrodniach hitlerowskich napisano wiele, co nie oznacza, że wszystko. O zbrodniach komunistów radzieckich i polskich zaczęto wreszcie mówić i pisać. O wymordowaniu 300 tys. Cyganów wspominał kardynał Józef Glemp. Zdołano policyzować wszystkich pomordowanych Żydów — niektórych kilkakrotnie. O Polakach wymordowanych przez nacjonalistów ukraińskich zapominano i temat ten jest jeszcze bardziej pomijany jak w PRL. Odwagę miał prezydent Ukrainy Leonid Krawczuk, który oświadczył, że „w czasie II wojny światowej ukraińscy szowiniści zabili około pół miliona Polaków”. Gdyby przeprowadzić dokładne badania, to okaże się, że liczba ta będzie o wiele wyższa.

W mojej wiosce Horpin pow. Kamionka Strumiłowa w kwietniu 1944 r. Ukraińcy spalili ochronkę, plebanię i 350 budynków z całym dobytkiem.

Lista pomordowanych Polaków przez Ukraińców w okresie okupacji hitlerowskiej i po wkroczeniu Armii Czerwonej:

1. Andrzej Czerniecki lat 33 — spalony żywcem
2. Michał Banach lat 70 — zastrzelony
3. Michał Mielnik lat 70 — zastrzelony

4. Michał Karwacki — spalony żywcem
5. Stanisław Karwacki, syn Michała — spalony
6. Katarzyna Czerniecka — utopiona w studni
7. Melania Mielnik — powieszona na drzewie
8. Piotr Bratuń — zamordowany
9. Andrzej Bratuń — zamordowany
10. Michał Bratuń — zamordowany
- 11, 12. Michał Chrzanowski i jego syn — zamordowani
- 13, 14, 15. Tekla Mielnik z dwojgiem nieletnich dzieci — zamordowani
16. Jan Czerniecki — zamordowany
17. Mikołaj Chrzanowski — zamordowany
- 18-23. Maria Czerniecka z pięciorgiem nieletnich synów.

Maria Czerniecka była Ukrainką wdową po Polaku Pawle Czernieckim, który zmarł i na jego prośbę złożoną przed śmiercią wychowywała synów na Polaków, wysyłając ich do kościoła rzymsko-katolickiego i polskiej szkoły. Banderowcy przyszli w nocy, zabrali matkę i pięciu nieletnich synów, wrzucili ich do wcześniej przygotowanego dołu, zastrzelono i konających zasypiano ziemią.

Zwracam się z prośbą, aby Redakcja poprzez telewizję i przychylne nam gazety oraz radio ogłosiła apel o przysyłanie list pomordowanych Polaków w ich miejscowościach. Nazwisko autora i świadków w posiadaniu redakcji. Relacja wydrukowana zgodnie z oryginałem.

## Z żałobnej karty



Z głębokim żalem zawiadamiamy, że 10 listopada 1994 r. odszedł na wieczną wartę inż. Stanisław Kosiba ps. Chorąży. Urodził się 11.10.1922 r. w Bitkowie-Kopalni koło Nadwórnej. Już w 1939 r. był dowódcą drużyny w II Huculskim Baonie Obrony Narodowej. Pod koniec 1939 r. zaczęła się Jego działalność konspiracyjna. Pomagał w przetrutach Polaków na Węgry, współdziałając z proboszczem z Nadwórnej ks. Józefem Smaczniakiem. W szlaku wiodącym na Węgry — Nadwórna była ważnym punktem oparcia dla „białych kurierów”. W październiku 1942 r. wstępuje do ZWZ-AK okręgu Stanisławów, organizując w Zagłębiu Naftowym Podkarpacia oddział pod nazwą „Chorążacy”. Grupa ta dokonała szeregu akcji sabotażowo-dywersyjnych oraz zdobywania broni na terenie rejonu 403 Inspektoratu Stanisławów, wchodzącego w skład III Obszaru Lwów, 11 Dywizji Karpackiej Armii Krajowej. Między innymi walczył z Grenzschutzem w rejonie Rafajłowa-Nadwórna-Perechińskie zdobyto broń, która została zmagażynowana na plebanii w Nadwórnej u ks. Tadeusza Łączyńskiego. Działania „Chorążaków” skierowane były również w obronie ludności polskiej przed mordami dokonywanymi przez terrorystów ukraińskich spod znaku UPA. Po ustąpieniu Niemców na terenach działań oddziału Stanisława Kosiby doszło do walk obronnych z UPA w okolicach Nadwórny i Bitkowa. W lutym 1945 r. Kosiba zostaje aresztowany przez NKWD i osadzony w więzieniu w Stanisławowie. Po półrocznym ciężkim śledztwie zostaje skazany przez Wojskowy Trybunał Wojsk NKWD na 10 lat łagrów. „Karę” odbył w „Szirokłagu” na Uralu i w „Gortagu” w Krasnojarskim Kraju. Do Polski wrócił w grudniu 1955 r. razem z żoną Ireną, która za działalność w AK przeszła łagry i przymusowe zesłanie. Po powrocie do kraju pracował przy odbudowie Śląska.

Odszedł od nas wspomniały Człowiek, Żołnierz i gorący Patriotą. Pochowany został na Cmentarzu Komunalnym w Katowicach.

Cześć Jego pamięci!  
„Tereska” i „Błady” „Chorążacy”  
z 11 Dywizji Karpackiej AK

## \* aktualności \* informacje \* apele \*

### Lwowski Synod

W dniu 16 stycznia w bazylice Wniebowzięcia NMP we Lwowie rozpoczął swe obrady pierwszy po wojnie Synod archidiecezji lwowskiej. Obradom przewodniczył JE ks. abp Marian Jaworski. W Synodzie bierze udział ks. bp Rafał Kiernicki, ks. bp Marcin Trofimiak, 80 kapłanów oraz wiele osób świeckich. Przedmiotem obrad Synodu, tej ponad 600 lat liczącej archidiecezji są zagadnienia katechizacji, sakramentów, struktury hierarchicznej, liturgii i sztuki sakralnej oraz ogólnej sytuacji Kościoła rzymsko-katolickiego na tej wielkiej, bo ponad 100 tys. km<sup>2</sup> liczącej jednostki administracji kościelnej.

Lubicz

### Spotkanie w Krasiczynie

W dniach 17-18. XII w Krasiczynie odbyło się spotkanie (zorganizowane przez władze wojewódzkie w Przemyślu), działaczy polskich organizacji społeczno-kulturalnych z terenu Ziemi Lwowskiej z Prezesem „Wspólnoty Polskiej” prof. dr A. Stelmachowskim, wojewodą przemyskim p. Z. Ciupińskim, dyrektorem wojewódzkiego Wydziału Kultury p. M. Olbromskim, Konsulem RP we Lwowie p. M. Krajewskim, prezesami: Z.G. TML i KPW-D. Nespiak, Fundacji „Semper Fidelis” D. Taubińską-Juhasz, Oddziału TML i KPW w Przemyślu-M. Lepszym. Celem spotkania było wypracowanie programu współdziałania oraz zakresu pomocy ze strony Wspólnoty Polskiej, władz wojewódzkich i miejskich Przemyśla (jest b. duża) oraz naszego Towarzystwa. Szczególną rolę odgrywa tutaj działalność Oddziału Przemyskiego, który zdobył sobie swoją pracą i ofiarnością wysokie uznanie zarówno w Polsce, jak i u naszych rodaków — członków

TKPZL we Lwowie i jego oddziałach terenowych. Wśród działaczy polskich organizacji kresowych zza wschodniej granicy Z.G. TML i Fundacja kresowa „Semper Fidelis” rozdzielili 2 100 000 zł oraz 200 dolarów.

Bardzo przyjemną niespodzianką dla uczestników spotkania przygotowali jego organizatorzy. Był to występ kapeli przemyskiej z repertuarem lwowskich piosenek. Wykonawcy świetni i zbrali duże brawa.

### Ważny projekt

Rada Naczelna Federacji Organizacji Kresowych na posiedzeniu w dniu 13 stycznia 1995 roku podjęła uchwałę, w której wyraziła uznanie dla społecznego projektu Konstytucji opracowanego przez NSZZ Solidarność. Znalazły się w niej następujące zapisy:

Art. 16 — Obowiązkiem państwa jest pomoc dla Polaków zamieszkałych za granicą. Szczegóły określa ustawa.

Art. 46 ustęp 1 — Państwo ma obowiązek zachowania i ochrony wartości dóbr kultury i dziedzictwa narodowego również poza granicami.

Art. 162 ustęp 1 — w terminie ustalonym w art. 161 zostanie uregulowana w trybie ustawowym kwestia restytucji obywatelstwa polskiego w stosunku do osób, które utraciły je wbrew swej woli w związku z wojną rozpoczętą 1 września 1939 r. oraz ich zstępnych. Termin składania wniosków dotyczących przywrócenia obywatelstwa wynosi 5 lat od daty wejścia w życie Konstytucji.

Pani mgr Adeli Łucarz,  
prezesce Oddziału Buczacza,  
redaktorce GŁOSU BUCZACZA  
serdeczne wyrazy współczucia z powodu  
śmierci Meża składa  
Zarząd Główny TML i KPW  
oraz Redakcja Semper Fidelis.

## SUMMARY

- |               |   |                                                                                                                                                                                                                                                              |
|---------------|---|--------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|
| D. Nespiak    | — | The 50th anniversary of wrongful and infamous Yalta Conference in effect of which Poland and other countries fell under communist régime for tens of years. Falsifications of history in publications and mass media of the former Polish People's Republic. |
| J. Masiór     | — | Early recollections — and not only mine...                                                                                                                                                                                                                   |
| W. Kupiec     | — | A judge's relation of lawsuits concerning compensation for groundless imprisonments and tortures of Polish conspirators during inquiries.                                                                                                                    |
| J. Gardynik   | — | The Lwów Weigl Typhus Institute as a safeguard for Polish intelligentsia and Underground organization during Soviet and German occupation.                                                                                                                   |
| Z. Ojrzyński  | — | The Typhus Institute in Lwów on the grounds of German documents.                                                                                                                                                                                             |
| M. Pollak     | — | Traditions of the Yazłowiecki Uhlans.                                                                                                                                                                                                                        |
| L. Sawicki    | — | Vicissitudes of the Lwów Home Army members after the „Storm” action.                                                                                                                                                                                         |
| R. Majewski   | — | Research into Polish-Ukrainian relations.                                                                                                                                                                                                                    |
| M. Lisowska   | — | Polish Theatre in Lwów in the years 1918-1939.                                                                                                                                                                                                               |
| Z. Zieliński  | — | Hundred years of the electric tramway in Lwów.<br>(„Tramway by tramway”)                                                                                                                                                                                     |
| E. Hlib       | — | Walking across Lwów — multinational inhabitants of the City and their customs.                                                                                                                                                                               |
|               | — | Polish East Borderland in old picture postcards.                                                                                                                                                                                                             |
| J. Sibiga     | — | Exile of lwowers into deep Russia began in February 1940.                                                                                                                                                                                                    |
| M. Zakrzewski | — | Historical personage of Jan Zakrzewski.                                                                                                                                                                                                                      |
| J. Węgierski  | — | Polemic article concerning the struggle of Underground in Lwów under occupation.                                                                                                                                                                             |
|               | — | Current events.                                                                                                                                                                                                                                              |
|               | — | From the life of the Society.                                                                                                                                                                                                                                |
|               | — | Letters to the Editors.                                                                                                                                                                                                                                      |
|               | — | Obituary column.                                                                                                                                                                                                                                             |

## Lista Ofiarodawców w grudniu 1994 r.

Bułat Jarosław, Katowice	200.000,-	Klimkiewicz Wanda, Szczawnica	100.000,-	Nikiel Stanisława, Warszawa	50.000,-
Nowak Czesława, Katowice	50.000,-	Koniurak Józef, Lipinki	500.000,-	Wolańczyk Jerzy, Rokietnica	300.000,-
Opalek Lesław, Białystok	50.000,-	Stepkowski Mieczysław, Hrubieszów	50.000,-	Bryk Edward, Jędrzejów	50.000,-
Feczko Tadeusz, Przemyśl	100.000,-	Niwińska Helena, Kraków	300.000,-	Sura Konrad, Kraków	100.000,-
TMLiKPW, Szczecinek	200.000,-	Hanuszewski Andrzej, Pyskowice	200.000,-	Adles Edward, Kraków	20.000,-
Ks. Pierzchała Alfred, Czarnyżyty	100.000,-	Nowicki Władysław, Koźuchów	30.000,-	Niesiołowski Andrzej, Warszawa	50.000,-
Kiesz Dariusz, Starachowice	50.000,-	Hoel Danuta, Działdowo	150.000,-	Stojanowska Aniela, Wrocław	100.000,-
Rymski R.A., Wrocław	100.000,-	Lubańska T., Wrocław	100.000,-	Jeżewski Andrzej, Będzin	150.000,-
Stasiów Andrzej, Mikołów	300.000,-	Rękas Aleksandra, Nysa	100.000,-	Fundacja Przyjaciół Lwowa, Warszawa	2.000.000,-
Tarnawski Stanisław, Poznań	50.000,-	Blum Janina, Wrocław	100.000,-	Martyniak-Przybyszewska Barbara,	
Wilczyński Mieczysław, Katowice	200.000,-	Pituka Mieczysław, Wrocław	50.000,-	Olsztyn	300.000,-
Podoleccy W.A., Kielce	100.000,-	Łukaszewicz Irena, Bytom	50.000,-	Dębicki Jacek, Kielce	100.000,-
Mosoczy Stanisław, Bielsko-Biała	100.000,-	Łabiniec Jadwiga, Kraków	100.000,-	Bochdalek Roman, Wrocław	80.000,-
				Jankowska Maria, Zagań	100.000,-
				Tyżenkauz-Pietruska Nadina, Kraków	
					50.000,-
				Stankiewicz Grażyna, Bydgoszcz	20.000,-
				Piela Stanisław, Rzeszów	100.000,-
				Starzeczy J.J., Wrocław	50.000,-
				Bolanowska Danuta, Łódź	150.000,-
				Mokanek Wiktor, Jelenia Góra	100.000,-

*Wszystkim Szanownym Ofiarodawcom składamy serdeczne podziękowania*

## Od Wydawcy

Serdecznie dziękujemy wszystkim tym, którzy pamiętali o nas w okresie Świąt i w życzeniach swoich zawarli tyle miłych i życzliwych słów, że świadomość, iż jesteśmy potrzebni i doceniani pomaga nam w pracy.

● Ponownie przypominamy o wysokości rocznych prenumerat:

- ☛ Dwumiesięcznik „Semper Fidelis” 15,00 zł,
- ☛ Miesięcznik „Gazeta Lwowska” 12,00 zł,
- ☛ Miesięcznik „Dziennik Kijowski” 12,00 zł.

● Przypominamy również, że reklama w naszym piśmie jest najtańsza i najskuteczniejsza. Zachęcamy zainteresowanych.

● Na rok 1995 Fundacja ma ambitne plany edytorskie, możemy teraz wydać 4 pozycje książkowe. Utrudnia nam to jednak zła kondycja finansowa. Zwracamy się więc do całego środowiska kresowego o wsparcie naszych planów wydawniczych poprzez dokonanie przedpłat na następujące pozycje:

1. Materiały z sesji naukowej (Wrocław 10-15.10.94 r.) o prof. Rudolfie Weiglu z pełnym indeksem nazwisk współpracowników Instytutu Przeciwyfusowego we Lwowie. Będziemy wdzięczni za nadsyłanie nazwisk osób pominiętych w spisie w Katalogu wydanym przez nas w czasie sesji. Przedpłata 10,00 zł.
2. Jan Ignacy Ziębicki, stryjaniec, obecnie zamieszkały w Anglii przekazał do wydania „Wspomnienia Uchodźcy”, część I (wrzesień 1939 do marca 1942); przedpłata 15,00 zł.
3. Karol Kosek przysłał do wydania swoją pracę o losach Polaków, Ukraińców, Białorusinów i Żydów na Wołyniu w czasie II Wojny Światowej (zawiera obfitą dokumentację fotograficzną); przedpłata 10,00 zł.  
Prenumeraty i przedpłaty prosimy kierować na konto bankowe Fundacji Kresowej „Semper Fidelis”  
PKO IV O/Wrocław Nr 93549-10012-132-3
4. „Monografia Tłumacza” na podstawie zebranych dokumentów i zdjęć przez dr. Michała Nikosiewicza, przygotowuje do wydania Klub Tłumaczan. Spodziewany jest mały nakład, a duża pozycja.

Przedpłata 25,00 zł na konto Klubu Tłumaczan  
PKO IV O/Wrocław Nr 93549-107099-132.

Oczekujemy zainteresowania ww. książkami wyrażonego przedpłatami, które umożliwią nam ustalenie wysokości nakładu wydania książek.

W imieniu Zarządu Fundacji  
Dyrektor  
mgr Danuta Tabińska-Juhasz